

**Tytuł: "RACHUNEK KRWI"**  
**Autor: DAVID MORREL**  
**przełożył: Grzegorz Kołodziejczyk**

**Powieści DAVIDA MORRELLA w Wydawnictwie  
Amber**

**Czarny wieczór**

**Desperackie kroki**

**Droga do Sieny**

**Fałszywa tożsamość**

**Ostatnia szarża**

**Ostre cięcie**

**Piąta profesja**

**Podwójny wizerunek**

**Przymierze ognia**

**Przysięga zemsty**

**Rachunek krwi Rambo. Pierwsza krew**

**AMBER**

**\* \* \***

## Część pierwsza

### I

Kiedy byłem chłopcem, zaginął mój młodszy brat. Zniknął z powierzchni ziemi, rozpląnął się w powietrzu. Miał na imię Petey. Któregoś dnia wracał rowerem z meczu baseballu. Został specjalnie po lekcjach, chociaż sam nie grał - grali starsi chłopcy, tacy jak ja. Bo ja miałem trzynaście lat, a Petey tylko dziewięć. Patrzył we mnie jak w obrazek i wszędzie się za mną włóczył. Koledzy psioczyli, że płacze się pod nogami, więc powiedziałem: "Zmiataj do domu". Ciągle pamiętam rozzalone spojrzenie, które mi posłał, zanim wsiadł na rower i popedałował w stronę domu - mały, chudy okularnik obcięty na jeża, z aparatem na zębach, do tego piegowaty; miał na sobie wyciągniętą koszulkę, workowate dzinsy i tenisówki. Wtedy widziałem go po raz ostatni. To było ćwierć wieku temu. To było wczoraj. Gdy Petey nie zjawił się wieczorem na kolacji, mama zadzwoniła do jego kolegów z sąsiedztwa. Nikt go nie widział. Dwadzieścia minut później ojciec zatelefonował na policję. Aż do tej chwili najbardziej bał się, że Petey został potrącony przez samochód, ale dyspozytor powiedział, że nie było zgłoszenia wypadku z udziałem dziecka na rowerze. Na koniec obiecał rozesłać patrole na poszukiwanie chłopca i oddzwonić, jeśli się czegoś dowie. Tata nie mógł znieść oczekiwania. Musiałem mu pokazać, jaką drogą Petey najczęściej wracał z boiska.

**Zjeździliśmy wszystkie możliwe trasy. Zapadał już zmrok i o mało nie przeoczyliśmy roweru. Zauważyłem go tylko dlatego, że ostatnie promienie słońca, którego rąbek wyzierał jeszcze zza horyzontu, odbiły się w czerwonym światełku odblaskowym. Rower leżał wepchnięty w krzaki na pustej działce. Wystawała spod niego rękawica baseballowa mojego brata. Przeszukaliśmy działkę, wołaliśmy głośno Peteya po imieniu. Potem chodziliśmy od drzwi do drzwi, podawaliśmy rysopis i pytaliśmy mieszkańców, czy ktoś widział podobnego chłopca. Wszystko na nic. Gdy pędziliśmy samochodem do domu, skóra na twarzy taty była tak napięta, że prawie prześwitywały przez nią kości policzkowe. "O Jezu, Jezu", powtarzał w kółko. Mogłem tylko łudzić się nadzieją, że Petey nie wrócił, bo wściekł się na mnie. Wyobrażałem sobie, jak późnym wieczorem staje w drzwiach i mówi: "I co, tyso ci teraz? Może ci na mnie bardziej zależy, niż sobie myślisz". Ale tak naprawdę byłem zrozpaczony, bo nie umiałem oszukać samego siebie - Petey nigdy nie porzuciłby roweru w krzakach, za bardzo go lubił. I dlaczego zostawił rękawicę? Przytrafiło mu się coś złego, a na pewno by do tego nie doszło, gdybym nie kazał mu się wynosić. Mama wpadła w histerię. Tata zadzwonił jeszcze raz na policję. Przyjechał detektyw i następnego dnia rozpoczęły się poszukiwania. W miejscowej gazecie - wszystko to działo się w miasteczku Woodford niedaleko Columbus w stanie Ohio - ukazał się długi**

artykuł, opisujący tajemnicze zniknięcie mojego brata. Rodzice wystąpili w radiu i telewizji. Błagali porywacza, żeby oddał Peteya. Wszystko na nic. Trudno opisać, jaki ból i spustoszenie spowodowało zaginięcie mojego brata. Mama zaczęła brać tabletki uspokajające. Ileż to razy słyszałem w nocy, jak szlocha. A ja nie mogłem się pozbyć poczucia winy za to, że wyrzuciłem go z boiska. Ilekroć zaskrzypiały drzwi wejściowe, modliłem się, by to był Petey. Ojciec rozpił się i stracił pracę. Coraz częściej wszczywał awantury z mamą. Zginął miesiąc po tym, jak od nas odszedł. Jego samochód wypadł z autostrady, przeokoziółkował kilka razy po nasypie i wyrznął dachem o ziemię. Nie dostaliśmy odszkodowania z polisy ubezpieczeniowej, więc mama musiała sprzedać dom. Wynajęła jakieś małe mieszkanie, a później przeprowadziliśmy się do jej rodziców, do Columbus. Często martwiłem się, jak Petey nas znajdzie, kiedy wreszcie wróci. Myśl o nim nigdy nie dała mi spokoju. Dorosłem, skończyłem studia, ożeniłem się, urodził mi się syn, odniosłem sukces zawodowy. Ale w mojej świadomości Petey pozostał dzieckiem. Ciągle był chudym dziewięciolatkiem, który spogląda na mnie z wyrzutem i odjeżdża na rowerze. Ani przez chwilę nie przestałem za nim tęsknić. Gdyby jakiś farmer wyorał pługiem szkielet chłopca i gdyby kości zostały zidentyfikowane jako szczątki Peteya, płakałbym gorzko z żalu po moim małym braciszku, ale przynajmniej ta tragedia miałaby zakończenie.

**Rozpaczliwie pragnąłem wiedzieć, co się naprawdę stało. Jestem architektem. Przez jakiś czas pracowałem w dużym biurze w Filadelfii, ale ponieważ moje najlepsze projekty były, zdaniem szefów, zbyt śmiałe, otworzyłem własną firmę. Pomyślałem też, że dobrze byłoby się przeprowadzić - nie do innego miasta na wschodnim wybrzeżu, lecz gdzieś znacznie dalej. Ku mojemu zaskoczeniu, pomysł spodobał się żonie jeszcze bardziej niż mnie samemu. Nie będę wymieniał wszystkich powodów, z których wybraliśmy Denver - czar gór, mit Dzikiego Zachodu. Dość powiedzieć, że zamieszkaliśmy tam i niemal od samego początku moje projekty zdobyły powodzenie. Dwa z zaprojektowanych przeze mnie biurowców stoją tuż koło miejskich parków. Świetnie się komponują z otoczeniem, a nawet więcej: w szklanych taflach ich ścian niczym w olbrzymich lustrach odbijają się kształty stawów, drzew i trawników. Jednak moją największą dumą są domy mieszkalne. Wielu moich klientów mieszka w bogatych kurortach, takich jak Aspen czy Vail. Żywią jednak szacunek do gór, więc nie chcieli, by ich domy raziły na tle krajobrazu. Woleli się raczej dostosować do przyrody, niż się jej narzucać. Rozumiałem ich intencje. Projektowałem domy, które tak doskonale wtapiały się w otoczenie, że nie można ich było dostrzec, dopóki nie stanęło się u wejścia. Maskowały je drzewa i grzbiety wzgórz, a strumienie przepływały u ich progów. Za fundamenty posłużyły płaskie półki skalne, głazy**

były stopniami, a klify - ścianami. Jest w tym pewna ironia, że budynki, które miały nie rzucać się w oczy, przyciągnęły tyle uwagi. Moi klienci - mimo deklaracji, że chcą, aby ich domy były niewidoczne - nie mogli się oprzeć chęci pochwalenia się nimi. Czasopisma "Piękny Dom" i "Przegląd Architektoniczny" zamieściły artykuły zilustrowane zdjęciami bardziej przypominającymi widoki przyrody niż fotografie domów mieszkalnych. Lokalny ośrodek telewizji CBS poświęcił moim projektom dwuminutowy reportaż w wiadomościach o dziesiątej. Reporterka w stroju pieszej turystki rzuciła widzom wyzwanie: "Czy dostrzegają państwo dom wśród tych wzgórz i drzew?" Stała nie dalej niż trzy metry od ściany, lecz dopiero, kiedy ją wskazała, patrzący mogli się przekonać, jak dokładnie budynek został wkomponowany w otoczenie. Centrala CBS w Nowym Jorku zwróciła uwagę na reportaż i parę tygodni później przeprowadzono ze mną dziesięciominutowy wywiad dla programu Niedzielne śniadanie z CBS. Nadal zadaję sobie pytanie, dlaczego się zgodziłem. Bóg mi świadkiem, że moja firma nie potrzebowała dodatkowej reklamy. Jeśli więc nie kierowały mną pobudki natury ekonomicznej, musiała to być próżność. Może chciałem, by syn zobaczył mnie w telewizji. W końcu zarówno on, jak i moja żona znaleźli się razem ze mną w kadrze na tle jednego z domów-kameleonów, jak je ochrzcił reporter. Jakże bym teraz chciał, abyśmy i my byli kameleonami. -

**Brad! - zawołał mnie jakiś mężczyzna po imieniu. Było to trzy dni po wywiadzie dla Niedzielnego śniadania. Środa, początek czerwca. Przepiękny, słoneczny dzień. Całe przedpołudnie spędziłem na spotkaniach i burczenie w żołądku przypominało mi, że nie jadłem lunchu. Mogłem posłać sekretarkę po kanapkę, ale to, czym się akurat zajmowała, było znacznie ważniejsze. Poza tym miałem ochotę wyjść z biura i nacieszyć się słońcem. Centrum Denver to modelowy przykład dobrej urbanistyki: dużo przestrzeni, miła dla oka niska zabudowa, mnóstwo światła. Marząc o kanapce z wołowiną i kukurydzą, skierowałem się do pobliskich delikatesów. Właśnie wtedy usłyszałem, że ktoś mnie woła. -Brad! W pierwszej chwili pomyślałem, że to któryś z pracowników wybiegł za mną z biura, bo czegoś zapomniałem. Odwróciwszy się, ujrzałem jednak obcego mężczyznę. Zbliżał się do mnie szybkim krokiem. Miał około trzydziestu pięciu lat, długie, potargane włosy i wyglądał dość niechlujnie. Przemknęło mi przez myśl, że to jakiś robotnik, którego musiałem poznać na którejś budowie. Ubranie nieznanego z pewnością mogło potwierdzać takie przypuszczenie: wytarte buty z cholewami, zakurzone džinsy i koszula z podwiniętymi rękawami. Mam jednak dobrą pamięć do twarzy i byłem pewien, że zapamiętałbym pięciocentymetrową bliznę na jego podbródku. - Brad! Boże drogi, nie mogę w to uwierzyć! - zawołał mężczyzna, upuszczając plecak na chodnik. - Po tylu**

**latach! Jezu Chryste! Musiałem wyglądać na zmieszanego. Pochlebiam sobie, że ludzie lubią moje towarzystwo, lecz niewielu zareagowało na mój widok z aż takim entuzjazmem. Najwyraźniej znaleźliśmy się skądś, choć w tej chwili nie miałem zielonego pojęcia, co to za jeden. Mężczyzna uśmiechnął się szeroko, ukazując wyszczerbiony przedni ząb. -Nie poznajesz mnie? Ja bym cię wszędzie rozpoznał! Zobaczyłem cię w telewizji! To ja!**

**Z wysiłkiem szukałem w pamięci jego twarzy.**

**- Obawiam się, że...**

**- Peter, twój brat!**

**Teraz wszystko stało się jasne. Mój mózg zaczął pracować na normalnych, wysokich obrotach.**

**Nieznajomy wyciągnął do mnie dłoń.**

**- Cieszę się jak diabli, że cię widzę!**

**- Ręce przy sobie, ty łobuzie!**

**- Co? - Patrzył na mnie ze zdumieniem.**

**- Spróbuj się zbliżyć, a wezwę policję. Jeśli ci się zdaje, że naciągniesz mnie na forszę...**

**- Brad, o czym ty mówisz?**

**- Obejrzałeś program w CBS, tak?**

**- Tak, ale...**

**- Popełniłeś błąd, draniu. To ci się nie uda.**

**Reporter z CBS wspomniał o historii sprzed lat.**

**Nazajutrz po programie do mojego biura zadzwoniło sześciu mężczyzn podających się za Peteya. "Twój zaginiony brat", przedstawiali się wesoło. Słyszając pierwszego z nich, strasznie się ucieszyłem, ale po**

**kilku minutach rozmowy uświadomiłem sobie, że facet nie wie absolutnie nic o okolicznościach zniknięcia Peteya ani o naszym życiu rodzinnym. Dwaj następni okazali się jeszcze gorszymi kłamcami. Wszyscy chcieli pieniędzy. Poleciałem sekretarce, żeby nie łączyła rozmów z mężczyznami podającymi się za mojego brata. Kolejni trzej przedstawili się jako właściciele firm. Rzuciłem słuchawką, kiedy tylko się odezwali. Nazajutrz sekretarka zdemaskowała jeszcze ośmiu oszustów. A ten wpadł na pomysł, żeby zjawić się osobiście.**

**- Nie waż się do mnie zbliżyć - ostrzegłem zdecydowanie. Zbyt zniecierpliwiony, żeby iść do światła, wypatrzyłem odstęp między samochodami i ruszyłem na drugą stronę ulicy.**

**- Brad, na miłość boską, posłuchaj! - zawołał mężczyzna. - To na prawdę ja!  
Kark zeszywniał mi z gniewu, ale nie zatrzymałem się.**

**- Co mam zrobić, żebyś mi uwierzył?  
Dotarłem do środka jezdni i czekałem na następną lukę.**

**- Kiedy mnie porwali, jechałem do domu na rowerze! - krzyknął nieznajomy.  
Odwróciłem się ze złością.**

**- Reporter wspomniał o tym w programie!  
Odczep się ode mnie, zanim cię spiorę na kwaśne jabłko.**

**- Brad, nie poszłoby ci tak łatwo jak kiedyś.  
Rower był niebieski. Byłem tak wściekły, że jego**

słowa dotarły do mnie dopiero po chwili. Nagle przed oczyma stanął mi niebieski rower Peteya.

- Tego nie było w telewizji - dodał mężczyzna.

- Ale pisali o tym wtedy w lokalnej prasie.

Wystarczyło, że zadzwoniłeś do biblioteki w Woodford i dotarłeś do numerów gazet z tamtego okresu. To nic trudnego dowiedzieć się szczegółów zniknięcia Peteya. - Mojego zniknięcia - poprawił. Mijające mnie z przodu i z tyłu samochody trąbiły ostrzegawczo. - Mieszkaliśmy w jednym pokoju - ciągnął mężczyzna. - Czy o tym też pisano w gazetach?

Zmarszczyłem brwi, czując się trochę nieswojo.

- Spaliśmy na piętrowym łóżku. Ja na górze. Nade mną wisiał model helikoptera podwieszony do sufitu. Lubilem go ściągać i kręcić śmigłem. To było coraz bardziej niepokojące.

- Tata stracił czubek małego palca podczas wypadku w fabryce mebli. Uwielbiał wędkować. Tego lata, zanim mnie porwano, zabrał nas obu na kemping tu, w Kolorado. Mama nie pojechała, bo miała alergię na ukąszenia pszczoł. Wpadała w popłoch na sam widok pszczoły.

Zaląła mnie fala wspomnień. Tego wszystkiego nieznajomy nie mógł się dowiedzieć ze starych gazet. Żadna z tych informacji nigdy nie ukazała się w prasie. - Petey?

- Mieliśmy w pokoju zło tą rybkę, ale żaden z nas nie lubił czyścić akwarium. Pewnego dnia, gdy wróciliśmy ze szkoły, w pokoju śmierdziało, a rybka

**plywała do góry brzuchem. Włożyliśmy ją do pudełka od zapalek i urządziliśmy pogrzeb.**

**Następnego dnia poszliśmy w to miejsce i okazało się, że kot sąsiadów wykopał trupa rybki.**

**- Petey. - Rzuciłem się ku niemu i omal nie wpadłem pod samochód. -Rany boskie, to naprawdę ty.**

**- Kiedyś zbiliśmy piłką szybę. Tata uziemił nas na cały tydzień. Padliśmy sobie w objęcia. Nigdy nie obejmowałem nikogo mocniej. Pachniał miętową gumą do żucia i papierosami, a jego uścisk był niesamowicie silny. -Petey - wykrztusiłem. - Co się z tobą działo?**

**Pedałuje do domu, zły, zraniony. Samochód dogania go, zwalnia, jedzie równo z nim. Kobieta na przednim fotelu opuszcza szybę. Pyta, jak dojechać do autostrady. Petey odpowiada, ale kobieta nie słucha, podobnie jak siedzący za kierownicą mężczyzna o ponurym wyrazie twarzy. - Czy wierzysz w Boga? - rzuca nagle kobieta.**

**Co za pytanie.**

**- Czy wierzysz w koniec świata?**

**Samochód zajeżdża rowerowi drogę. Przestraszony Petey podrzuca przednie koło na chodnik. Kobieta wyskakuje z samochodu, goni go. Tenisówka zsuwa się z pedału. Pusta działka, krzaki. Kobieta dogania Peteya. Mężczyzna otwiera bagażnik i wpycha chłopca do środka. Trzaśnięcie klapy. Ciemność. Petey krzyczy, wali pięściami, kopie. Z braku powietrza traci przytomność. Petey opowiedział mi**

**to wszystko w odosobnionym kącie kawiarenki delikatesów. Siedzieliśmy naprzeciwko siebie.**

**- Nie powinieneś był wypędzać mnie wtedy do domu.**

**- Wiem - odpowiedziałem łamiącym się głosem. - Bóg mi świadkiem, że wiem.**

**- Ta kobieta była starsza od mamy. Miała kurze łapki koło oczu, szare włosy i zaciśnięte wąskie usta. Okropnie wąskie... Przygarbione ramiona i cienkie ręce. Wyglądała jak ptak, ale była strasznie silna. Mężczyzna miał długie brudne włosy i się nie golił. Nosił kombinezon i cuchnął tytoniem. - Czego od ciebie chcieli? Czy byłeś... - Nie mogłem się zdobyć, żeby wypowiedzieć słowo "napastowany".**

**Petey odwrócił głowę.**

**- Zawieźli mnie na farmę w Wirginii.**

**- Do sąsiedniego stanu? Byłeś tak blisko?**

**- Koło miasta, które nazywa się Redemption\*. Brzmi jak ponury żart, co? Naprawdę się tak nazywa, chociaż dowiedziałem się o tym dopiero później. Więzili mnie, dopóki nie uciekłem. Miałem wtedy szesnaście lat. - Szesnaście? Więc dlaczego nie przyjechałeś do nas?**

**- Myślałem o tym - odparł Petey, nieco zmieszany. - Ale nie mogłem się zmusić.**

**Wyciągnął z kieszeni koszuli paczkę papierosów.**

**Ledwie zapalił zapalniczkę, zjawiała się kelnerka. -**

**Przepraszam pana, ale tu nie wolno palić.**

**Surowe rysy twarzy Peteya stężały.**

**- Świetnie.**

**- Czy mogę przyjąć zamówienie?**

- A ja myślałem, że pani jest tu tylko od wydawania rozkazów. - Słucham?

- Wołowina z kukurydzą- powiedziałem, przerywając tę nieprzyjemną wymianę zdań. Petey niecierpliwym gestem schował papierosy do kieszeni. -Dwa piwa.

Gdy odeszła, rozejrzałem się, czy siedzimy dość daleko od pozostałych gości. - Jak to? Nie mogłeś się zmusić, żeby do nas przyjechać?

- Ten facet ciągle powtarzał, że mama i tata nie przyjmą mnie z powrotem. - Co takiego?

- Nie po tym, co zrobił... Powiedział, że rodzice będą czuć taką odrazę, że...

- Że się ciebie wyrzekną? Nie zrobiliby tego. - Ogarnął mnie smutek.

\* Redemption znaczy po angielsku "odkupienie" (przyp. tłum. ).

- Teraz to wiem. Ale kiedy uciekałem... Powiedzmy, że nie byłem sobą. Trzymali mnie pod ziemią.

- O Jezu.

- Przez siedem lat nie widziałem dziennego światła. - Mięśnie policzków Peteya naprężyły się. - Nie, nie orientowałem się, ile czasu upłynęło. Kiedy już uciekłem, trochę potrwało, zanim się w tym wszystkim połapałem. - I co później robiłeś? Widać było, że ciężko mu mówić.

- Włóczyłem się, pracowałem na budowach, jeździłem ciężarówkami. Łapałem się wszystkiego po trochu. Tak się złożyło, że zaraz po moich

**dwudziestych pierwszych urodzinach jechałem traktorem do Columbus. Zebrałem się w sobie i wstąpiłem do Woodford, żeby rzucić okiem na nasz dom. - Był już wtedy sprzedany.**

**- Tak, domyśliłem się.**

**- A tata od dawna nie żył.**

**- Tego też się dowiedziałem. Nikt nie pamiętał, dokąd wyprowadziła się pani Denning z synem Bradem.**

**- Mieszkaliśmy w Columbus u dziadków.**

**- Tak blisko. - Petey potrząsnął z żalem głową. - Nie pamiętałem nazwiska panińskiego mamy, więc nie mogłem odnaleźć jej rodziców. - Policja mogłaby ci pomóc.**

**- Ale najpierw zadaliby mi wiele pytań, na które wolałbym nie odpowiadać. - Aresztowaliby tych ludzi, którzy cię porwali.**

**- I co by mi to dało? Postawiliby ich przed sądem, musiałbym zeznawać. Opisałyby to wszystkie gazety.**

**- Machnął ręką z rezygnacją. - Czułem się taki...**

**- To już skończone. Spróbuj o wszystkim zapomnieć. To nie była twoja wina.**

**- Ciągle się czuję... - Petey szukał właściwego słowa. Kelnerka przy niosła piwo. Pociągnął długi łyk z butelki i zmienił temat. - Co z mamą? To pytanie zaskoczyło mnie.**

**- Z mamą?**

**- Jak się miewa?**

**Musiałem przez chwilę ochłonać, zanim odpowiedziałem.**

**- Zmarła w zeszłym roku.**

- Och... - westchnął Petey.
- Rak.
- Aha. - Wypuścił cicho powietrze. Wiadomość uderzyła go jak obuchem. Wpatrywał się w butelkę, ale jego wzrok był nieobecny.

Na atrakcyjnej twarzy Kate malowało się napięcie. Moja żona rozmawiając przez telefon przemierzała kuchnię od ściany do ściany i ze zdenerwowania przesuwała dłonią po jasnych włosach. Ujrzawszy mnie, opuściła rękę w geście ulgi. - Właśnie wszedł. Zadzwoń później.

Uśmiechnąłem się.

- Gdzie się podziewałeś? Wszyscy się o ciebie martwią.
- Martwią się?
- Po południu byłeś umówiony na kilka ważnych spotkań, ale się nie zjawiłeś. W biurze bali się, że miałeś wypadek albo...
- Straciłem rachubę czasu. Wszystko jest w porządku.
- ... ktoś cię napadł albo...
- Może to nawet za mało powiedziane.
- ... dostałeś ataku serca albo...
- Mam wspaniałą wiadomość.
- ... albo Bóg jeden wie czego. Zawsze byłeś taki niezawodny, a dzisiaj? Dochodzi szósta, a ty nawet nie zadzwoniłeś, żeby dać znać, czy nic ci się nie stało. Czyżbym czuła od ciebie zapach alkoholu? Piłeś? - A jakże - odparłem z szerokim uśmiechem.

- W ciągu dnia, lekceważąc klientów? Co cię napadło?
  - Powiedziałem już, że mam wspaniałą wiadomość.
  - Jaką wiadomość?
  - Petey wrócił.
- Błękitne oczy Kate wyrażały dezorientację, jak gdybym bredził. - Kto to jest?... - Nagle zrozumiała. - Wielki Boże, mówisz o... swoim bracie? - Dokładnie.
- Ale... przecież uważałeś go za zmarłego.
  - Myliłem się.
  - Jesteś pewien, że to on?
  - Absolutnie. Powiedział mi takie rzeczy, które tylko on mógł wiedzieć. To musi być Petey.
  - On naprawdę tu jest? W Denver?
  - A nawet bliżej. Na ganku.
  - Co? Kazalesz mu czekać na zewnątrz?
  - Nie chciałem wprowadzać go znieczeka. Wolałem cię uprzedzić. - Wyjaśniłem, co się stało. - Opowiem ci więcej, jak będzie czas. Wiedz tylko, że Petey dużo w życiu przeszedł. -
  - A więc tym bardziej nie powinien marznąć na ganku. Na miłość boską, wpuść go do środka. W tym momencie tylnymi drzwiami wszedł do domu Jason. Miał jedenaście lat, ale był mały na swój wiek, dlatego bardzo przypominał Peteya, jakiego pamiętałem. Aparat na zębach, piegi, okulary, szczupła sylwetka. - Co to za hałas? Kłóćcie się?
  - Wprost przeciwnie - odparła Kate.
  - Więc co się dzieje?

**Widok okularów na nosie Jasona przypomniał mi, że Petey też ich potrzebował. Mężczyzna czekający na zewnątrz nie nosił szkieł. Nagle poczułem ukłucie w żołądku. Czyżbym dał się nabrać? Kate przyklękła obok Jasona.**

**- Pamiętasz, jak opowiadaliśmy ci, że tatuś miał brata?**

**- Pewnie. Tata mówił o nim w telewizji.**

**- Braciszek taty zaginął dawno temu.**

**Jason skinął niepewnie głową.**

**- Miałem o tym straszny sen.**

**- To ci już więcej nie grozi - oznajmiła Kate. - Wiesz, co się stało? On wrócił. Niedługo się z nim spotkasz.**

**- Tak? Kiedy? - spytał uradowany Jason.**

**- Jak tylko otworzymy drzwi.**

**Chciałem coś powiedzieć, zwierzyć się z wątpliwości, które mnie przed chwilą ogarnęły, lecz Kate była już w holu przy drzwiach. Otworzyła je. Nie wiem, czego się spodziewała, ale wątpię, żeby niechlujnie wyglądający mężczyzna pasował do**

**wyidealizowanego wizerunku mojego zaginionego przed laty brata, który sobie stworzyła. Nieznajomy palił papierosa, przypatrując się rosnącym przed domem drzewom. Odwrócił się. Plecak leżał koło jego nóg. - Petey? - spytała Kate.**

**Przestąpił niepewnie z nogi na nogę.**

**- Myślę, że Peter brzmi bardziej dorośle.**

**- Wejdz, proszę.**

**- Dzięki. - Zerknął na niedopalonego papierosa, na otwarte drzwi, po czym oderwał żarzący się czubek i**

**schował resztę do kieszeni koszuli. - Mam nadzieję, że możesz zostać na kolacji - powiedziała Kate. - Nie chcę wam przeszkadzać.**

**- Ależ skąd. Będzie nam bardzo miło.**

**- Prawdę mówiąc, mnie też. Nie pamiętam, kiedy ostatnio jadłem do mowy posiłek.**

**- To jest Jason - oznajmiła Kate, wskazując z dumą naszego syna. - Cześć, Jason - rzekł mężczyzna, wyciągając rękę. - Lubisz grać w baseball?**

**Tak - odparł malec. - Ale nie jestem zbyt dobry.**

**- To tak jak ja, kiedy byłem w twoim wieku. Coś ci powiem. Po kolacji porzucamy trochę piłką. Co ty na to?**

**- Świetnie.**

**- No, dość już tego sterczenia na ganku. Wejdz - zaprosiła Kate. - Przyniosę nam coś do picia.**

**- Dla mnie piwo, jeśli można - odrzekł mężczyzna, który podawał się za Peteya.**

**Musiałem go o to zapytać, zanim przekroczył próg mojego domu. - Nosisz szkła kontaktowe?**

**- Nie - odparł ze zdziwieniem. - Dlaczego pytasz?**

**- Potrzebowałeś okularów, kiedy byłeś mały.**

**- Nadal potrzebuję. - Mężczyzna sięgnął do plecaka po niewielkie etui, otworzył je i wyjął okulary z pękniętym szkłem. - Wczoraj się stłukło. Jak wiesz, słabo widzę tylko na odległość. Czy to miał być sprawdzian? Wzruszenie ścisnęło mnie za gardło.**

**- Petey... Witaj w domu.**

**To najlepsza duszona wołowina, jaką kiedykolwiek jadłem, pani Denning. - Proszę, przestań mnie tak**

nazywać. Należysz do rodziny. - A puree jest po prostu nie z tej ziemi.

- Niestety, użyłam masła. Cholesterol podskoczy nam w górę na kilometr.

- Nigdy nie zwracam uwagi na takie rzeczy. Byle tylko dało się zjeść. -Petey uśmiechnął się, odsłaniając wyszczerbiony ząb.

Jason nie mógł oderwać od niego oczu.

- Chcesz się dowiedzieć, skąd to mam? - spytał Petey, wskazując szczerbę. - Jason, to niegrzecznie - skarciła go Kate.

- Wcale nie - roześmiał się gość. - Po prostu jest ciekawy, tak samo jakja w jego wieku. A więc słuchaj. Zeszłego lata budowałem dachy w Colorado Springs i spadłem z drabiny. Od tego czasu mam wyszczerbiony ząb i bliznę na brodzie. Dobrze, że nie było wysoko, bo złamałbym kark. - Tam teraz mieszkasz? - spytałem. - W Colorado Springs?

- Skądże znowu. Ja nigdzie nie mieszkam. Znieruchomiałem.

- Każdy gdzieś mieszka - zauważyła Kate.

- A ja nie.

Jason patrzył na niego ze zdziwieniem.

- W takim razie gdzie śpisz?

- Gdzie popadnie. Zawsze znajdzie się jakieś legowisko.

- Musisz się czuć... - zaczęła Kate, potrząsając głową.

- Jak?

- Samotny. Ani przyjaciół, ani nic własnego.

- To zależy, do czego się człowiek przyzwyczai. Ludzie często mnie zawodzili. - Petey patrzył na moją żonę, ale nie mogłem oprzeć się wrażeniu, że kieruje tę uwagę do mnie. - A co do własnych rzeczy, wszystko, co dla mnie ważne, mam w plecaku. To, czego nie mogę unieść, przeszkadza mi wędrować. - Król szos - powiedziałem.

- Jakbyś zgadł. - Nachylił się do Jasona, opierając łokcie na stole. -Przenoszę się z miejsca na miejsce, w zależności od pracy i pogody. Każdy dzień to nowa przygoda. Nigdy nie wiem, co mnie czeka. W niedzielę byłem akurat w Butte w Montanie i jadłem śniadanie w barze, gdzie grał telewizor. Zazwyczaj nie oglądam telewizji. Nie lubię niedzielnych programów, ale ten mnie zaciekawiał. W głosie człowieka, z którym reporter przeprowadzał wywiad, coś zwróciło moją uwagę. Podniosłem wzrok znad jajeczniczy z kielbasą i nagle przypomniałem sobie kogoś, kogo znałem dawno temu. Mój Boże. Czekałem, kiedy spikerka poda jego nazwisko. Ale po chwili okazało się to niepotrzebne, bo reporter wspomniał, że kiedy jego rozmówca był chłopcem, zaginął mu młodszy brat. Odjechał na rowerze ze szkolnego boiska baseballowego i nikt go więcej nie widział. To był oczywiście wywiad z twoim ojcem.

Petey spojrzał na mnie.

- Kiedy byłem starszy, coraz częściej myślałem o tym, żeby cię odszukać, Brad, ale nie miałem pojęcia, dokąd się przeprowadziłeś? Gdy tylko spikerka

**powiedziała, że mieszkasz w Denver, odłożyłem nóż i widelec i ruszyłem w drogę. Podróż zajęła mi niedzielę, poniedziałek i wtorek. Próbowałem zadzwonić z trasy, ale twojego domowego numeru nie ma w książce. A sekretarka w biurze nie chciała mnie połączyć. - To przez tych wszystkich czubków, o których ci mówiłem. - Czułem się winny, jak gdybym świadomie odmówił bratu rozmowy. - Jechałeś trzy dni z Montany? Chyba zepsuł ci się samochód - zauważyła Kate. f Petey zdecydowanie potrząsnął głową.**

**- Samochód to kolejna rzecz, która by mnie ograniczała. Jechałem oki-**

**- Okazją? - spytała Kate. - Dlaczego nie autobusem?**

**- No cóż, są przynajmniej dwa dobre powody. Z mojego doświadczenia wynika, że pasażerowie autobusów nie mają nic ciekawego do powiedzenia, a kierowca, który odważy się zabierać łebków to na pewno ktoś, z kim warto pogadać.**

**Powiedział to w taki sposób, że nie mogliśmy powstrzymać śmiechu. - A jeśli okaże się nudziarzem, zawsze mogę powiedzieć: "Wysadź mnie pan w najbliższym miasteczku". Łapię następną okazję i wszystko zaczyna się od nowa.**

**Każda podwózka to nowa przygoda. - Uśmiechnięte oczy Peteya świadczyły, że naprawdę go to bawi. - A jaki jest drugi powód tego, że nie przyjechałeś autobusem? - spytałem. Uśmiech znikł.**

**- Roboty nie było ostatnio za wiele. Nie miałem pieniędzy na bilet. - To łatwo zmienić - oznajmiłem. -**

**Znam budowy, gdzie pracy jest w bród. Jeśli cię to interesuje.**

**- Pewnie.**

**- Tymczasem mogę ci dać trochę kieszonkowego.**

**- Nie przyjechałem tu, żeby wyludzać od ciebie pieniądze - odrzekł Petey.**

**- Wiem. Ale jak sobie poradzisz, póki nie znajdziesz pracy? Nie znalazł na to odpowiedzi.**

**- No, nie wzbraniaj się. Chcę ci pomóc.**

**- Przydałoby się trochę gotówki na pokój w motelu.**

**- Nie ma mowy - sprzeciwiła się Kate. - Nie będziesz się tułał po motelach. Zostajesz na noc u nas.**

**Petey rzucił piłkę do Jasona, który zwykle miał dziurawe ręce, ale tym razem złapał ją bezbłędnie i wyszczerzył zęby w uśmiechu. - Spójrz, tato! Wujek Peter mnie tego nauczył!**

**- Widzę, widzę. Świetnie sobie radzisz. Może wujek powinien zostać trenerem.**

**Petey wzruszył ramionami.**

**- Poznałem parę sztuczek. W piątkowe wieczory lądowałem przeważnie koło boisk baseballowych w różnych miejscinach. Musisz tylko pamiętać o jednym, Jason: nie patrz na swoją rękawicę, tylko na piłkę. I w każdej chwili bądź gotów zacisnąć dłoń. Kate stanęła w tylnych drzwiach kuchni; jej blond włosy zajaśniały w blasku lampy. - Czas do łóżka, mały baseballisto.**

**- Naprawdę muszę, mamó?**

**- Już i tak pozwoliłam ci zostać pół godziny dłużej niż zwykle. Jutro idziesz do szkoły.**

**Zasmucony Jason odwrócił się do wujka.**

**- Nie licz na moją pomoc - powiedział Petey. - Słowo mamy to rozkaz. - Dziękuję za lekcję, wujku. Może teraz chłopcy pozwolą mi zagrać w drużynie.**

**- Jeśli nie, daj mi znać, a ja się do nich przejdę i zamienię z nimi parę słów. - Petey pogładził piaskową czuprynę Jasona i pchnął go lekko w stronę domu. - Nie każ mamie czekać. - Do zobaczenia rano.**

**- Jasne.**

**- Cieszę się, że nas znalazłeś, wujku.**

**- Ja też. - Głos Peteya zadrżał lekko ze wzruszenia. - Ja też. Jason wszedł do domu; Petey odwrócił się do mnie.**

**- Miły chłopak.**

**- Tak, jesteśmy z niego bardzo dumni.**

**Zachodzące słońce otoczyło korony drzew karmazynową poświatą. - A Kate...**

**- Jest cudowna. To był mój szczęśliwy dzień, kiedy ją poznałem. - Nie da się ukryć. Wspaniale ci się powiodło. Co za dom. Poczulem się zakłopotany, że mam tak wiele.**

**- Moi pracownicy pokpiwają sobie z niego.**

**Pamiętasz pewnie z programu, że naszą specjalnością są budynki, które zlewają się z tłem.**

**Ale kiedy po przyjeździe do Denver natknęliśmy się z Kate na to wielkie wiktoriańskie domisko, nie**

**mogliśmy mu się oprzeć. Drzewa od frontu i od tyłu całkiem nieźle je zasłaniają.**

**- Sprawia takie solidne wrażenie. - Petey spojrzał na swoje żylaste dłonie. - Dziwnie się życie układa. No cóż. Wstał i uśmiechnął się.**

**- Od ciężkiej roboty trenera może zaschnąć człowiekowi w gardle. Wypiłbym jeszcze jedno piwo.**

**- Zaczekaj.**

**Wróciłem po chwili z butelkami i reklamówką. Na mój widok Kate uniosła brwi. Rzadko zdarzało mi się pić tak dużo. - Co tam masz? - spytał Petey.**

**- Coś, co trzymałem dla ciebie od dawna.**

**- Nie bardzo wiem, co by to...**

**- Obawiam się tylko, że jest teraz za mała, żebyś mógł jej używać pod czas gry z Jasonem - dodałem. Potrząsnął głową.**

**- Poznajesz? - Wydobyłem z reklamówki wytartą rękawicę baseballową, którą znalazłem niegdyś pod rowerem Peteya. - O mój Boże.**

**- Przechowałem ją przez te wszystkie lata. Leżała zawsze w moim pokoju. Idąc spać, kładłem ją przy łóżku i próbowałem sobie wyobrazić, gdzie jesteś, co robisz... - Ostatnie słowa ledwie przeszły mi przez gardło. - I czy jeszcze żyjesz.**

**- Ile razy marzyłem, żeby nie żyć.**

**- Nie dopuszczaj do siebie tej myśli. Przeszłość już się nie liczy. Petey, jesteśmy znów razem. Tylko to jest ważne. Tak bardzo za tobą tęskniłem. Podając Peteyowi rękawicę, nie widziałem zbyt wyraźnie jego twarzy, bo oczy zaszły mi mgłą. -I co o nim sądzisz? -**

**spytałem cicho, gasząc światło i wsuwając się pod koldrę. Pokój Peteya był po drugiej stronie holu. Mój brat nie mógł nas usłyszeć, a mimo to zniżałem głos do szeptu.**

**Kate leżała nieruchomo. Odpowiedziała dopiero po dłuższej chwili. - Miał ciężkie życie.**

**- Na pewno. Ale chyba umie się nim cieszyć. Mimo wszystko. - Z konieczności, nie z wyboru.**

**- Pewnie tak. A jednak...**

**- Co masz na myśli? - spytała Kate.**

**- Gdyby chciał, mógłby żyć inaczej.**

**- Niby jak?**

**- Na przykład pójść do szkoły i zdobyć jakiś zawód.**

**- I zostać architektem tak jak ty.**

**Wzruszyłem ramionami.**

**- Czemu nie? Widziałem parę programów o rozdzielonych w dzieciństwie bliźniętach, które spotykają się jako dorośli ludzie. Często okazuje się, że wybierają ten sam zawód, mają identyczne hobby i bardzo podobne żony. - Chyba nie lubię być wrzucana do tego samego worka co hobby. Poza tym, wy nie jesteście bliźniakami.**

**- Racja. Ale wiesz, o czym mówię. Petey mógł żyć podobnie jak ja, ale wybrał coś innego.**

**-- Naprawdę uważasz, że ludzie w tak dużym stopniu decydują o sobie? Sam mi powiedziałeś, że nie zostałbyś architektem, gdyby nie nauczyciel geometrii z liceum.**

**Milczałem chwilę, w zamyśleniu obserwując gwiazdy na nocnym niebie. - Tak, był ze mnie niezły dziwak.**

Tylko ja jeden w szkole lubiłem geometrię. Ten człowiek wzbudził we mnie fascynację swoim przedmiotem. Po wiedział mi, co muszę zrobić, gdzie studiować, jeśli chcę zostać architektem. - Bardzo wątpię, czy twój brat miał jakiegoś nauczyciela geometrii. Czy on w ogóle chodził do liceum? - spytała Kate.

- Ktoś musiał go uczyć w taki czy inny sposób. Poprawnie się wysławia. Nie usłyszałem z jego ust ani jednego wulgarnego słowa. Kate odwróciła się do mnie i oparła na łokciu.

- Słuchaj, zrobię wszystko, co w mojej mocy, żeby mu pomóc. Jeśli zechce u nas zostać, dopóki nie postanowi, co dalej, nie będę się sprzeciwiać. - Miałem nadzieję, że to powiesz. - Nachyliłem się i pocałowałem ją. -Dziękuję.

- Czy nie stać cię na lepsze podziękowanie? Tym razem pocałunek trwał dłużej.

- To było już bardziej przekonujące - powiedziała, przesuwając dłonią po moim udzie.

- Mmm.

Obecność obcej osoby w domu napawała nas obawą, że możemy zostać usłyszani. Szczytowaliśmy, całując się mocno, aby zagłuszyć jęki. Potem leżeliśmy w ciszy. - Jeśli zechcemy być jeszcze bardziej przekonujący, trzeba będzie nas reanimować - mruknąłem.

- Metodą usta-usta?

- Ta metoda zawsze na mnie działa.

**Wstałem, żeby pójść do łazienki. Zerknąwszy przez okno, zobaczyłem coś, czego się nie spodziewałem. - Na co patrzysz? - spytała Kate.**

**- Na Peteya.**

**- Co takiego?**

**- Widzę go. Siedzi na krześle.**

**- Śpi?**

**- Nie, pali papierosa i patrzy w gwiazdy.**

**- Chyba nie mógł zasnąć po tym wszystkim.**

**- Wiem, jak się czuje.**

**- Jedno jest pewne - powiedziała Kate. - Każdy, kto ma dość dobrego wychowania, żeby nie palić w domu, jest tu mile widziany.**

**Petey oświadczył wprawdzie, że jest zadowolony ze swego życia, ale ja postawiłem sobie za punkt honoru, aby polubił je jeszcze bardziej. Uznałem, że należy zacząć od najprostszyc rzeczy, takich jak na przykład aparycja. Szczerba w zębie robiła okropne wrażenie. Podejrzywałem, że Petey tracił kolejne prace, bo wyglądał na włóczęgę i awanturnika.**

**Nazajutrz rano zadzwoniłem do naszego dentysty, wyjaśniłem sytuację i namówiłem go - za podwójną stawkę - żeby zrezygnował z lunchu. - Dentysta? - zdziwił się Petey. - Diabła tam. Nie idę do żadnego dentysty. - On tylko wyrówna tę szczerbę. Nawet nie poczujesz.**

**- Nie ma mowy. Nie byłem u dentysty od sześciu lat. Musiał mi wtedy usunąć jeden z tylnych zębów.**

**- Od sześciu lat? O mój Boże. Tym bardziej powinieneś zrobić sobie przegląd.**

**Nie powiedziałem mu, że higienista też zgodził się zrezygnować z lunchu. Wcześniej obdzwoniłem kilku fryzjerów i w końcu znalazłem takiego, który nie był akurat zajęty. Długie włosy - a moje też raczej nie należą do krótkich - nie muszą być zmierzwione i niechlujne. Po wizycie u fryzjera kupiliśmy trochę odzieży. Nie łudziłem się wprawdzie, że Petey zacznie nosić eleganckie spodnie i sportową marynarkę, ale pomyślałem, że nie zaszkodzi sprawić mu nowe dżinsy i porządną koszulę. Potem jeszcze sklep obuwniczy, gdzie znaleźliśmy odpowiednie buty robocze i tenisówki. - Nie mogę tego wszystkiego przyjąć - protestował Petey.**

**- To dla mnie przyjemność. Jeśli chcesz, możemy dzisiejsze zakupy nazwać pożyczką. Oddasz mi, kiedy już będziesz nadziany.**

**Poszliśmy do dentysty. Zęby Peteya zmieniły się nie do poznania, chociaż dentysta twierdził, że zostało jeszcze kilka dziur. Obiecał zająć się nimi podczas następnej wizyty, na przykład za parę tygodni.**

**Włosy mojego brata, stylowo zaczesane do góry, wyglądały świetnie. Przyszło mi do głowy, że chirurg plastyczny mógłby coś zrobić z blizną na brodzie, ale nie odważyłem się tego zaproponować. I tak za pomocą tych kilka prostych zabiegów udało się wiele osiągnąć. Petey wyglądał, jakby właśnie wyszedł z szatni po meczu tenisowym. - Głodny?**

**- Jak zawsze - odparł.**

**- Coś mi się zdaje, że ostatnio nie jadaleś zbyt regularnie. Masz parę kilo niedowagi. Lubisz włoską kuchnię?**

**- Na przykład spaghetti z mięsem?**

**-- Powiedzmy. W lokalu, do którego idziemy, na spaghetti mówią pasta, a dania noszą różne ciekawe nazwy, na przykład kurczak marsala. - Poczekaj chwilę.**

**- A po lunchu zaprowadzę cię do jednego faceta w sprawie pracy. - Brad, poczekaj...**

**- Dlaczego? Co się stało?**

**- Czy ty nie musisz zajmować się swoją firmą? - spytał Petey. - Wczoraj po południu wzięłeś sobie wolne? Dzisiaj rano też nie poszedłeś do biura. Kate mówiła, że jesteś umówiony na jakieś spotkania.**

**- Nic nie jest tak ważne jak ty.**

**- Ale nie możesz w taki sposób zaniedbywać roboty i jednocześnie wy dawać na mnie tyle pieniędzy. Mamy wiele zaległości, ale nie musimy wszystkiego nadrabiać za jednym razem. Na widok jego zatroskanej miny roześmiałem się.**

**- Myślisz, że mnie poniosło?**

**- Trochę.**

**- Więc co proponujesz?**

**- Idź do pracy. Po tamtej stronie ulicy jest park. Posiedzę sobie trochę na ławce, spróbuję zebrać myśli. Tyle się nagle zmieniło. Spotkamy się na kolacji u ciebie.**

**- Naprawdę myślisz, że tak będzie lepiej?**

**- Dość już dla mnie zrobiłeś.**

- Ale jak wrócisz do domu?
- Złapię okazję - odparł Petey.
- A jak nie złapiesz?
- Nie martw się, mam wprawę. - Uśmiechnął się szeroko. Jego zęby wyglądały świetnie.
- Mam lepszy pomysł. Weź mój samochód Odbierzesz mnie później z pracy. - Nie mogę, nie mam prawa jazdy.
- Tym też trzeba się będzie zająć.
- Jutro.
- Okulary wymagają naprawy.
- Dobrze - powiedział Petey. - Jutro.
- Tato, patrz! - zawołał Jason, przekrzykując warkot silnika. Uniosłem kciuk na znak aprobaty. Zatrzymali się koło mnie.
- Poradzisz sobie, Jason? - spytał Petey.
- Chyba tak.
- A więc do dzieła. Ja pogadam trochę z tatą. Jason skinął głową i skupił się na utrzymaniu kosiarki w linii prostej. Po chwili dojechał do najdalszego krańca ogrodu. Ryk maszyny ucichł. Podeszliśmy do ganku; Petey wziął sobie piwo, które tam stało. - Zdaje się, że obudziłem licha. Jak nabierze w tym trochę wprawę, będziesz musiał podnieść mu kieszonkowe.
- Pierwszy raz wykazał zainteresowanie kosiarką. Chyba odkryłeś w nim talent. Zwykle do trawników zamawiamy specjalną firmę. Ale to dobrze, że Jason nauczył się trochę odpowiedzialności. - Na to nigdy nie jest za wcześnie - rzekł Petey, pociągając łyk

piwa. - Wiem, ale naprawdę nie musiałeś kosić tej trawy.

- Nic wielkiego. Pomyślałem, że jest już trochę za wysoka. Ja też chcę coś dla ciebie zrobić.

- Ale naprawdę nie trzeba. Cieszę się, że tu jesteś. A w ogóle od przyszłego tygodnia zaczynasz pracę, więc teraz nie powinieneś się przemęczać. Petey przechylił głowę.

- Zaczynam pracę?

- Tak. Zadzwoiłem do paru osób i znalazłem ci robotę.

- Naprawdę? Świetnie!

- Przy budowie domu, który zaprojektowałem.

- To jeszcze lepiej.

- Wujku! - zawołał przerażony Jason, zmagając się z kosiarką, która skręciła w krzaki.

- Już idę! - odkrzyknął Petey i skoczył na ratunek.

Po powrocie do domu zastałem Peteya i Jasona przy ścinaniu trawy. Kosiarka była dla mojego syna trochę za duża, więc Petey siedł obok niego i pomagał na zakrętach. -

Nie musisz pomagać mi w zmywaniu - powiedziała Kate.

- Chociaż tyle chciałbym zrobić - odrzekł Petey, wycierając następny garnek. - Nie pamiętam, kiedy jadłem taki smaczny gulasz. - Zwykle nie używamy tyle czerwonego mięsa, ale tobie przydałoby się nabrać trochę wagi.

- A placek cytrynowy był po prostu wspaniały.

**Jason rozglądał się za drugim kawałkiem.**

**- Rzadko dostajemy deser w środku tygodnia.**

**- Pracowałeś ciężko przy koszeniu trawnika - wyjaśniła Kate - więc zasłużyłeś na ucztę.**

**Siedząc u końca stołu, nie mogłem powstrzymać uśmiechu na widok Peteya kręcącego się przy zlewozmywaku. Nadal trudno mi było uwierzyć, że to wszystko dzieje się naprawdę. - A wracając do tematu - powiedział Petey - nie dziwię się, że za mieszkaliście właśnie w Denver.**

**- Tak?**

**- Pamiętasz, jak pojechaliśmy z tatą na kemping?**

**- Oczywiście.**

**- Właśnie do Kolorado. Było wspaniale. Jazda samochodem z Ohio wykończyła nas, to fakt. Gdyby nie komiksy, które tata kupował nam po drodze...**

**Ale kiedy już dotarliśmy na miejsce, zapomnieliśmy o zmęczeniu. Namiot, spacer, wspinaczkę po skałach, wędkowanie. Tata nas wszystkiego nauczył.**

**- Przy pierwszym braniu byłeś tak podniecony, że za wcześnie podciąłeś. Ryba zerwała się z haczyka i wpadła z powrotem do jeziora. - Pamiętasz to?**

**- Tyle razy wspominałem później tę wycieczkę.**

**Miesiąc po naszym powrocie zaczęła się szkoła i... -**

**Nie mogłem się zmusić, żeby nawiązać do zniknięcia Peteya. - Bardzo długo było to dla mnie ostatnie piękne lato. - Dla mnie też - powiedział Petey,**

**spuszczając głowę. Zaraz jednak wzruszył ramionami, jakby odrzucając bolesne wspomnienia, i sięgnął po ostatni garnek. - W każdym razie,**

**pomyślałem sobie, że przeprowadziłeś się tu, bo podświadomie chciałeś wrócić do tamtych wakacji.**

**- Kemping - odezwał się Jason, przerywając smutny nastrój. Spojrzeliśmy na niego. Przez dłuższą chwilę siedział w milczeniu, zajadając drugi kawałek ciasta. - Tata obiecał, że zabierze mnie na kemping, ale chyba zapomniał. Poczuję się zawstydzony.**

**- Przecież tyle razy chodziliśmy na piesze wycieczki.**

**- Ale nigdy nie spaliśmy pod namiotem.**

**- Chcesz powiedzieć, że jeszcze nigdy nie byłeś na prawdziwym kempingu? - spytał Petey. Jason skinął głową.**

**- Raz spałem w namiocie, który rozbiliśmy na podwórku u Toma Burbicka. - To się nie liczy - powiedział Petey. - Trzeba pojechać tam, gdzie ryczą lwy, tygrysy i niedźwiedzie.**

**- Lwy i tygrysy? - powtórzył Jason. W okularach wydawał się taki słaby i bezbronny.**

**- Wujek tylko żartuje - uspokoiła go Kate, targając pieszczotliwie za czuprynę.**

**Do włosów przyłgnęło trochę piany ze zmywania.**

**- Mamo!**

**- Może to dobry pomysł - powiedziała, spoglądając na mnie i na Peteya. - Wycieczka z namiotem.**

**Moglibyście cofnąć się w przeszłość, nadrobić stracone lata. Wiem, że było ci ciężko, Peter, ale to już skończone. Znów zaczynają się dobre czasy.**

**- Chyba masz rację, Kate - zgodził się Petey. - Nawet już to czuję. - A ja? - przypomniał o sobie Jason. -**

**Czy mógłbym z wami pojechać? - Wszyscy pojedziemy - odparł Petey.**

**- Przykro mi, panowie, ale ja odpadam - oznajmiła moja żona, podnosząc ręce. - Na sobotę mam wyznaczone seminarium. Kate zajmowała się doradztwem w dziedzinie obniżania poziomu stresu u pracowników. Jej klientami były przeważnie firmy, które ograniczały liczbę zatrudnionych, co wiązało się z przeciążeniem pracą ludzi, którzy pozostali. - Poza tym noclegi w lesie to nie jest mój ulubiony sposób spędzania czasu. - Zupełnie jak mama - zauważył Petey, spoglądając na mnie. - Pamiętasz? - Tak.**

**- Z tą różnicą, że wasza mama bała się pszczół, a u mnie to kwestia doboru naturalnego.**

**- Doboru naturalnego? - zapytałem ze zdziwieniem.**

**- Wy, faceci, jesteście lepiej wyposażeni biologicznie do takich przygód. Łatwiej wam wyczołgać się nocą z namiotu i wysikać w lesie.**

**- Chciałem cię o coś zapytać.**

**Petey oderwał wzrok od mapy i spojrział na mnie.**

**- Tak?**

**Dochodziła jedenasta. Był pogodny sobotni poranek. Mój terenowy ford expedition został załadowany po brzegi wszelkiego rodzaju sprzętem. Wyjechaliśmy z Denver prowadzącą na zachód autostradą 70 i zewsząd otaczały nas już góry. Jednak Jason nie mógł podziwiać ich ośnieżonych szczytów, bo drzemał na tylnym siedzeniu. - Kiedy... - Trudno mi**

było to z siebie wydusić. - Właśnie sobie uświadomiłem, że może nie chcesz o tym mówić. - Jest tylko jeden sposób, żeby się przekonać.

- Kiedy uciekłeś...

-- No wykrztuś to wreszcie. Kiedy zwałem tym pokręconym draniom, którzy mnie porwali. To się stało i już się nie odstanie. Nie ma co owijać w bawełnę. - Miałeś szesnaście lat, kiedy uciekłeś. Mówiłeś, że wędrowałeś po kraju, imiałeś się dorywczych prac na budowach. Nic nie wspominałeś o szkole. Gdy cię porwali, byłeś w trzeciej klasie, ale przecież zdobyłeś ogładę i jakieś wykształcenie. Kto cię uczył? - Cóż, nauki dobrych manier w moim życiu nie brakowało - odparł gorzko Petey. - Ci dwoje, którzy trzymali mnie w podziemnej norze, ciągle kazali mi powtarzać "tak proszę pana, tak proszę pani, proszę i dziękuję". A jeśli zdarzyło się, że zapomniałem, przypominali o grzeczności biciem po twarzy. - Mięśnie jego szyi napięły się jak postronki.

- Przepraszam. Nie powinienem był o tym wspominać.

- W porządku. Nie ma co uciekać od przeszłości, ona i tak nas dopadnie w taki czy inny sposób. Petey wciągnął głębiej powietrze; jego wzrok sposepniał.

- Ale jeśli chodzi o wykształcenie, mam lepsze wspomnienia. Włócząc się od miasta do miasta, odkryłem, że dobrym sposobem na otrzymanie darmowego posiłku jest zjawić się na spotkaniu w kościele po niedzielnej sumie. Oczywiście, wcześniej

trzeba było przesiedzieć kilka nabożeństw. Przeważnie mi to nie przeszkadzało, bo było spokojnie. Po tylu latach bez książek, zapomniałem, jak się czyta. Kiedy okazywało się, że ledwie dukam z Biblii, co gorliwsi wierni starali się temu zaradzić.

Najbardziej zależało im, żebym potrafił zgłębiać Pismo Święte. W parafii zawsze znalazł się jakiś nauczyciel, więc po pracy dostawałem prywatne lekcje w tym czy innym miasteczku. Na świecie jest wielu porządnych ludzi. - Miło mi to słyszeć.

- Co miło słyszeć, tato? - spytał Jason sennym głosem.

- Że na świecie są porządni ludzie.

- Nie wiedziałeś o tym?

- Czasem nie byłem pewien. Daj wujkowi skupić się na mapie. Niedługo będziemy musieli odbić z trasy. Nie możemy przegapić zjazdu.

Szukaliśmy miejsca, które nazywa się Breakhorse Ridge\*. To dziwne, że niektóre nazwy tak długo pozostają w pamięci. Dwadzieścia pięć lat temu ojciec \* Breakhorse - zbitka dwfch wyrazów:

"break" - łamać i "horse" - koń (przyp. tłum.).

zabrał mnie i Peteya na kemping. Jeden z robotników w fabryce mebli, gdzie tato było majstrem, mieszkał kiedyś w tych stronach i opowiadał, jak tam jest pięknie. Więc tato, który już wcześniej postanowił, że pojedziemy do Kolorado, wybrał właśnie tę okolicę. Pamiętam, że przez całą drogę prześladował mnie obraz łamania końskich grzbietów. Nie wiedziałem, że kowboje "łamali"

**dzikie konie, żeby można było na nich jeździć, więc bałem się tego, co zobaczę na miejscu. Wreszcie tato spytał, czym się trapię. Kiedy powiedziałem, wytłumaczył mi, że "łamanie koni" to po prostu ujeżdżanie. Moja obawa zamieniła się w ciekawość. Ale gdy dojechaliśmy na miejsce, okazało się, że nie ma tam żadnych koni ani kowbojów, tylko kilka starych drewnianych zagród, łąka schodząca do jeziora, osikowy las, a dalej łańcuch gór. Nigdy nie zapomniałem tej nazwy. Lecz kiedy ślęczeliśmy z Peteyem i Jasonem nad mapą, nie mogłem jej znaleźć. W końcu musiałem zadzwonić do centralnego zarządu parków leśnych w Kolorado i otrzymałem faksem wycinek planu z zakreśloną trasą do Breakhorse Ridge. Rozpostarłem na stole w jadalni mój a mapę, po czym przyłożyłem do niej nadesłaną kartkę, żeby moi towarzysze wyprawy mogli sprawdzić, dokąd jedziemy. Byliśmy już niedaleko. Skręciłem w prawo, w autostradę numer dziewięć, prowadzącą na pomoc, w głąb Narodowego Parku Leśnego Arapaho. -Od tej pory trzeba bardzo uważać na drogę. Zerkajcie na mapę. Jason prześlizgnął się na przednie siedzenie. Petey wpuścił go pod swój pas bezpieczeństwa.**

**- Czego szukamy? - spytał Jason.**

**- Tej krętej linii - odparł Petey, pokazując mu faks. - To będzie taka piaszczysta leśna dróżka po prawej stronie. Trzeba dobrze uważać, żeby jej nie przeoczyć wśród sosen.**

**Las stawał się coraz gęściejszy. Zauważyłem w oddali prześwit, ale milczałem, żeby dać szansę Jasonowi. Petey chyba się domyślił, o co mi chodzi, bo widziałem, że podnosi wzrok znad mapy i spogląda w tamtą stronę. Zbliżaliśmy się.**

**Przecinka stawała się coraz wyraźniejsza.**

**- Tam! - zawołał Jason. - Widzę drogę!**

**- Brawo - pochwalił Petey.**

**- Dobra robota - dodałem. - O mało jej nie minęliśmy.**

**Skręciłem w wyboistą dróżkę. Pas między koleinami porastała wysoka, gęsta trawa, z boku wdzierały się krzaki. Korony sosen tworzyły nad nami baldachim.**

**- O rany, chyba nie przejedziemy - zmartwił się Jason.**

**- Nie ma obawy - uspokoił go Petey. - Ten wóz ma napęd na cztery koła i poradziłby sobie w o wiele trudniejszym terenie. Nie musielibyśmy się martwić, nawet gdyby zaczął padać śnieg.**

**-- Śnieg? - zdziwił się Jason. - W czerwcu?**

**- A jakże - odparł Petey. - W górach nawet o tej porze roku może się zdarzyć śnieżycy. - Drzewa się przerzedziły. - Patrz, ile śniegu leży na szczytach. Na tej wysokości słońce jeszcze nie grzeje dość mocno, żeby go roztopić. Droga pięła się zygzakami w górę. Patrząc na stok za nami, można było dostać zawrotów głowy. Wyboje stały się tak dokuczliwe, że chyba tylko nawykli do ujeżdżania koni kowboje mogli jeździć tędy z przyjemnością. - Kto mógł**

**zbudować tę drogę? - spytał Jason. - Wygląda na bardzo starą.**

**- Pewnie służba leśna - odparłem. - A może drwale lub ranczerzy, za nim te tereny stały się częścią parku narodowego. Tato opowiadał nam, że niegdyś hodowcy bydła trzymali tu małe stada na mięso dla poszukiwaczy złóż w miasteczkach górniczych.**

**- Poszukiwaczy złota? - spytał zaciekawiony Jason.**

**- I srebra. To było bardzo dawno temu. Większość tych miasteczek jest teraz opuszczona.**

**- Nazywają je miastami duchów - dodał Petey.**

**- O rety - westchnął Jason.**

**- A niektóre zamieniły się w kurorty narciarskie - powiedziałem, aby uspokoić jego wyobraźnię. Nie chciałem, żeby w nocy dręczyły go koszmary-Droga zaprowadziła nas na szczyt wzgórza; na przeciwległym zboczu rozpościerała się zalana słońcem łąka. Wysoka trawa falowała, poruszana lekkim wiatrem. - Pamiętam tę łąkę. Tak samo wyglądała, kiedy jechaliśmy tędy z tatą. - Po tylu latach? - zdziwił się Petey.**

**- Czy już jesteśmy na miejscu? - niecierpliwiał się Jason. Dzieci zawsze zadają to pytanie. Wyobrażam sobie, że zadręczaliśmy nim ojca przez całą drogę. Spojrzeliśmy z bratem na siebie i nie mogliśmy się powstrzymać od śmiechu. - Co w tym śmiesznego? - zapytał Jason.**

**- Nic - odparł Petey. - Jeszcze nie jesteśmy na miejscu.**

**Minęło pół godziny. Z łąki wjechaliśmy w iglasty las na zboczu znacznie bardziej stromym niż poprzednie. Zakręty stały się ostrzejsze. Wreszcie zatrzymałem wóz na grzbiecie wzgórza. Przed nami rozciągała się trawiasta niecka. Od powierzchni jeziora, jakby żywcem wziętego z ilustracji w przewodniku, odbijały się promienie słońca. Na drugim brzegu ciemniały kępy osik, potem sosnowy las, a jeszcze dalej strzelały w górę wierzchołki gór. - Tak - powiedziałem ze ściśniętym ze wzruszenia gardłem. - Właśnie taki widok zapamiętałem.**

**- Nic się nie zmieniło - przytaknął Petey.**

**Z prawej strony dostrzeżliśmy resztki starego ogrodzenia. Słupy i poprzeczne drągi już dawno się poprzewracały i zamieniły w kupki spróchniałego drewna. Minęliśmy je, zbliżając się do jeziora. Nie było żadnych innych samochodów. Brak jakichkolwiek śladów świadczył o tym, że od bardzo dawna nikt tędy nie przejeżdżał. Zatrzymałem się dwadzieścia metrów od brzegu, tak jak ćwierć wieku temu zrobił to nasz ojciec. Wysiadłem i wciągnąłem w płuca świeże, rześkie powietrze. -Tato, spójrz na to stare ognisko! - zawołał Jason.**

**Stali z Peteyem po drugiej stronie wozu. Zerknąłem ponad dachem na krąg osmalonych kamieni ze stosem poczerniałych szczap pośrodku. -**

**Rzeczywiście stare - potwierdził Petey. - Założę się, że nie było tu nikogo od lat - dodał, spoglądając na**

**mnie. - Ciekawe, czy w tym samym miejscu rozpalaliśmy z tatą nasze ogniska.**

**- Przyjemna myśl.**

**Jasona rozpierała energia.**

**- Gdzie rozbijemy namiot?**

**- Może tam? - Wskazałem miejsce po prawej stronie kręgu. - Wydaje mi się, że właśnie tam pomagaliśmy tacie stawiać namiot.**

**- Tatusiu, a czyja mogę pomóc?**

**- Oczywiście - odpowiedział zamiast mnie Petey.**

**Podniosłem klapę bagażnika i zaczęliśmy wypakowywać rzeczy. Wrażenie de ja vu nabrało intensywności, wydawało się bardziej realne niż rzeczywistość. Spojrzałem na Jasona i Peteya, wyciągających namiot z nylonowego worka. Okulary i piegi mojego syna, jego jasna czupryna pod czapką baseballową, workowate džinsy i luźna koszula tak bardzo upodabniały go do małego Peteya, że aż przeszedł mnie dreszcz. Jason popatrzył na mnie z zaciekawieniem.**

**- Co się stało, tato?**

**- Nic. Trochę chłodno. Chyba założę wiatrówkę.**

**Chcesz swoją? - Nie, dziękuję.**

**- Wielki bracie, to ty jesteś specem od budowania domów - zawołał Petey. - Może nam pokażesz, jak poskładać to diabelstwo do kupy? Minęła godzina, zanim udało nam się rozbić namiot.**

**Dochodziło wpół do drugiej. Kate zapakowała do turystycznej chłodziarki kurczaka, wołowinę, kanapki z masłem orzechowym, napoje, jabłka i**

**paczki chipsów ziemniaczanych. Jason nie tknął jabłek. Poza tym pochłaniał wszystko, podobnie jak ja i Petey. Widzieliśmy ryby rzucające się w jeziorze, ale postanowiliśmy wyjąć wędkę później. Najpierw chcieliśmy się rozejrzeć w terenie. Po posiłku wrzuciliśmy worek ze śmieciami do bagażnika, a potem ruszyliśmy w lewo, wzdłuż jeziora. -**

**Pamiętam, że tam była jaskinia - powiedziałem, wskazując w stronę osikowego lasu - i mnóstwo miejsc do wspinaczki.**

**- Lubisz się wspinać? - zawołał Petey do Jasona, który wysforował się daleko przed nas.**

**- Nie wiem! - Jason odwrócił głowę, nie przestając biec. - Nigdy tego nie robiłem.**

**- Będziesz miał okazję spróbować!**

**Jezioro miało około stu metrów szerokości. Kiedy je okrążaliśmy, drogę zagroził nam strumień, który do niego wpadał. Płynący wartkim nurtem, zasilany wodą z topniejącego na zboczach gór śniegu był zbyt szeroki, by go przeskoczyć. Pomaszerowaliśmy więc wzdłuż brzegu, między osikami. Ryk wody stawał się chwilami tak głośny, że zagłuszał rozmowę.**

**Znajdowaliśmy się wyżej od położonego na poziomie tysiąca pięciuset metrów Denver, ale rozrzedzone górskie powietrze nie przeszkadzało nam w marszu, a wprost przeciwnie - dodawało wigoru.**

**Przekraczając zwalone pnie drzew i wspinając się na wielkie głazy, czułem się wspaniale. Zacząłem żałować, że dopiero teraz wziąłem urlop, aby zażyć tej przyjemności. Po drugiej stronie strumienia**

ujrzeliśmy nagle brązową sylwetkę jelenia. Zauważywszy nas, zwierzę znieruchomiało na chwilę, a potem śmignęło z gracją między białawe pnie osik. Pomyślałem, że jeleń nie mógł usłyszeć naszych kroków z powodu szumu potoku. Musiał nas zwietrzyć. Po chwili ukazał się następny i jeszcze jeden. Mimo łoskotu płynącej wody dobiegł mnie tętent ich kopyt. Wkrótce dotarliśmy do miejsca, gdzie potok spadał kaskadami w wąskie gardło, które wyglądało na zbyt niebezpieczne, aby do niego wejść. Odbiliśmy więc w lewo stromą ścieżką, zrytą odciskami kopyt. Szlak prowadził dalej po lesistym zboczu. Spostrzegłszy nieco wyżej zalany słońcem występ skalny, postanowiliśmy go obejrzeć. Dotarcie do niego okazało się trudniejsze, niż można było przypuszczać. Petey i ja co jakiś czas potykaliśmy się na zsuwających się kamieniach. Stoczylibyśmy się po zboczu, obcierając ręce i nogi albo nawet je łamiąc, gdyby nie obnażone korzenie drzew, których się chwytaliśmy. Jason natomiast wspinał się niczym kozica. Czekał już na nas, gdy dysząc ciężko wdrapaliśmy się w końcu na dużą płaską półkę. Roztaczał się stąd widok na skalisty wąwóz, na którego dnie szalał potok. Dzielilo nas od niego sześćdziesiąt metrów, więc nie musiałem już krzyczeć, aby być usłyszany. - Nie zbliżaj się do krawędzi - ostrzegłem Jasona.

- Dobrze - obiecał. - Tato, ale tu jest super.

- Lepsze niż oglądanie telewizji, prawda? - spytał Petey. Mój syn zawahał się, a jego wyraz twarzy

można było odczytać jako: "Tego bym nie powiedział". Petey parsknął śmiechem. - Gdzie jest ta jaskinia, o której mówiłeś? - spytał Jason. - Nie mogę sobie przypomnieć - odparłem. - Ale wiem na pewno, że po tej stronie potoku.

- Poszukamy jej?

- Oczywiście. Jak tylko trochę odpoczniemy.

Rozsiadłem się na skale, odpiąłem od paska manierkę i pociągnąłem długi łyk doskonałej, letniej wody o delikatnie metalicznym posmaku. Strażnik leśny, z którym rozmawiałem przez telefon, kilka razy powtarzał, że musimy zabrać ze sobą manierki, plecaki z żywnością, kompas, mapę topograficzną (dwoma ostatnimi przedmiotami w ogóle nie umiałem się posługiwać), apteczkę i płaszcze przeciwdeszczowe na wypadek nagłej zmiany pogody. "Włóżcie kilka warstw odzieży - radził - a w plecaku zawsze noście ze sobą suche kurtki". Przed wymarszem założyłem dzinsową bluzę. Teraz zdjąłem ją, rozgrzany wspinaczką, i wsadziłem do plecaka. -Chcecie orzeszki z rodzynkami? - zaproponowałem.

- Mam jeszcze pełny brzuch po lunchu - odparł Petey.

Jason spojrzał na mnie niepewnie.

- O co chodzi? - spytałem.

- Muszę...

Krótką chwilę zajęło mi, zanim się domyśliłem.

- Wysikać się?

Jason skinął głową, zawstydzony.

**- Idź za ten głaz - poradziłem.**

**Zawahał się, ale zaraz zniknął za kamieniem.**

**Spełniwszy swoją rodzicielską powinność, mogłem podejść do krawędzi półki, żeby spojrzeć w głąb imponującego kanionu. Potok spadał w dół seria kaskad, nad którymi unosiła się mgielka drobniutkich kropelek wody. Co powiedział Jason? Super? Miał rację. Było naprawdę super. Nagle z tyłu usłyszałem krzyk.**

**- Tato!**

**Coś łupnęło mnie w plecy z taką siłą, że zabrakło mi tchu i poleciałem w dół. Spadanie odebrało mi resztkę tchu w piersiach. Ostatek powietrza uleciał z moich płóc, gdy zwałem się na luźne kamienie i, jęcząc, potoczyłem razem z nimi. Nagle zbocze się urwało. Żołądek podskoczył mi do gardła.**

**Uderzyłem o skałę z ogromną siłą, a moja lewa ręka wygięła się, jakby chciała wyskoczyć ze stawu. Po chwili spadłem na coś twardego i otoczyła mnie chłodna mgła. Wokół wirowała ciemność. Gdy otworzyłem oczy, czerń zamieniła się w szarość, lecz zawrót głowy trwał nadal. Ból pulsował w całym ciele. Dopiero po dłuższej chwili uświadomiłem sobie, że ten szary tuman to chmura kropelek unoszących się nad strumieniem. Ryk wody powiększał jeszcze moje oszołomienie. Poczulem na twarzy zimny, wilgotny materiał. Stopniowo docierało do mnie, że lewy łokieć zasłania mi nos i usta. Rękaw nasiąkł mgielką znad potoku. Nagle zadrzałem, uświadamiając sobie, że to nie tylko**

woda. Z mojego ramienia lała się krew. Przeraziłem się. Uniósłszy z wysiłkiem głowę, stwierdziłem, że leżę na skalnej półce, wiszącej około pięćdziesiąt metrów nad powierzchnią ryczącego strumienia. Zbocze poniżej jeżyło się ostrymi występami. Boże drogi, co się stało?

Spojrzałem w górę. Przez mgiełkę trudno było dostrzec szczyt skalnej ściany. Widziałem jednak rumowisko kamieni zaraz pod jej krawędzią. To właśnie ono ocaliło mi życie. Gdybym od razu spadł w przepaść, odniósłbym dużo gorsze obrażenia. Ja jednak stoczyłem się po zboczu, co było bardzo bolesne, ale złagodziło upadek. Poniżej rumowiska znajdowała się półka, z której runąłem na kamienny występ, gdzie teraz leżałem. Oba te miejsca dzieliło około sześciu metrów. Powinienem być zginąć.

Dlaczego tak się nie stało? Nad moją głowę dyndał plecak. Zaczepił się o gałąź krzywej sosny, która jakimś cudem wyrosła na zboczu. Pamiętałem, że zanim podszedłem do krawędzi, by spojrzeć w dół, wepchnąłem bluzę do plecaka i zarzuciłem go na lewe ramię. Ostry ból w lewej ręce świadczył o sile, z jaką wyhamowałem na drzewie. Ramię wysliznęło się z paska i z wysokości niecałych dwóch metrów spadłem na skałę. Ocalił mnie szczęśliwy przypadek. Mimo straszliwego bólu, spróbowałem usiąść. W głowie mi się kręciło, jakby wirowała na łożysku. Bałem się, że zwymiotuję. -Jason! Petey!

**Próbowałem krzyczeć, lecz słowa grzęzły w gardle niczym kamienie. -Jason! Petey! - zawołałem jeszcze raz.**

**Mój głos utonął w ryku strumienia.**

**Nie panikuj, powiedziałem sobie. To nic, że mnie nie słyszą. Wiedzą, gdzie jestem. Przyjdą mi na ratunek. Boże, byleby tylko nie próbowali schodzić po stoku, pomyślałem nagle z przerażeniem. -Jason, Petey! Nie ruszajcie się stamtąd, bo spadniecie i zabijecie się! Z moich ust wydobył się tylko chrapliwy szept.**

**Wyteńczyłem wzrok z nadzieją, że zobaczę ich twarze nad krawędzią klifu. Na próżno. Może szukają jakiegoś zejścia? Albo pobiegli do gardła kanionu, by dotrzeć do mnie stamtąd? Modliłem się, żeby uważali, żeby Jason nie ryzykował, a Petey nie spuszczał go z oka. Trzęsąc się, rozsunałem strzępy rękawa. Kiedy otarłem krew, zobaczyłem dziesięciocentymetrową ranę między nadgarstkiem i łokciem. Natychmiast zaczerwieniła się i zaczęła broczyć. Gorzki smak żółci podszedł mi do ust. Zrób coś, pomyślałem. Nie możesz tak tu leżeć i wykrwawiać się na śmierć. Plecak kołysał się nad moją głową. Wyciągnąłem rękę, ale nie mogłem go dosięgnąć. Pokonując ból, zebrałem wszystkie siły i stanąłem na nogi. Myślałem o apteczce.**

**Kolana ugięły się pode mną i o mało nie runąłem w przepaść. Oparłem się o krawędź skały. Mimo chłodu bijącego od potoku, cały byłem zlany potem. Poczulem dreszcze. Chwyciwszy się występu nad głową, wstałem niepewnie. Przed oczami zawirowały**

mi ciemne plamki. Po chwili znikły i mogłem spojrzeć na plecak. Wydawał się tkwić tak wysoko. Zranione lewe ramię zwisało bezwładnie u mojego boku. Uniosłem prawą rękę. Jeszcze tylko dziesięć centymetrów. Przycisnąwszy pierś do zbocza, wspiałem się na palce. Drżąc z bólu pulsującego w biodrach, boku i żebrach, wyciągnąłem rękę i westchnąłem z radości, gdy wyczułem pod palcami pasek. Zrobił się śliski od wilgotnej mgły znad strumienia. Wysunął mi się, lecz natychmiast sięgnąłem doń ponownie, tym razem zaciskając dłoń z całej siły. Pociągnąłem w prawo, w stronę przepaści, starając się zerwać plecak z sękatej gałęzi. Szarpnąłem raz, drugi i nagle poczułem, że tracę równowagę. W ostatniej chwili rzuciłem się rozpaczliwie na skalną półkę. Krzyknąłem, gdy ranna ręka uderzyła o kamień, ale nie miałem czasu rozczulać się nad sobą. Musiałem się skupić na zdrowym ramieniu, zwisającym nad krawędzią przepaści, i utrzymać plecak w trzech palcach. Udało się. Ostrożnie przetoczyłem się na plecy i przytulilem mój skarb do piersi. Kusiło mnie, żeby odpocząć, ale przewyciężyłem się, pamiętając o upływie krwi. Zanurzyłem dłoń w plecaku, odsunąłem kurtkę i płaszcz przeciwdeszczowy i wydobyłem plastikową apteczkę pierwszej pomocy. Otworzyłem ją niezdarnie i zamarłem, widząc tylko króciutkie paseczki gazy, niewielkie plastry, nożyczki, waciki nasączone środkiem dezynfekującym, tubkę maści z

antybiotykiem i plastikową buteleczkę tylenolu. Żadna z tych rzeczy nie nadawała się do zatamowania krwotoku. Opaska uciskowa, błysnęło mi w głowie. Użyję szelek od plecaka... Ledwie zacząłem je odpinać, przypomniałem sobie o niebezpieczeństwie skrzepów i gangreny, jeśli nie rozluźnia się opaski w odpowiednich odstępach czasu. Co za różnica, pomyślałem. Zanim umrę na gangrenę, i tak wykrwawię się na śmierć. Bandaż ciśnieniowy. W artykule ostrzegającym przed użyciem opasek czytałem, że taki bandaż jest skutecznym sposobem zmniejszenia upływu krwi bez zatrzymywania jej obiegu. Ale skąd go wziąć? Krwawienie przybrało na sile.

Może dlatego, że byłem oszołomiony, potrwało dłuższą chwilę, zanim przypomniałem sobie o jeszcze jednej rzeczy, która powinna być w plecaku. Kiedyś podczas wycieczki do Paryża Kate zwichnęła kostkę, a potem kuśtykała od jednej apteki do drugiej w poszukiwaniu bandaża elastycznego: długiego pasa materiału, służącego do usztywnienia chorej kończyny. Od tej pory, ilekroć wyruszaliśmy w podróż, zawsze zabieraliśmy taki bandaż ze sobą. Zanurzyłem prawą rękę w plecaku. Gdzie on się podział, myślałem usilnie. Kate nie byłaby sobą, gdyby go nie zapakowała. A jednak tym razem zdarzyło jej się zapomnieć.

Już miałem zrezygnować, kiedy zauważyłem wybrzuszenie z boku plecaka. Ostatkiem woli walcząc, żeby nie stracić przytomności, odsunąłem

zamek i omal nie rozplakałem się ze wzruszenia na widok znajomej rolki. Jedną ręką, pomagając sobie zębami, otwierałem po kolei opakowania opatrunków. Oczyszcziłem ranę wacikiem antyseptycznym, posmarowałem maścią i położyłem na niej kilka plastrów. Natychmiast nasiąkły krwią. Szybko zacząłem owijać przedramię bandażem elastycznym. Na każdej warstwie momentalnie ukazywała się czerwona plama. Pospiesznie zamotałem kilka następnych ciasnych zwojów, z niepokojem patrząc na zmniejszającą się ilość bandaża. Modliłem się, żeby krew nie przesiąkła wszystkich warstw. Jeszcze jedna i jeszcze jedna. Spiąłem końcówkę dwiema agrafkami, które były zapakowane razem z bandażem. Utkwiłem wzrok w jasnobrązowym materiale i przez chwilę czekałem z trwogą, aż się zaróżowi, a potem zaczerwieni od krwi. Wstrzymałem oddech i wypuściłem powietrze, dopiero gdy miałem pewność, że mała szkarłatna plamka już się nie powiększy. Kryształowe szkiełko mojego zegarka było strzaskane; wskazówki zatrzymały się na godzinie trzynastej pięćdziesiąt. Nie miałem pojęcia, ile czasu spędziłem na skalnej półce, jednak zerknąwszy w górę, dostrzegłem przez wodną mgiełkę, że słońce przesunęło się na zachód dalej, niż się spodziewałem. Musiałem dość długo leżeć bez przytomności. Nad krawędzią skały nadal nie było widać żywego ducha. Gdzie są Petey i Jason? Trzeba dać im trochę czasu, pomyślałem. Wiedziałem, że jeśli szybko się stąd nie wydostanę,

moja sytuacja znacznie się pogorszy. Nie byłem zaprawiony w zmaganiach z niespodziankami czyhającymi na człowieka w dzikim terenie, to nie ulegało wątpliwości. Jednak każdy mieszkaniec górzystego stanu, jakim jest Kolorado, co jakiś czas chcąc nie chcąc dowiaduje się z prasy lub telewizji o wypadkach śmierci z powodu hipotermii. Iluż to turystów wybiera się w góry w szortach i koszulkach z krótkim rękawem. Tam zaskakuje ich nagła burza, a jednocześnie spada temperatura. Wystarczą trzy godziny, aby pozostawieni bez ciepłych ubrań i płynów umarli z zimna. Trząsałem się, leżąc na wilgotnej skale. Ręce i stopy mi zdrętwiały. Jeśli nie wydostanę się stąd wkrótce, myślałem, nie będzie miało znaczenia, że zatamowałem upływ krwi. I tak umrę. Próbowałem wyobrazić sobie, jak wspiąć się po niemal pionowej ścianie do następnej półki, a stamtąd po rumowisku do skalnej krawędzi. Wiedziałem, że nie mogę liczyć na zranioną rękę. Był tylko jeden sposób, żeby wydostać się z tej pułapki... Spojrzałem w dół. Zbocze usiane było sporymi występami; od najbliższego dzieliło mnie półtora metra, a od kolejnego dwa razy tyle. Wołałem nie myśleć, jakie przeszkody czyhają dalej. Słońce już znikło za linią klifu. Dno przepaści krył cień. Było dopiero późne popołudnie, lecz wiedziałem, że niedługo zapadnie zmrok. Gdy się ściemni, na ratunek będę mógł liczyć dopiero rano. A do tego czasu umrę.

**Każdy ruch był męką. Mimo to założyłem plecak, położyłem się na brzuchu i ześliznąłem z krawędzi półki. Zawisłem na zdrowym ramieniu, zsuwając się najdalej, jak się dało, po czym zwolniłem uchwyt. Ból upadku przeszył moje ciało aż do szpiku kości. O mało nie zemdląłem. Czołgając się do brzegu następnego występu, rozdarłem koszulę i obtarłem skórę na piersi. Przez podarte dzinsy wyglądały zakrwawione kolana. Starając się zachować trzeźwość umysłu, mozolnie parłem w dół. Miejsca, które z góry wyglądały na śmiertelne pułapki, okazywały się łatwe do pokonania; głązy służyły mi za stopnie. Za to fragmenty stoku sprawiające wrażenie dostępnych groziły fatalnym upadkiem. Światła z każdą chwilą ubywało. Poruszałem się tym ostrożniej, im głośniejszy stawał się ryk strumienia. Przy każdym kroku najpierw sprawdzałem nogą, czy mam pewne oparcie, a mimo to omal nie spadłem, gdy kamień usunął mi się spod stopy i runął w przepaść. Ciemność gęstniała, podobnie jak unosząca się nad potokiem mgiełka. Wilgoć obklejała mi twarz, wsiąkała w ubranie, sprawiała, że trząsałem się coraz bardziej. Kiedyś czytałem, że ofiary hipotermii popadają po pewnym czasie w ośpienie i tracą kontakt z rzeczywistością. Całą siłą woli starałem się temu zapobiec. Tymczasem dotarłem na dno rozpadliny i omal nie wleciałem do rozszalałej wody. Ogłuszony jej rykiem, nawet nie zdawałem sobie sprawy, jak blisko jestem strumienia. Cofnąłem się raptownie i mało**

**brakowało, a zwichnąłbym kostkę. Kontrast między błękitem nieba i półmrokiem wąwozu niepokoił mnie coraz bardziej. Ze zdwojoną uwagą posuwałem się wzdłuż strumienia. Byłem przemoczony. Bałem się złamać nogę tuż przed dotarciem do celu. Brnąłem po śliskich kamieniach, chwytalem się omszałych głazów bliski fizycznego i psychicznego otępienia. Nie od razu zorientowałem się, że to, czego się kurczowo trzymam, nie jest skałą, lecz pnem osiki, że widzę słaby blask słońca, że wydostałem się z mroku i otaczają mnie drzewa. Już niedługo, uspokajałem się w myślach. Wzdłuż potoku dotrę do jeziora. Wyobraziłem sobie, że otwieram drzwiczki samochodu, włączam ogrzewanie i czuję, jak zalewa mnie fala ciepła, podczas gdy przebieram się w suche rzeczy. -Jason! Petey!**

**Dokuśtykałem do brzegu jeziora i zmrużyłem oczy, spoglądając na drugą stronę. Coś mnie ścisnęło w piersiach. Samochodu nie było.**

**To jasne, pomyślałem. Petey i Jason pojechali po pomoc. Niebawem wrócą. Ja tymczasem schronię się w namiocie i ogrzeję. Ale namiotu też nie było.**

**- Nie! - krzyknąłem tak głośno, że żyły na mojej szyi nabrzmiały, grożąc pęknięciem. - Nieee!**

**To zdumiewające, jak uporczywie człowiek może nie dopuszczać do siebie prawdy. Kiedy starałem się przedostać na dno kanionu, dręczyły mnie podejrzenia, ale nie miałem czasu ich analizować, bo myślałem tylko o tym, żeby przeżyć. Teraz też**

**próbowałem sobie wmówić, że się mylę. Sześć godzin wcześniej wydawałoby mi się nie do pomyślenia - zwłaszcza przy moim głębokim poczuciu winy - że brat może mnie zepchnąć w przepaść. Boże, co on zrobił z Jasonem?**

**Trzęsąc się tak, że aż szczękały mi zęby, z furją zdarłem z siebie mokrą koszulę, wydobyłem z plecaka dżinsową bluzę i wciągnąłem na gołe ciało. Nasiąkła wilgocią znad potoku, lecz w porównaniu z resztą przemoczonej odzieży wydawała się luksusem. To za mało. Musiałem rozpalić ognisko, wysuszyć spodnie, buty i skarpetki. Upewniwszy się, że metalowy pojemnik na zapalki jest rzeczywiście wodoszczelny, jak zapewniał sprzedawca sprzętu turystycznego, ruszyłem do lasu po drewno. Wiatr sprawiał, że w mokrych dżinsach było mi coraz zimniej. Objąłem się ramionami, ale drgawki przybrały na sile. Półprzytomny z wycieńczenia, ułożyłem na polanie krąg z kamieni taki, jak po drugiej stronie jeziora. Na środku umieściłem trochę gałązek i zeschniętych liści. Zapaliłem zapalkę. Jednak ręka drżała mi tak silnie, że płomień zgasł, zanim zbliżyłem go do stosiku. Spróbowałem ponownie, rozpaczliwie starając się utrzymać nieruchomo dłoń, świadomie kontrolując mięśnie ramienia. Tym razem się udało: pojawił się dym, usłyszałem trzask pękających gałązek. Nagle poczułem straszliwe pragnienie. Sięgnąłem do pasa po manierkę. Nie było jej tam. Przeraziło mnie nie tylko to, że ją zgubiłem, ale i to, że do tej pory tego nie zauważyłem. Mój**

**język, pokryty nieświeżym nalotem, przywarł do podniebienia. Kusilo mnie, żeby napić się wody z potoku. Wolalem jednak nie ryzykować zatrucia. Wymioty lub biegunka spowodowałyby jeszcze większe odwodnienie. Tymczasem ściemniło się. Musiałem zebrać jak najwięcej suszu na podpałkę. Nad grzbietami gór czerwieniał maleńki skrawek słonecznej tarczy, a ja pospiesznie ściągałem gałęzie opadłe z drzew. Wkrótce otoczył mnie mrok. Nie był jednak tak czarny jak moje myśli. Jason. Czy Petey zrobił mu krzywdę? Boże, nie pozwól, aby mojego syna spotkało coś złego. Błagam. Powtarzałem te słowa niczym mantrę, kuląc się koło ogniska. Chciałem je powiększyć, żeby się lepiej ogrzać, lecz powstrzymywała mnie obawa, że nie wystarczy mi opału do świtu. Podniosłem koszulę i zbliżyłem do ognia. Musiałem odsuwać ją co chwilę, żeby się nie zajęła. Była wprawdzie częściowo podarta, ale stanowiła dodatkową warstwę ochronną. Drżąc z zimna, rozebrałem się, założyłem koszulę, a następnie z powrotem bluzę. Wyjąłem też z plecaka płaszcz przeciwdeszczowy i naciągnąłem na głowę kaptur. Im więcej warstw, tym lepiej. Chłód kąsał mi dłonie. Pocierając je nad ogniem, wyrzucałem sobie, że nie byłem dość przewidujący, żeby zabrać rękawice. Ale gdybym był człowiekiem przewidującym, przede wszystkim nie zaprosiłbym Peteya do domu. Jednak nawet teraz, zastanawiając się nad tym usilnie, nie mogłem się doszukać w jego zachowaniu w ciągu tych kilku dni żadnych znaków**

**ostrzegawczych. Ty sukinsynu, krzyknąłem w myślach, ale zaraz tego pożałowałem. Moi rodzice nie zasługiwali na obelgi, a wszystkie przekleństwa, jakie w związku z Peteyem przychodziły mi do głowy, obrażały ich pamięć. Przecież w tym, co się stało, nie było ich najmniejszej winy. Tylko moja. Meteorolodzy zapowiadali, że temperatura spadnie w nocy do pięciu stopni Celsjusza. Gdybym usnął, a ogień by wygasł, mógłbym się nigdy więcej nie obudzić. Przypomniałem sobie, że w samochodzie zostały ciepłe śpiwory. Oczyma wyobraźni ujrzałem, jak rozsuwam zamek błyskawiczny i wślizguję się do środka... Przebudziwszy się nagle, stwierdziłem, że leżę na zimnej trawie koło ledwie rozżarzonych szczap. Przerażony, poruszyłem zdrętwiałą prawą ręką. Sięgnąłem po garść gałązek, wepchnąłem je kijem między przykryte popiołem węgielki i patrzyłem, jak strzelają z nich języki ognia. Niezdarnie dołożyłem większe kawałki drewna. Odrętwienie powoli mijało, nie opuszczał mnie jednak strach przed śmiercią z wyziębienia. Wsunąłem do suchych ust kilka rodzyneków i orzeszków ziemnych. Modlitwa o życie Jasona pomogła mi uporządkować myśli. Pilnując ognia, zastanawiałem się nad Peteyem. Nienawidziłem go ze wszystkich sił. I nie zasnąłem.**

**To było prawie niewyczuwalne. W pierwszej chwili pomyślałem, że wyobraźnia płata mi figle. Jakby**

**ktoś przesunął po mojej twarzy niewidzialnym, chłodnym piórkiem. Wtem usłyszałem ciche syczenie, dochodzące od rozgrzanych kamieni wokół ogniska. Skojarzyło mi się z odgłosem, jaki wydaje maszynka do parzenia kawy, gdy kropelka wody spadnie z dziobka na gorącą podstawkę. Poczulem, że płatki wirują szybciej, a niosący je wiatr staje się chłodniejszy. Otrząsnąłem się z otępienia; zalegająca wokół szarość fałszywego brzasku zdradziła mi, co się dzieje. W pierwszym odruchu próbowałem podsyć ogień. Płatki śniegu zasyczały głośniejsz na kamieniach. Słońce, które kryło się jeszcze za grzbietem gór na wschodzie, dawało już dość światła, abym mógł zobaczyć białe plamy na trawie. Ciemne chmury wisiały nisko.**

**Mimo większej ilości drewna, płomienie przygasły. Z ogniska buchały kłęby dymu. Przestraszony, szybko założyłem plecak. Petey powiedział Jasonowi prawdę: na początku czerwca w górach może jeszcze padać śnieg. Synoptycy ustawicznie ostrzegali turystów, że na tej wysokości często dochodzi do gwałtownych załamań pogody. Wczoraj nie zapowiadali jednak opadów, a ja byłem pewien, że mając wóz i namiot nie musimy się niczego obawiać. Teraz przeklinałem swoją krótkowzroczność. Od autostrady dzieliło mnie pół godziny jazdy samochodem. Przerażony widokiem złowieszczych chmur, próbowałem obliczyć, jak daleko uda mi się dotrzeć pieszo. Droga była tak kiepska, a teren tak nierówny, że większość czasu jechałem z prędkością**

nie większą niż trzydzieści pięć kilometrów na godzinę. A więc jestem około piętnastu kilometrów od szosy. Z obolałą kostką oznaczało to dla mnie pięć lub sześć godzin marszu w ubraniu zbyt lekkim jak na tę temperaturę. Śnieg stawał się coraz gęstszy; ledwie widziałem jezioro. Uświadomiłem sobie, że prawdopodobnie nie udałoby mi się znaleźć drogi do autostrady i mógłbym chodzić w kółko, aż wreszcie padłbym z wyczerpania. Oczywiście, gdybym wcześniej sprawdził, jak posługiwać się kompasem, miałbym większe szanse. Jednak wyrzuty sumienia nie pomogą mi przetrwać. Raczej obawa o życie Jasona i wściekłość na Peteya. Przypomniałem sobie chwilę, gdy widziałem mego syna po raz ostatni. To było na skalnej platformie nad przepaścią. "Gdzie jest ta jaskinia, o której mówiłeś?", spytał. Jaskinia. Gdyby udało mi się ją znaleźć, nim zamieć rozsiale się na dobre... Zebrałem siły i ruszyłem w las. Widoczność pogorszyła się nagle. Skręciłem w stronę potoku - nie żeby napić się wody, lecz po to, aby nie zgubić drogi. Otoczył mnie biały całun. Mokre płatki wirowały coraz gęściej. Moje tenisówki zapadały się w śniegu. Tenisówki. Kupiłem kompas, nawet nie umiając się nim posługiwać, a nie posłuchałem sprzedawcy, który radził mi zaopatrzyć się w porządne obuwie. Powiedziałem, że to zbędne, bo nie planujemy forsownych marszów. Zaczynałem tracić czucie w stopach. Kuśtykałem, wspinając się po zboczu. Gdyby jakiś kamień ukryty pod śniegiem usunął mi się spod nóg, łatwo straciłbym równowagę.

**Czy pamiętam, gdzie jest jaskinia? Wiedziałem, że leży po przeciwnej stronie strumienia i że w gruncie rzeczy jest tylko szczeliną w skale, która trzynastoletniemu chłopcu wydawała się ogromną pieczarą. Dotarłem na stromy grzbiet wzgórza, biegnący ukosem w lewo. Osiki ustąpiły miejsca jodłom. Gałęzie zaczepiały się o moje ręce i drapały po twarzy. Bałem się, że w gęstniejącej zamieci przeoczę jaskinię, a latem turyści znajdą moje ciało lub raczej to, co z niego zostanie po ucztach padlinożerców. Jestem architektem, a nie instruktorem szkoły przetrwania. Dlaczego, do cholery, nie zabrałem na wycieczkę rękawic? Ktoś tak głupi zasługuje na śmierć. Uchylając się przed gałęzią, straciłem równowagę i omal nie roztrzaskałem głowy o głaz. Głupiec. Zasłużyłem sobie na to, aby... Niejasna myśl zakołatała w mojej słabnącej świadomości. Jestem architektem. Potrafię... Myśl nie dawała mi spokoju. Powoli odwróciłem się w stronę kamienia, który o mało nie wyrznąłem głową. Budować. Pozbierałem się na nogi. Głaz sięgał mi do wysokości klatki piersiowej. Półtora metra od niego, nieco z lewej strony, leżał drugi, trochę niższy. Obydwa opierały się o skalną ścianę. Budować, powtórzyłem w myśli.**

**Podszedłem do konara, przed którym się wcześniej uchyliłem, i napałem nań całym ciężarem ciała. Trzask, który przerwał martwą ciszę, nie wiedzieć czemu rozniecił we mnie iskierkę nadziei. Powlokłem gałąź po śniegu, dźwignąłem ją i zawiesiłem pomiędzy głazami. Powtórzyłem te czynności jeszcze kilka razy. Zamierzałem zbudować dach z krzyżujących się konarów. Ręce mi skostniały, a z oczu ciekły łzy, które zamarzały na policzkach, Nie miałem czasu, żeby wsunąć sine, zakrwawione dłonie pod płaszcz i ogrzać je o ciało. Pozostało jeszcze mnóstwo do zrobienia. Kamieniami wielkości piłki nożnej obciążylem końce gałęzi. Półprzytomny zgarniałem nogami śnieg pod głazy, powiększając zaspę, która się tam utworzyła. Umieściłem dwa konary w wejściu do mojej kryjówki, żeby jeszcze lepiej osłonić ją przed wiatrem. Ręce piekły niemiłosiernie, ale nie mogłem przestać. Musiałem jeszcze zebrać suche gałązki, liście ipatyki i ułożyć z nich stos.**

**Z tyłu, tam gdzie głazy stykały się ze skałą, zostawiłem otwór, aby dym miał którądy wydostawać się z szalasu. Osłonięty od wiatru i śniegu, nie odczuwałem już zimna tak dotkliwie. Jednak gdy spróbowałem wydobyć zapalną z pojemnika, moje zgrabiałe dłonie poruszały się tak, jakby były odziane w ogromne, sztywne rękawice. Zdawało się, że palce nie należą do mnie. Zapalnik raz po raz wypadła mi z ręki i nie chciała zapłonąć. W końcu**

wydobyłem drugą, która na szczęście zapaliła się przy pierwszym potarciu o draskę, zsunęła prosto na stos liści i gałązek - i nie zgasła. Z maleńkiego ogieńka uniósł się dym. Wstrzymałem oddech, żeby się nie zakrztusić. Fala ciepła skierowała szare kłęby w stronę otworu, który zostawiłem. Moje wysuszone gardło spuchło i odcięło dopływ powietrza do płuc. Byłem tak otępiały, że dopiero po dłuższej chwili gapienia się na metalowy pojemnik z zapalkami przytomniłem sobie, co muszę zrobić. Niezdarnie wsadziłem zapalki do apteczki, napełniłem pudełko śniegiem i umieściłem koło ogniska. Białe płatki zaczęły powoli topnieć. Żeby się nie oparzyć, naciągnąłem rękaw koszuli na palce i sięgnąłem po pudełeczko. Miało kształt kwadratu o boku pięciu centymetrów i głębokości zaledwie centymetra, lecz odrobina wody, która się w nim mieściła, stanowiła nieodpartą pokusę. Z najwyższym trudem zmusiłem się, by poczekać, aż ostygnie. W końcu moja cierpliwość się wyczerpała. Przez materiał koszuli podniosłem pudełko, podmuchałem na nie i wlałem do ust letnią wodę o cierpkim smaku. Rozpłynęła się na wysuszonym języku, zanim zdążyłem ją przełknąć. Niecierpliwym gestem jeszcze raz napełniłem pojemnik śniegiem, który roztopił się momentalnie od ciepła metalu. Wypiłem, ale płyn znów nie dotarł do gardła. Nabrałem kolejną porcję śniegu, przysunąłem pudełeczko do ogniska i wrzuciłem w płomień kilka patyków. Powtarzałem te czynności jeszcze wiele razy. Kiedy już moje usta i

**gardło były wilgotne, sięgnąłem do plecaka po foliową torebkę orzeszków z rodzynkami.**

**Przeżuwałem każdy kęs długo i starannie, żeby nie uронić nawet okruszka. Wpatrywałem się w ogień. Dręczył mnie lęk o Jasona, a jednocześnie czułem, jak rośnie we mnie nienawiść do Peteya.**

**Jak przez mgłę pamiętam, że wyszedłem z kryjówki, aby usunąć śnieg z otworu kominowego i nazbierać więcej drewna na opał. Wszystko inne odeszło w niepamięć. Wiem, że budziłem się kilka razy, gdy ognisko wygasło. Tylko ciepło, które wchłonęły głązy, ratowało mnie wówczas od zamarznięcia na śmierć. Kiedy bandaż na przedramieniu zaróżowił się od krwi, nie przestraszyłem się, jakby ręka należała do kogoś innego. Nawet widok zasp śniegu w wejściu i przedzierającego się przez gałęzie światła słonecznego nie zrobił na mnie wrażenia. W końcu dotarło do mnie, że minął cały dzień. Uwięziony w szalasy prawie nie odczuwałem upływu czasu.**

**Pewnie leżałbym otępiały, aż całkiem bym zamarzł, gdyby nie woda kapiąca przez prowizoryczny dach. Wzdrygnąłem się, kiedy zimne krople spadły na moje powieki. Blask słońca był oślepiający.**

**Poruszyłem głową. Lodowate strumyczki spływały mi prosto do ust; miały lekki posmak żywicy z gałęzi jodły. Wyplułem wodę i usiadłem, rozglądając się za suchym miejscem. Przez dach zaczęło kapać na niemal wygasłe ognisko, z którego wzbily się kłęby dymu. Krztusząc się, złapałem plecak, pokonałem zaspę i gałęzie tarasujące wejście i wyczołgałem się**

na zewnątrz. Poczulem na skórze kojące ciepło promieni słonecznych. Śnieg zdążył już opaść z drzew, wszędzie tworzyły się kałuże. Znów miałem całkiem przemoczone stopy i łydki, lecz nie trzęsłem się, bo teraz ogrzewało mnie słońce. Jego pozycja nad horyzontem wskazywała, że jest przedpołudnie. Chociaż moje ciało wzbierało się przed ruchem, wiedziałem, że jeśli nie wykorzystam poprawy pogody, może nie dostanę drugiej szansy. Odwróciłem się, żeby ostatni raz spojrzeć na szalas. Był koślawy, jakby sklecony przez dziecko, lecz żaden z budynków, które zaprojektowałem, nie wzbudził we mnie tyle dumy. Ruszyłem w dół zbocza. Odbite od śniegu promienie raziły w oczy. Jeszcze nim słońce stanęło w zenicie, ziemia pod moimi stopami zamieniła się w błoto. Drogi nadal jednak nie było widać, mogłem więc tylko iść przed siebie w stronę prześwitu między drzewami. Nie pamiętam, kiedy dotarłem do autostrady numer dziewięć i upadłem na asfalt, ani też twarzy kierowcy, który mnie znalazł. Prawdopodobnie stało się to pod wieczór. Ocknąłem się na pogotowiu ratunkowym w miasteczku Frisco. Pochylony nade mną policjant dopytywał się, co się stało. Później powiedziano mi, że minęło dwadzieścia minut, nim usłyszał w miarę sensowną odpowiedź. Podobno wołałem Jasona, jak gdyby mój syn znajdował się na wyciągnięcie ręki, a ja nie mogłem mu pomóc. Lekarz zszył mi ranę na przedramieniu, dezynfekował i obandażował dłoń. Istniała obawa,

że są odmrożone. Tymczasem policjant wrócił od telefonu.

- Panie Denning, posterunek w Denver wysłał patrol do pańskiego domu. Światła były zgaszone, nikt nie otwierał drzwi. Funkcjonariusze zaświecili latarką w okno garażu i zobaczyli w środku forda expedition. - W garażu? To nonsens. Po co Petey miałby wracać do domu? - Nagle pojąłem. - O Boże.

Próbowałem zerwać się z łóżka. Lekarz i policjant z trudem mnie powstrzymali.

- Koledzy z Denver wybili szybę i weszli do środka. Przeszukali wszystko dokładnie. Dom jest opuszczony. Panie Denning, czy ma pan jakieś inne pojazdy?

- A co to za różnica... - Walilo mi w głowie. - Żona ma volvo. - Nie stoi w garażu. To też nie miało sensu.

- Ten drań musiał je zabrać. Dlaczego? Gdzie są moja żona i syn? Z zafrasowanego wyrazu twarzy policjanta odgadłem, że nie powiedział mi jeszcze wszystkiego. - Sypialnia państwa i pokój chłopca zostały splądrowane.

- Co?

- Szuflady były powyciągane, ubrania leżały na podłodze. Koledzy z Denver odnieśli wrażenie, że ktoś porzrzucał wszystko w wielkim pośpiechu. Z mojego gardła wyrwał się przeraźliwy krzyk.

\* \* \*

## **Część druga**

**Rozpaczliwie pragnąłem wracać do domu, ale lekarz zgodził się wypuścić mnie ze szpitala dopiero nazajutrz rano. Wracałem do Denver policyjnym wozem. Prawy nadgarstek bolał mnie jeszcze od kroplówki. Po dwóch dniach bez jedzenia powinienem był umierać z głodu, ale szok psychiczny zabił we mnie apetyt. Ledwie zmusiłem się do przełknięcia banana i szklanki soku pomarańczowego. Policjant skręcił w moją ulicę. Pod klonami przed naszym wiktoriańskim domem stała jakaś półciężarówka, a parę metrów dalej radiowóz. Było tam jeszcze kilka innych samochodów i dwie furgonetki lokalnej stacji telewizyjnej. Wysiadając z wozu, rozpoznałem reporterkę, która uzbrojona w mikrofon zbliżała się do mnie w towarzystwie kamerzysty. Jej kolega z konkurencyjnej stacji również nie dał na siebie długo czekać. Z pozostałych samochodów wyskakiwali inni dziennikarze. - Jak oni się dowiedzieli, do cholery?**

**- Niech pan wejdzie do domu.**

**Policjant kroczył przede mną z wyciągniętymi rękami, a ja niepewnie przemykałem przez trawnik. Spodnie i koszula, pożyczone od lekarza - z moich zostały strzępy - wisiały na mnie luźno, wzmagając jeszcze poczucie bezbronności. Zdołałem jakoś wśliznąć się do domu i zatrzasnąłem drzwi, odgradzając się od tłumu reporterów wykrzykujących moje nazwisko. Zaraz jednak**

**otoczyły mnie nowe głosy. W salonie natknąłem się na kilku mężczyzn w sportowych marynarkach; paru innych krzątało się z narzędziami laboratoryjnymi w dłoniach. Rozmawiali. Jeden z nieznajomych, dobrze zbudowany, z wąsikami, zauważył mnie i podszedł.**

**- Pan Denning?**

**Skinąłem kilka razy, aż zakręciło mi się w głowie.**

**- Jestem porucznik Webber, a to sierżant Pendleton - powiedział, wskazując młodszego, szczuplejszego mężczyznę o gładko wygolonej twarzy. -**

**Przeszukaliśmy strych, piwnicę i ogród. Nie natrafiliśmy na żaden ślad pańskiej żony i syna - oznajmił Pendleton.**

**Przez chwilę nie rozumiałem, o czym mówi.**

**Funkcjonariusze, którzy włamali się wczoraj do domu, stwierdzili, że Kate i Jasona nie ma w domu. Jeśli Petey zabrał ich samochodem Kate, dlaczego policjanci przeszukiwali strych...? Poczulem mdłości, gdy dotarło do mnie, że szukali ukrytych zwłok. -Nie wygląda pan najlepiej, panie Denning. Proszę usiąść.**

**- Webber zaprowadził mnie do salonu; pozostali mężczyźni zostawili nas samych. -Przyniosę panu szklankę wody.**

**Lekarz w szpitalu podał mi dużo płynów, ale mimo to czułem się odwodniony. Kiedy detektyw wrócił, przez chwilę zdawało mi się, że to on jest gospodarzem, a ja gościem. Wziąłem szklankę niezgrabnie w obandażowane dłonie i przełknąłem**

**łyk. Żołądek zaprotestował. - Nie wiecie, gdzie jest moja żona i syn?**

**- Jeszcze nie - odparł Webber. - Policjant z drogówki przekazał nam pańskie zeznania, ale musimy zadać panu jeszcze kilka pytań. - Spojrzał na moją podrapaną twarz. - Czy czuje się pan na siłach, aby na nie odpowiedzieć? - Im prędzej to zrobię, tym prędzej odzyskam rodzinę.**

**Policjanci wymienili spojrzenia, których sens zrozumiałem dopiero później - oni nie byli wcale pewni, że zobaczę jeszcze kiedyś żonę i syna.**

**Pendleton zerknął na moje zabandażowane ręce. - Byłoby dobrze, gdybyśmy mogli... Wziąć pańskie odciski palców. - Moje? Ale dlaczego?**

**- Żeby je oddzielić od odcisków mężczyzny, który porwał pańską rodzinę. Którą sypialnię zajmował? -**

**Po wejściu na piętro proszę skrócić w lewo. -**

**Zabrakło mi tchu. - Pokój jest na końcu korytarza, po prawej stronie.**

**- To ten, w którym znaleźliśmy rękawicę**

**baseballową na łóżku - wyjaśnił laborantowi**

**Webber. - Rękawicę? - spytałem, sztywniejąc. - Na jego łóżku?**

**Pendleton zmarszczył czoło.**

**- Tak. Czy to ważne?**

**- Należała kiedyś do Peteya.**

**- Nie rozumiem.**

**- On chce przez to powiedzieć, że nie potrzebuje już tej przeklętej rękawiczki, bo ma coś lepszego.**

**- Proszę się uspokoić, panie Denning. Nie nadążamy za tokiem pańskich myśli. Laborant przyciskał po kolei moje palce do nasączonej atramentem poduszczeni, a później do kartki papieru. Ja zaś próbowałem wyjaśnić detektywom przebieg wydarzeń. - Zaginiony przed laty brat?**

**- Bóg mi świadkiem, że tak właśnie jest.**

**- Skąd pan wie, że ten mężczyzna naprawdę jest pańskim bratem? - Opowiadał mi rzeczy, które tylko mój brat mógł wiedzieć. Policjanci wymienili spojrzenia.**

**- O co chodzi?**

**- No cóż - zaczął Webber. - Może słyszał pan to, co chciał usłyszeć. Niektórzy oszuści potrafią wygłaszać ogólnikowe uwagi w taki sposób, że ludzie, których starają się nabrać, sami dopowiadają resztę. - Nie, sprawdziłem go. Nie pomylił się ani razu.**

**- Oni bywają niesamowicie przebiegli.**

**- Ale to nie ma sensu. Motywem oszusta byłby rabunek. Mógł poczekać, aż Kate i ja wyjdziemy do pracy, a Jason do szkoły. Miałby cały dzień na splądrowanie domu. Nie musiałby posuwać się do zabójstwa. To jest osobista zemsta Peteya! Pendleton wykonał uspokajający gest.**

**- My tylko próbujemy się zorientować, z kim mamy do czynienia. - Na miłość boską, oszust nie byłby tak głupi, żeby dodawać morderstwo i porwanie do ewentualnego oskarżenia o rabunek. - Chyba że lubi zadawać ból - powiedział Webber, spoglądając mi prosto w oczy.**

**Zakręciło mi się w głowie. Przez cały czas starałem się wierzyć, że oni żyją. Teraz po raz pierwszy przyznałem przed samym sobą, że Jason może leżeć martwy w górach, a Kate w jakimś przydrożnym rowie. Omal nie dostałem torsji.**

**Pendleton wyczuł moje przerażenie.**

**- Nie ma pan przypadkiem jego fotograffi? - spytał chyba tylko po to, by odwrócić moją uwagę od strasznych myśli. - Nie.**

**- W takiej wyjątkowej chwili, po powrocie zaginionego brata, nie robił Pan zdjęć?**

**-- Nie - odparłem niecierpliwie. Dlaczego na miłość boską wpuściłem obcego człowieka do domu?**

**Ale on przecież nie był obcy, odpowiedziałem sobie.**

**To bzdura! Po dwudziestu pięciu latach Petey stał się obcym człowiekiem! -Panie Denning?**

**Podniosłem wzrok na Pendletona, który zdążył wypowiedzieć moje nazwisko kilka razy, zanim oprzytomniałem. - Jeśli to możliwe, chcielibyśmy, żeby oprowadził nas pan po domu i sprawdził, co ukradziono.**

**- Oczywiście. Zrobię wszystko, żeby pomóc.**

**Podał mi lateksowe rękawice. Obaj policjanci założyli takie same. W jadalni od razu zauważyłem brak srebrnych sztućców, które Kate odziedziczyła po babce. Znikła też srebrna zastawa do herbaty. W pokoju telewizyjnym nie było odtwarzaczy wideo i DVD, a także drogiego dekodera audiowideo. -**

**Pewnie wziąłby też telewizor, ale przy czterdziestu sześciu calach nie wszedłby mu do volvo -**

**zauważyłem z goryczą. Nie mogłem pojąć, dlaczego Petey nie uciekł terenowym fordem. Zmieściłoby się w nim znacznie więcej skradzionych rzeczy.**

**Webber odwrócił głowę z zakłopotaniem.**

**- Później będziemy mogli o tym porozmawiać, a teraz dokończmy obchód domu. Z kuchni znikła mikrofalówka i piekarnik marki Cuisinart, z garażu liczne narzędzia, z mojego gabinetu laptop. - A broń? - spytał Pendleton. - Trzyma pan w domu jakąś broń palną? Czy porywacz ją zabrał?**

**- Nie mam żadnej broni.**

**- Nawet strzelby myśliwskiej?**

**- Nie. Nie poluję.**

**Weszliśmy na górę. W drzwiach pokoju Jasona stanąłem jak wryty. Wszystkie szuflady leżały na podłodze, tak samo jak ubrania. Siłą woli zmusiłem się, żeby wejść do środka. -Mój syn trzyma drobne pieniądze w słoiku na biurku.**

**Skarbonki nie było.**

**Z jeszcze większymi oporami przekroczyłem próg sypialni. Minąłem porzucane sukienki Kate i zajrzałem do garderoby. -Brakuje czterech walizek. Gdy uświadomiłem sobie, co to wszystko oznacza, nogi się pode mną ugięły. Musiałem oprzeć się o framugę drzwi. Dotąd sądziłem, że Petey splądrował biurko i szafy, szukając w pośpiechu przedmiotów, które warto ukraść. Teraz, przyjrząwszy się dokładniej**

**rozrzuconej na podłodze odzieży, uzmysłowiłem sobie, że brakuje niektórych ubrań Kate i Jasona. -**

**Gdyby nie żyli, Petey nie zabierałby dla nich rzeczy - powiedziałem. - A więc żyją. Muszą żyć.**

**Webber kazał mi wszystko uważnie przejrzeć. Ubyło również moich ubrań. W głębi szuflady z bielizną nie znalazłem pięciuset dolarów, które trzymałem tam na wszelki wypadek. Znikło też pudełko z biżuterią Kate i rolex, który zakładałem na specjalne okazje. To wszystko nie miało znaczenia, liczyli się tylko Kate i Jason. Laboranci przez cały czas fotografowali bałagan w sypialniach, inni szukali odcisków palców. Zeszliśmy na dół, żeby im nie przeszkadzać. Po raz drugi przyszło mi do głowy, że ten dom nie należy już do mnie. - Dlaczego wziął volvo? - spytałem. Słyszałem swój głos jakby z od dali. - Powiedział pan, że o tym porozmawiamy. W fordzie miałyby o wiele więcej miejsca na ukradzione rzeczy.**

**- Tak - potwierdził Pendleton. - Ale w volvo jest coś, czego nie ma w fordzie.**

**- Nie wiem, co pan ma na myśli.**

**- Bagażnik.**

**- Bagażnik...? - Aż usiadłem z wrażenia.**

**- Może nie powinniśmy wchodzić w szczegóły.**

**- Niech mi pan powie. - Zabandażowanymi dłońmi ścisnąłem brzegi skórzanego krzesła. - Chcę wiedzieć.**

**Webber odwrócił głowę, jakby nie mógł znieść widoku moich oczu. -Wszystko wskazuje na to, że porywacz wrócił tu z pańskim synem, a potem zmusił panią Denning, żeby z nim poszła. Należy**

**przypuszczać, że obie ofiary zostały związane i zakneblowane.**

**Miałem wrażenie, że bandaż wrzyna mi się w nadgarstki.**

**- Nie zaryzykowałby jazdy z nimi na tylnym siedzeniu. Prędzej czy później ktoś musiałby zauważyć.**

**- Więc wepchnął ich do bagażnika?**

**- Drzwi garażu były zamknięte, nikt z zewnątrz nie mógł wiedzieć, co się tam dzieje.**

**- O Jezu. - Poczulem mdłości, wyobraziwszy sobie smród benzyny i spalin. - Przecież oni nie mają czym oddychać.**

**Przypomniałem sobie wzrok Peteya, gdy opisywał, jak przed laty porywacze wieźli go w bagażniku.**

**Drgnąłem, słysząc sygnał telefonu. Webber sięgnął pod połę marynarki i zdjął komórkę z paska.**

**Odwrócił się i podszedł do pianina, na którym Kate tak lubiła grać. Ledwie słyszałem jego przyciszony głos. Wreszcie rozmowa dobiegła końca.**

**- Coś nowego? - spytałem z nadzieją.**

**Znaleźli volvo. W zatoczce przy autostradzie numer dwadzieścia pięć. - A Kate i Jason? Czy...**

**- Nie ma ich w samochodzie. Porywacz przekroczył granicę stanu. Policja drogowa z Wyoming znalazła wóz na północ od miasteczka Casper. - Wyoming?**

**- Przystępca wiedział, że prawdopodobnie ma dużo czasu - wyjaśnił Webber. - Lecz przypuśćmy, że pańska żona planowała odwiedzić kogoś w sobotę wieczorem albo jacyś znajomi wybierali się do niej z**

wizytą, a ona mimo wszystko nie dała wydusić z siebie tej informacji.

Na myśl o cierpieniach Kate oblał mnie zimny pot.

- Najlepszym wyjściem było wywieźć kobietę i chłopca jak najdalej stąd, zanim ktokolwiek się zorientuje, że coś jest nie tak - ciągnął Webber. -

Położony najbliżej pańskiego domu bankomat odnotował godzinę operacji na pana koncie.

Osiemnastą dwadzieścia jeden. Wyplacono pięćset dolarów, czyli maksymalną kwotę na jeden dzień.

Kamera zarejestrowała obraz mężczyzny podejmującego pieniądze. Niestety, nie widać twarzy, bo pochylił głowę.

Zrobiło mi się zimno, gdy uświadomiłem sobie, że Petey zmusił Kate do podania PINu. - Jechał aż do zmroku, a następnie pod osłoną ciemności porwał następny samochód na parkingu koło Casper.

Pewnie wybrał osobę podróżującą samotnie. W pobliżu zatoczki nikogo nie znaleziono, dlatego przypuszczamy, że kierowca uwięziony został wraz z pańską żoną i synem. Dopóki ktoś nie zgłosi jego zaginięcia, nie będziemy wiedzieli, jakiego samochodu szukać.

- Troje ludzi miałoby się dusić w bagażniku? Jezu Chryste. Ze spojrzeń detektywów odgadłem, co myślą. Wiedząc, jak niebezpiecznym przestępcą jest Petey, należało zakładać, że w bagażniku znajdują się obecnie tylko dwie osoby. Kierowca porwanego samochodu mógł już nie żyć. - Wyoming? Dlaczego

**pojechał właśnie tam? - Nagle przypomniałem sobie, co mówił Petey. - Montana.**

**- Co pan ma na myśli? - spytał Pendleton.**

**- Montana leży na północ od Wyoming. ;  
Detektywi spojrzeli na mnie jak na wariata.**

**- Brat opowiadał, że zobaczył mnie w telewizji, jedząc śniadanie w barze w Butte w Montanie. Może właśnie dlatego jedzie na północ. Ma jakieś sprawy w Montanie.**

**Webber po raz pierwszy się ożywił.**

**- Świetnie - oświadczył, wyciągając telefon. -  
Przekażę policji stanowej w Montanie rysopis tego faceta, pańskiej żony i syna.**

**- Skontaktujemy się z komendą w Butte - dodał szybko Pendleton. -Może coś wiedzą na temat porywacza. Jeśli był wcześniej aresztowany, będą mieli jego zdjęcie, które możemy rozesłać.**

**- Zakładając, że podawał się tam za Petera Denninga  
- powiedziałem, spuszczaając głowę.**

**- Mamy jeszcze inne możliwości. Przewiezenie porwanych przez granicę stanu oznacza, że sprawą zajmie się FBI. Federalni zrobią wszystko, żeby dopasować odciski palców, które znaleźliśmy, do danych ze swojej kartoteki. Jeśli facet posługiwał się fałszywymi nazwiskami, jest szansa, że je poznamy. Niełatwo mi było w to wszystko uwierzyć.**

**- Czy ma pan aktualne zdjęcie żony i syna?**

**- Stoi na kominku.**

**Spojrzałem w tamtą stronę. Na widok roześmianych twarzy Kate i Jasona zrobiło mi się słabo. Sam ich**

**sfotografowałem. Miałem niewielkie pojęcie o posługiwaniu się aparatem, ale tego dnia szczęście mi dopisało. Jeździliśmy na nartach w Copper Mountain, choć w przypadku Kate i moim należałoby raczej mówić o przewracaniu się i wstawaniu. Jason miał wrodzony talent narciarski i przez cały dzień uśmiechał się od ucha do ucha. My też śmialiśmy się mimo siniaków. Kate miała na sobie czerwoną kurtkę, a Jason zieloną; w dłoniach trzymali zrobione na drutach czapki. Ich jasne włosy lśniły w słońcu, a policzki zaróżowione były od mrozu. - Zwrócimy zdjęcie natychmiast po zrobieniu odbitek - obiecał Pendleton. - Proszę je zatrzymać tak długo, jak będzie potrzebne - odrzekłem, choć niełatwo było mi rozstawać się z fotografią. Jej brak na kominku jeszcze pogłębiał dręczącą mnie wewnętrzną pustkę. - Jeśli tylko mogę się na coś przydać, proszę mówić.**

**Bardziej niż ja mogły im pomóc modlitwy, które zanosilem do Boga. Co jakiś czas odzywał się sygnał telefonu. W końcu jeden z policjantów wręczył mi listę osób, które dzwoniły. Większość stanowili proszący o wywiad reporterzy. Z telewizji, radia. Do wieczora cały stan będzie wiedział o tym, co się stało. - O Jezu, rodzice Kate.**

**Wybiegłem z salonu, zostawiając Webbera i Pendletona. W kuchni drżącymi palcami wybrałem numer teściów.**

**- Halo? - odezwał się głos starszego mężczyzny.**

**- Ray... - Słowa ledwie wydobywały się z mojego gardła. - Usiądź. Mam złe wieści.**

**Musiałem im to powiedzieć, w ciągu minuty zmienić ich życie w koszmar. Żadne z rodziców Kate nie cieszyło się dobrym zdrowiem. Mimo to natychmiast chcieli wsiąść w samochód i przejechać czterysta pięćdziesiąt kilometrów przez góry, z Durango do Denver. Z trudnością odwiodłem ich od tego zamiaru. Bo cóż mogliby tutaj zdziałać? Oddech Raya przyspieszył niebezpiecznie, jak przed atakiem serca. -Zostańcie u siebie - powiedziałem. - Teraz możemy tylko czekać. -Przez myśl przemknął mi obraz starszego pana tracącego panowanie nad samochodem, który z ogromną szybkością spada w przepaść. - Jak tylko się czegoś dowiem, od razu dam wam znać.**

**Odłożyłem słuchawkę z głębokim westchnieniem. W tej samej chwili zobaczyłem detektywów stojących w drzwiach kuchni. -I co?**

**- Właśnie mieliśmy telefon od policji w Wyoming - odparł Webber. Znieruchomiałem.**

**- Dostali zgłoszenie o zaginięciu jakiejś kobiety, mieszkanki Casper. W sobotę wieczorem wracała od siostry z Sheridan, które leży około dwustu kilometrów na północ od Casper.**

**- Myśli pan, że mój brat ją porwał?**

**- Czas by się zgadzał. Tuż po zmroku powinna była dojechać do parkingu, na którym policjanci znaleźli pańskie volvo. Jeśli poszła do toalety... Wzdrygnąłem się, wyobraziwszy sobie przestרח kobiety na widok**

**Peteya. - Jechała chęwoletem caprice rocznik  
dziewięćdziesiąty czwarty - ciągnął Pendleton. -  
Napastnik wybrał ją prawdopodobnie dlatego, że  
była sama i że jej samochód miał duży bagażnik.  
Potem ruszył dalej na północ. Policja stanowa z  
Wyoming podała numery rejestracyjne kolegom w  
Montanie, a ci znaleźli caprice w zatoczce przy  
autostradzie numer dziewięćdziesiąt, koło Billings. -  
Czy moja żona i syn...?**

**- Nie było ich w wozie.**

**Coś w tonie Pendletona wzbudziło moje podejrzenie.**

**- A właścicielka samochodu?**

**Policjant milczał.**

**- Proszę mi powiedzieć.**

**Pendleton zerknął na Webbera, który skinął głową.**

**- Jej ciało znajdowało się w bagażniku.**

**- O Boże. - Właściwie wolałem nie wiedzieć, ale  
nie mogłem się po wstrzymać przed zadaniem tego  
pytania. - Co Petey jej zrobił?**

**- Związał ręce i zakleił usta taśmą. Porwana  
cierpiała na astmę... Udusiła się - dokończył cicho.  
Wyobrażając sobie rozpacz ofiary walczącej o każdy  
oddech, nie umiałem się skupić na tym, co mówił  
Webber. Policjant wyjaśniał, że Petey mógł w ciągu  
jednej nocy dojechać z Casper do Billings. Tam  
prawdopodobnie porwał następnego samochód,  
napadając wracającego z toalety kierowcę.**

**Widziałem Kate i Jasona przyciśniętych w ciemności  
do ciała kobiety umierającej w zaduchu bagażnika.**

**Musieli słyszeć, jak dyszy chrapliwie, szarpie się,**

podryguje, z coraz większym trudem łapie oddech, wreszcie nieruchomieje. - To się nigdy nie skończy - powiedziałem.

- Niekoniecznie. Może zaczynamy go już osaczać - odrzekł Pendleton. - Miał pan rację. Porywacz kierował się prawdopodobnie do Butte. Billings leży przy trasie do Montany. Miejscowa policja nie ma w kartotece odcisków Hetera Denninga. Ale na podstawie rysopisu szukają podejrzanego z blizną na brodzie. Ktoś wkrótce zgłosi zaginięcie kierowcy kolejnego samochodu, a kiedy policja z Butte ustali markę i numery wozu, pętla się zacieśni. Tymczasem sprawdzają motele i inne miejsca, w których mogli zostać ukryci pańska żona i syn. Butte to nie metropolia. Proszę mi wierzyć, jeśli porywacz się tam pokaże, dopadniemy go.

- A jeżeli Petey wyczuł zagrożenie i wyjedzie poza granice stanu? - Pomyśleliśmy o tym. Patrole policyjne w nieoznakowanych wozach kontrolują autostrady w poszukiwaniu samotnego białego mężczyzny w wieku trzydziestu kilku lat. Kiedy tylko FBI dopasuje jego odciski palców, będzie my wiedzieli, z kim mamy do czynienia. Z zachowania porywacza wynika, że to nie pierwsze jego przestępstwo. Prawdopodobnie figuruje już w kartotece, więc można liczyć na to, że federalni dostarczą nam aktualną fotografię, którą będzie można rozpowszechnić. Jedną z osób na liście, którą wręczył mi policjant, był pracownik mojego biura, więc musiałem tam zatelefonować i po raz trzeci w

ciągu kilku godzin tłumaczyć, co się stało. Powtarzanie wszystkiego od początku tylko potęgowało koszmar. Kilkakrotnie podczas rozmowy aparat sygnalizował, że ktoś wybiera mój numer; dwa razy przełączyłem się, licząc, że chodzi o Kate i Jasona, ale byli to dziennikarze, więc później już nie zwracałem uwagi na żadne sygnały. Ledwie odłożyłem słuchawkę, znowu odezwał się telefon. Nasz aparat ma funkcję identyfikacji numerów, przeważnie bezużyteczną, bo wyświetlacz pokazuje NUMER NIEZNANY, albo, jak w tym przypadku, PODAWANIE NUMERU ZABLOKOWANE. Odebrałem, a gdy się okazało, że to kolejny dziennikarz, poprosiłem policjanta, żeby to on od tej pory odpowiadał na telefony. Webber i Pendleton wyszli w końcu. Wraz z nimi odjechała cała ekipa techników laboratoryjnych. Jeszcze nigdy nie czułem się w swoim domu tak samotny. Gdy wchodziłem na piętro, moje kroki odbijały się echem od sekwojowej posadzki. Na meblach pozostały smugi proszku do wykrywania odcisków palców, a ubrania nadal leżały w nieładzie na podłodze. Usiadłem na łóżku Jasona, wciągając w nozdrza zapach jego pościeli. Potem wszedłem do sypialni, podniosłem bluzkę Kate i przycisnąłem do twarzy. Nie mam pojęcia, jak długo to trwało. Zadzwoił telefon. Nie odebrałem. W łazience zdjąłem z siebie pożyczone rzeczy i spróbowałem wziąć kąpiel bez zamoczenia bandaży i szwów na przedramieniu. Spłynęła ze mnie zaschnięta krew i brud. Woda aż parowała, lecz

**zamiast ciepła czułem ból rozlewający się po całym ciele: środki uśmierzające przestawały działać. Zdziwił mnie widok tyłu siniaków. Z ogromnym wysiłkiem ogoliłem się i założyłem czyste ubranie. Wyrzuciłem sobie, że korzystam z takiego komfortu, kiedy Kate i Jason przechodzą piekło. Znowu rozległ się dzwonek, tym razem do drzwi. Ze zranioną nogą potrzebowiałem dużo czasu, żeby zejść na dół, ale przybysz nie dawał za wygraną. Jeśli to jakiś reporter... Otworzywszy drzwi, zobaczyłem postawnego mężczyznę w ciemnym garniturze i wyglansowanych butach. Miał krótkie, starannie ostrzyżone włosy, na szczupłej twarzy malował się wyraz zdecydowania. - Pan Denning? Za jego plecami na ulicy czaiła się ekipa z kamerą. - Nie udzielam wywiadów - rzuciłem, cofając się gwałtownie. - Chwileczkę. Agent specjalny FBI John Gader. - Pokazał legitymację. - Dzwoniłem wiele razy, ale nikt nie odpowiadał, więc przyjechałem. - Ja byłem... Nie wiedziałem... Proszę wejść. Zamknąłem reporterom drzwi przed nosem. Gader otworzył walizeczkę i wyjął kilka niewielkich urządzeń elektronicznych. -To magnetofony, uruchamiające się automatycznie na dźwięk głosu - wyjaśnił, podłączając kabel do telefonu. - Czy w kuchni jest aparat? Tam również zainstalował magnetofon. - Resztą domu zajmiemy się później. Postarałem się już o sądowy nakaz założenia podsłuchu w pańskich telefonach i identyfikacji źródła sygnału,**

**ale nie zawadzi zdublować system. Jeśli człowiek, który porwał pańską żonę i syna, zadzwoni, żeby zażądać okupu, będziemy mieli nagranie stąd i od operatora sieci.**

**- On nie będzie żądał okupu.**

**- Nigdy nie wiadomo.**

**- Ale ja wiem. Mój brat nie chce pieniędzy. Chodzi mu o Kate i Jasona. - Pański brat? - Zdziwienie agenta dobitnie świadczyło, że niewiele wie o sprawie.**

**Tak więc po raz czwarty tego dnia musiałem opisać przebieg wydarzeń. Gader wyciągnął kieszonkowy magnetofon, a oprócz tego zanotował każde słowo w zeszycie. Zapewnił mnie, że FBI zajmie się porwaniem moich bliskich z najwyższą uwagą.**

**Kiedy wyszedł, miałem wrażenie, że nigdy go w tym domu nie było. Zewsząd otaczała mnie znów pustka.**

**To wszystko nie może się dziać naprawdę, próbowałem sobie wmawiać. To tylko senny koszmar, z którego zaraz się przebudzę. Kate i Jason znów będą ze mną i życie wróci do dawnego porządku. Ocknąwszy się w nocy z obolałym ciałem, sięgnąłem ręką na stronę łóżka, gdzie zawsze spała Kate. Jej miejsce było puste i zimne. Nic się nie zmieniło.**

**Nadszedł dzień. Policja w Butte nie schwyciła Peteya ani nie znalazła Kate i Jasona. A policja stanowa w Montanie przestała patrolować autostradę. - To nie jest pański brat.**

**- Co takiego?**

**- Mężczyzna, który porwał pana żonę i syna to nie Peter Denning -oznajmił Gader, stając w progu domu. - Ten człowiek nazywa się Lester Dant. Jakbym dostał obuchem w głowę.**

**- To znaczy, że Petey posługiwał się nazwiskiem Lestera Danta? - Nie. Było odwrotnie.**

**- Na miłość boską, o czym pan mówi?**

**- Odciski palców, które policja zdjęła w pańskim domu, należą do nie jakiego Lestera Danta. - Gader wszedł do środka. - Oto jego kartoteka. Dane osobowe, numer ubezpieczenia.**

**Oniemiały, przysiadłem na fotelu i spojrzałem na zdjęcie zrobione przez policję w Butte. Miałem przed sobą twarz Peteya z wyszczerbionym zębem i blizną na brodzie. Jednak w aktach widniał Lester Dant, urodzony w Brockton w Indianie rok wcześniej niż mój brat. Dant był wielokrotnie aresztowany za kradzieże**

**samochodów, rabunek z bronią w ręku, a nawet zabójstwo, ale za żadne z tych przestępstw nie został skazany. - Siedział za wymuszenia, handel narkotykami i gwałt - ciągnął Gader. - To cud, że nie zabił pana podczas snu. Zauważył pan, kiedy ostatnio miał do czynienia z policją z Butte? Wdał się w bójkę w barze i poturbował jakiegoś mężczyznę, który trafił na pogotowie. Wyszedł z więzienia na tydzień przed emisją programu z pańskim udziałem.**

**- Ale... - To wszystko wydawało mi się coraz bardziej nierealne. - Skąd wiedział tak dużo o Peteyu? - Ich drogi musiały się kiedyś skrzyżować. Może pański**

brat zobaczył program i podzielił się wrażeniami ze znajomymi, wśród których znalazł się Lester Dant. A później, kiedy zostali sami, Dant wyciągnął od niego więcej szczegółów i postanowił złożyć panu wizytę.

**Ze zdenerwowania podniosłem głos.**

**- Mój brat zadawałby się z kimś takim jak Dant?**

**- Może rzeczywiście miał ciężkie życie.**

**- Ale dlaczego, na miły Bóg, Petey sam tu nie przyjechał? Gader utkwiał we mnie nieruchome spojrzenie. Uświadomiłem sobie, że Dant mógł zabić Peteya, żeby nie pokrzyżował mu planów. - Coś tu się nie zgadza - upierałem się. - Jeśli Dant jest takim bez względnym draniem, to dlaczego spakował rzeczy dla mojego syna? Dlaczego miałby uprowadzać Jasona, zamiast... - Słowa uwięzły mi w gardle. - Zabić go? - dokończył Gader, spoglądając na mnie niepewnie. - Nie wiem, czy powinniśmy o tym rozmawiać.**

**- Pozwoli pan, że ja to ocenię. Proszę odpowiedzieć.**

**Gader odetchnął głęboko.**

**- Możliwe, że Dant uprowadził chłopca, żeby wywrzeć nacisk na pańską żonę. Grożąc, że zrobi krzywdę Jasonowi, mógł zmusić ją do uległości. Poczulem się, jakbym dostał kopniaka w brzuch.**

**- Nie.**

**- Przykro mi, panie Denning. Sam pan prosił o szczerłość.**

**- Petey... Lester Dant...**

**- Odciski palców nie kłamią.**

**- To musi być pomyłka. Petey opowiadał o naszym dzieciństwie, o okolicznościach swojego porwania... - To Dant panu opowiadał. Pewnie stawiał pańskiemu bratu drinki, żeby wyciągnąć od niego jak najwięcej szczegółów.**

**- Ale jego słowa brzmiały tak przekonywająco. Jestem pewien, że mówił prawdę. - Niektórzy oszuści są wybornymi aktorami, mogliby zdobywać Oscary, gdyby nie zeszli na złą drogę. - Tylko że...**

**- Wszystko było kłamstwem, nawet nazwa miasteczka w Wirginii, gdzie go ponoć więziono.**

**- Redemption.**

**- Nie ma takiego miasta.**

**- Słucham?**

**- Inne fragmenty bajeczki też się nie zgadzają. Powiedział panu, że blizna pozostała mu po upadku z drabiny podczas pracy przy budowie dachu w Colorado Springs.**

**- Zgadza się.**

**- Nasi agenci pokazali zdjęcie Danta wszystkim dyrektorom firm budowlanych w tej okolicy. Żaden go nie rozpoznał. Kierownicy budów też nie. Twierdzili, że na pewno by zapamiętali, gdyby któryś z robotników rozciął sobie twarz na długość kilku centymetrów. Konieczne byłyby szwy, a ostatniego lata w żadnym z okolicznych szpitali nie przyjęto ofiary takiego wypadku. Tym czasem policja z Colorado Springs ma nagranie wideo, na którym Dant pod czas napadu okłada pięściami**

**sprzedawcę w sklepie monopolowym. Patrol ścigał potem w górach jego samochód. Być może blizna powstała wtedy, gdy wóz wypadł z zakrętu i stoczył się po nasypie. Policjanci zeszli do wraka i znaleźli krew, ale kierowcy nie było.**

**- Cóż, znikanie weszło Peteyowi w nawyk - zauważyłem z goryczą. - Chciał pan powiedzieć, Dantowi.**

**- Tak, oczywiście...**

**- Dostaniemy go - zapewnił Gader. - Pieniądze, które panu zrabował, nie wystarczą na długo. W końcu znów będzie musiał zacząć kraść. A wtedy jeden błąd i wpadnie w nasze ręce.**

**- W końcu. - Słowa zamierały mi w gardle. Woląłem nie myśleć, co się dzieje z Kate i Jasonem.**

**Tak więc mężczyzna, który był moim bratem lub tylko go udawał, porwał moją żonę i dziecko i obrócił w gruzy cały mój świat. Zatarł za sobą ślad, wyprowadził w pole mnie i policję, kierując poszukiwania do Butte w Montanie, a potem rozpląnął się w powietrzu. Nie zgłoszono więcej zaginięcia żadnego kierowcy, więc policja nie mogła ustalić ani marki, ani numerów rejestracyjnych skradzionego wozu. Były oczywiście setki informacji o zniknięciu samochodów w Montanie, Wyoming czy Kolorado, a w całym u nawet tysiące. Lecz po zlokalizowaniu skradzionych pojazdów zawsze okazywało się, że Petey - nadal nie mogłem się zmusić, żeby używać nazwiska Dant - nie mógł mieć z tymi przestępstwami żadnego związku. Możliwe, że**

wymienił tablice rejestracyjne z jakimś innym wozem. Właściciel nie od razu spostrzegł, a Petey zdążył już ukraść kolejny samochód albo ponownie zamienić tablice. Lub za zrabowane mi pieniądze kupił używane auto, a następnie zarejestrował je na fałszywe, nieznane policji nazwisko. Może postąpił tak, a może jeszcze inaczej. Lokalne stacje telewizyjne nagłośniły sprawę porwania. Ogólnokrajowe natychmiast podchwyciły tę historię. Sieć CBS powtórzyła emisję programu z udziałem Kate, Jasona i moim. Reżyser położył nacisk na przerażający zwrot akcji: osobnik podający się za zaginionego brata zniknął ponownie, tym razem wprowadzając rodzinę człowieka, który naiwnie mu wierzył. Odbierałem telefony od różnych obcych mężczyzn. Twierdzili, że są porywaczami i ze szczegółami opisywali tortury, jakie zadali Kate i Jasonowi. Policja namierzała dzwoniących, ale okazywało się tylko, że niektórzy ludzie uwielbiają się znęcać nad bliźnimi. Kilku dowcipnisiom postawiono zarzut utrudniania śledztwa, lecz ani jeden nie trafił do więzienia. Z rozpaczy i niewyspania miałem bóle głowy. Stwarzałem pozory, że pracuję, ale faktycznie to moi podwładni prowadzili firmę. Większość czasu byłem jak w transie. Kiedy impet poszukiwań osłabł, stało się oczywiste, że jeśli Petey - starałem się nazywać go w myślach Dantem, ale na próżno - nie wpadnie przypadkiem, policja nigdy go nie znajdzie. Zwłaszcza gdyby zapuścił brodę, która zakryłaby

charakterystyczną bliznę. Rozmazane wizerunki Kate i Jasona pojawiły się na kartonach mleka i reklamówkach. Czy widzieliście tę kobietę i tego chłopca, głosił podpis. Ale nawet ja nie mogłem ich rozpoznać, więc trudno przypuszczać, żeby komuś innemu się to udało. Nie zwracałem uwagi na takie portrety, gdy chodziło o zaginięcie czyjejs żony lub dziecka. Dlaczego miałbym liczyć na to, że ktoś przyjrzy się uważnie twarzom moich bliskich? Przyjaciele z początku starali się mnie wspierać: dzwonili, pocieszali, zapraszali na kolacje. Ale po pewnym czasie zmęczyła ich moja rozpacz. Nie mogąc ciągle na nowo wyrażać współczucia, oddalili się. Jednak od najbliższego sąsiada, Phila Barrowa, dowiedziałem się, że może być jeszcze gorzej. Grabiłem właśnie liście przed domem, jak przez mgłę przypominając sobie, że jesień była kiedyś moją ulubioną porą roku: uwielbiałem ten powiew chłodu, zapach palonego drewna, suchy szelest pod stopami. Teraz wszystko to przestało mieć znaczenie. Uniosłem głowę. Phil, ubrany w gruby pulower, stał ze skrzyżowanymi na piersi rękami. Po chwili zszedł z chodnika i zbliżył się do mnie.

- Jak się masz, Brad?

Kate nauczyła mnie, że bez względu na wszystko, należy zawsze odpowiadać: "Doskonale". Ramiona Phila zadrżały jakby w napadzie bezgłośnego śmiechu. - Tak, właśnie widzę. Grabisz tę kupę liści od godziny.

- Liczy się dokładność.

**Skierował wzrok na swoje dłonie.**

**- Nie wiem, czy dobrze robię, że ci o tym mówię.**

**- O czym? - spytałem, czując lodowaty powiew.**

**- Marge uważa, że nie powinienem cię niepokoić, bo ludzie, których zadaniem jest nieść pomoc, i tak sprawiają ci dość kłopotów. Zrobiło mi się jeszcze zimniej.**

**- Co to znaczy?**

**- Wczoraj odwiedził mnie agent FBI.**

**- John Gader?**

**- Ten sam. Pytał, jak się układało między tobą i Kate. Czy się kłóciliście, czy zdarzało ci się bić syna.**

**- Co takiego?**

**- Wypytywał, czy tracisz panowanie nad sobą po wypiciu alkoholu, czy miałaś kochankę.**

**- FBI mnie podejrzewa?**

**- Ty bydlaku.**

**Gader zawahał się, gdy wyrosłem nagle przed maską jego samochodu na parkingu biura lokalnego oddziału administracji federalnej. - Proszę się uspokoić.**

**- Myślisz, że zabiłem żonę i syna!**

**- Pewnie ktoś ze znajomych powiedział panu, że przeprowadzałem wywiad.**

**- Ja bym to raczej nazwał rujnowaniem mojej opinii!**

**- Zbliżyłem się z zaciśniętymi pięściami.**

**- Niech się pan nie unosi - próbował łagodzić.**

**Kierowca przejeżdżającego samochodu przyjrzał się nam ze zmarszczonymi brwiami. -Na tym parkingu**

są zainstalowane kamery. Jest chroniony. Nie chce pan chyba zaatakować agenta federalnego na terenie należącym do budynku rządowego.

- Może byłoby warto!

- Nie zamierzam się z panem bić - oznajmił Gader, podnosząc ręce. -Gdyby zechciał pan się uspokoić i posłuchać mnie...

Za plecami agenta z hałasem otworzyły się drzwi i stanął w nich strażnik z dłonią na kaburze pistoletu.

- Wszystko w porządku, panie Gader?

- Nie jestem pewien - odparł zapytany z poważnym wyrazem twarzy. -Wszystko w porządku, panie Denning?

Ścisnąłem pięści tak mocno, że zaboląły mnie kostki.

- Jeśli trafi pan do więzienia, czy to pomoże pańskiej żonie i synowi? Drżałem. Piekły mnie policzki.

- Niech pan myśli o swojej rodzinie.

Rozluźniłem dłonie.

- W porządku, Joe - powiedział Gader. - Proszę nas zostawić. - Będę patrzył na monitor.

- Dobry pomysł.

- Jak w ogóle można było podejrzewać, że zabiłem żonę i syna? - To rutynowa procedura śledcza. W przypadku zaginięcia często odpowiedzialny jest ktoś z rodziny. - Jezu Chryste, jakim cudem zdążyłbym pojechać do Wyoming, ukraść inny wóz, porzucić go w Montanie, a potem wrócić i udawać, że zostałem napadnięty w górach?

- Byłoby to możliwe, gdyby ten Dant z panem współpracował. Podejrzenia Gadera wstrząsnęły mną.
- Dlaczego miałbym prosić Peteya, żeby to zrobił?
- Danta. Gdyby wpadł pan w kłopoty finansowe i potrzebował odszkodowania albo gdyby miał pan kochankę i z jej powodu chciał się pozbyć żony. Moje pięści znów się zacisnęły.
- Nie stwierdziłiśmy jednak nadzwyczajnych wypłat z pańskiego konta ani sprzedaży papierów wartościowych, a w stosunkach rodzinnych również nie wykryłem niczego podejrzanego. Poza tym doszedłem do wniosku, że nie mógł się pan spotkać z Dantem po jego wyjściu z więzienia w Butte... Niech pan na mnie nie patrzy w taki sposób. Śledztwo zaczęło kuleć. Musiałem zabrać się do rzeczy z innej strony. - Ty łajdaku, przez ciebie moi znajomi podejrzewają, że to ja ponoszę winę za zniknięcie żony i syna.
- Nie było w tym nic osobistego. Tak jak mówiłem, to standardowa procedura. Najważniejsze, że wyszedł pan z dochodzenia obronną ręką. Jest pan czysty.
- Dzięki, cholerne dzięki.
  
- Wydaje mi się, że świadomie unika pan nazwiska Lester Dant - zauważyła psychoterapeutka. Nie odpowiedziałem.
- Agenci FBI przeprowadzili gruntowne śledztwo i dowiedli, że porywacz nie jest pańskim bratem. Z trudem dobierałem słowa. Ucisk w klatce piersiowej

stawał się coraz silniejszy. -Uważają, że Dant zetknął się gdzieś z moim bratem i poznał wydarzenia z jego dzieciństwa. Postanowił podszyć się pod Peteya. Może go zabił. Spojrzałem na rosnącą za oknem sosnę.

- Nie wierzy pan w to.

- Nie mogę.

- Nie może pan? - powtórzyła psychoterapeutka, próbując pojąć sens moich słów.

Skurcz sięgnął mi gardła.

- Gdybym przyjął do wiadomości, że taki bandyta jak Dant porwał moją żonę i syna, musiałbym się pogodzić z faktem, że zrobił z nimi, co chciał, a potem ich... - Nie mogłem się zmusić do

wypowiedzenia tego słowa. Z natężeniem

wpatrywałem się w sosnę za oknem. - Ale jeśli to Petey posługiwał się nazwiskiem Danta - ciągnąłem łamiącym się głosem -jest szansa, że jeszcze żyją.

Kobieta nachyliła się w moją stronę.

- Dlaczego pan tak uważa?

- Próbowałem postawić się na jego miejscu. -

Kontury drzewa zamazały mi się przed oczyma. -

Wyobraziłem sobie, co Petey musiał czuć, kiedy wszedł do mojego domu. Zobaczył kochającą się rodzinę, komfort. Nie chodziło mu wyłącznie o to,

żeby mnie zabić za to, że przyczyniłem się do jego tragedii. On chciał mojego życia, tego, które sobie

stworzyłem. - Przeanalizowałem moment, kiedy

Petey zepchnął mnie do kanionu. Wracałem do tej chwili wiele razy. Myślę, że zamierzał poczekać, aż

**zostaniemy tylko we dwóch, żeby upozorować nieszczęśliwy wypadek. Później chciał udawać współczucie dla Kate i Jasona, stać się dla nich niezastąpiony i w końcu zająć moje miejsce. Sęk w tym, że mały zobaczył, jak jego wuj spycha mnie w przepaść.**

**Zaczerpnałem powietrza.**

**- W ten sposób pokrzyżował mu plany. Co w tej sytuacji Petey mógł zrobić? Zabić Jasona, żeby śmierć nas obu wyglądała na przypadek? Zająć moje miejsce u boku Kate? Nie. Nie chodziło mu przecież tylko o moją żonę, lecz o całą rodzinę. Stracił szansę na zamieszkanie w naszym domu, bo Jason opowiedziałby policji, co widział w górach. Ale mógł porwać ich oboje, gdzieś ukryć i gwałcić Kate, kiedy przyjdzie mu na to ochota. Mógł zmusić mojego syna, żeby traktował go jak ojca. - Z trudem udało mi się mówić dalej. - Ale wówczas przynajmniej byliby żywi. Jeśli Petey i Dant to ta sama osoba. Jeśli Petey uprowadził moją żonę i syna. Jeżeli jednak Dant jest tym, za kogo uważa go FBI, a nie Peteyem, pewnie zabił Jasona od razu i ukrył jego ciało w górach. Potem splądrował dom, zmusił Kate, żeby z nim pojechała w jakieś odludne miejsce, pewnie gdzieś w Montanie, gdzie mógł ją gwałcić do woli. A potem, kiedy już mu się znudziła... - Znow nie mogłem wydusić z siebie słowa "zabił".**

**Psychoterapeutka zmrużyła oczy, jakby nie mogąc znieść obrazu piekła, który przed nią roztoczyłem. Ale czy było to piekło Kate i Jasona, czy też wytwór**

mojej wyobraźni - tego nie wiedziałem. Ledwie połknąłem tabletkę uspokajającą, usłyszałem dzwonek do drzwi. To pewnie FBI, pomyślałem z nadzieją. Otworzyłem i zmarszczyłem brwi na widok bandy przebierańców na ganku. Zapomniałem, że to Halloween. Nie miałem cukierków, ale dzieciaki nawet na nie nie czekały. Cała grupka cofnęła się gwałtownie, jakbym to ja przypomniał upiora. Zanim zdążyłem im cokolwiek wytłumaczyć, odwróciły się i umknęły. Zamknąłem drzwi i zgasiwszy światło, zerknąłem przez okno. Kolejne gromadki w kostiumach nie zwracały uwagi na pogrążony w mroku dom. O to mi właśnie chodziło. Nie mogłem się uwolnić od myśli, że Halloween było jednym z ulubionych świąt Jasona. Uwielbiał się przebierać za potwora z kosmosu lub szalonego naukowca. A ja lubiłem wychodzić wtedy razem z nim. Ale to już nie wróci. Byłem zły na siebie, że przestraszyłem dzieci. Czy twarz miałem aż tak bardzo zmienioną bólem, a z oczu wyzierał mi obłąd? Ciągle jeszcze ścisnąłem w dłoni fiolkę pigułek uspokajających. Teraz cisnąłem ją z przekleństwem. Przygnębienie zamieniło się we wściekłość. Co Petey powiedział podczas naszej pierwszej rozmowy na ulicy, kiedy wziąłem go za oszusta i zagroziłem, że go spiorę? "Brad, nie poszłoby ci tak łatwo jak kiedyś". Zobaczymy, pomyślałem. Ktoś ostrzegł dzieci, żeby nie zbliżały się do mojego domu. Właśnie wtedy, kiedy to pojąłem,

**poprzysiągłem sobie, że przestanę biernie czekać aż policja albo FBI coś zrobią. To ja musiałem zacząć działać.**

**- Teoria zamiany? - spytał Gader.**

**- Właśnie - potwierdziłem. Byłem tak roztargniony, że nawet nie usiadłem, tylko stałem przed jego biurkiem. - Wiemy, że Petey kłamał. - Dant.**

**- A jeśli jego kłamstwa brzmiały tak przekonująco, bo miały dużo wspólnego z prawdą? W końcu był w Burtę i w Colorado Springs, tak jak mówił, tylko zajmował się czymś zupełnie innym.**

**- Co to ma wspólnego z tą teorią...?**

**- Powiedział pan, że w Zachodniej Wirginii nie ma miasteczka o nazwie Redemption.**

**- Zgadza się.**

**- A w innych częściach kraju? Czy istnieje gdzieś taka miejscowość? A może jakieś miasteczko w Zachodniej Wirginii nosi nazwę o podobnych konotacjach religijnych?**

**Gader zastanowił się.**

**- Niewykluczone. To pomogłoby Dantowi uwiarygodnić jego kłamstwa. - Może pan to sprawdzić?**

**Detektyw ciężko opadł na oparcie krzesła. Wyraz zniechęcenia sprawił, że pociągnęła twarz jakby jeszcze mu zeszczuplała. - Spróbuję. Pracuję na dwie zmiany nad... - Wskazał gruby plik dokumentów na biurku. - A właściwie co za różnica, nawet gdyby tak było? Dant nałgał na temat swojej przeszłości, żeby**

wzbudzić pańskie współczucie. - A jeśli jego opowieść jest tylko częściowo kłamliwa?

- I tak nie pomoże nam to odnaleźć pańskiej żony i syna. Sprawdziliśmy każdy trop. Zespół śledczy przydzielony do tej sprawy został rozwiązany.

Możemy tylko czekać, aż Dant gdzieś wypłynie. -

Petey - sprostowałem, z trudem panując nad sobą. -

Czy jeśli zrozumiemy motywy jego postępowania, nie pomoże nam to odgadnąć, dokąd się udał?

- Ależ tak. Oczywiście - odparł Gader, wstając, żeby odprowadzić mnie do drzwi z matową szybą. -

Teoria zamiany - dodał bez przekonania. - Postaram się sprawdzić. Jeśli wpadnie pan jeszcze na jakiś pomysł, proszę dać znać.

- Pan Payne czeka - oznajmiła recepcjonistka.

Odłożyłem "Newsweeka" sprzed trzech miesięcy.

Tak mało interesowałem się ostatnio wydarzeniami na świecie, że właściwie nie miało żadnego znaczenia, jak bardzo nieaktualne zawierał wiadomości. W

porównaniu z poczekalnią gabinet wydawał się obszerny, chociaż w mojej firmie uznano by go za maleńki. Urządzony był z surową prostotą:

drewniane krzesło, biurko, komputer, drugie

krzesło. I akwarium, do którego tęgawy jegomość w okularach sypał pokarm dla rybek. Siwe włosy

starszego pana kontrastowały ze zdrową, rumianą

cerą. Miał na sobie żółte szelki i niebieską koszulę. -

Jak się pan miewa, panie Denning?

**- Niezbyt dobrze, niestety. Inaczej by mnie tu nie było.**

**Payne skinął lekko głową; jego pulchny podbródek zatrzęsł się przy tym ruchu. -Jasne, że nikt nie przychodzi tu z pomyślnymi sprawami. Kiedyś przeżywałem je wszystkie bardzo osobiście i pod koniec dnia byłem wykończony. Któregoś razu przypomniałem sobie akwarium w poczekalni u dentysty. Zawsze mnie uspokajało, zanim siadłem na fotel. To są zwykłe złote rybki. Nie wiem, czy pomagają moim klientom, ale na mnie działają jak balsam. Uwierzyłby pan, że kiedyś byłem sześćdziesięciopięciokilogramowym kłębkiem nerwów? Ale odkąd mam tutaj rybki, rozkwitłem - zakończył, opierając ręce na biodrach. Nie mogłem powstrzymać uśmiechu.**

**- Teraz lepiej, panie Denning. Tak trzymać. - Payne odłożył torebkę z karmą i osunął się na krzesło. - Napije się pan kawy? Czegoś zimnego? Potrząsnąłem głową.**

**Gospodarz splótł palce na wydatnym brzuchu i spojrzał na mnie z prawdziwym współczuciem. -A więc proszę powiedzieć, jak mogę panu pomóc. Z bolesnym wysiłkiem zrelacjonowałem przebieg porwania Kate i Jasona. Payne skinął głową. - Czytałem o tym w gazecie i widziałem reportaże telewizyjne. Strasz na historia.**

**- Mój adwokat uważa pana za najlepszego prywatnego detektywa w Denver.**

**- Może nie zna zbyt wielu prywatnych detektywów.**

**- Mówi, że pracując w FBI, wytropił pan wielokrotnego mordercę. - To prawda.**

**-I że przewidział pan plan kolejnego skoku bandy rabującej banki na terenie różnych stanów.**

**- Fakt.**

**- Twierdzi też, że zapobiegł pan próbie sterroryzowania pewnej rodziny przez... -Ale udawało mi się tylko w weekendy.**

**Żart Payne'a zaskoczył mnie.**

**- Proszę przestać. Od słuchania tych wszystkich pochlebstw zaczynam się rumienić - powiedział. - Pracowaliśmy w zespole. Wszyscy mieli swój udział w tych sukcesach.**

**- Mój adwokat uważa, że robił pan więcej, niż do pana należało. - Czy powiadomił pana również, że kosztowało mnie to rozpad mojego pierwszego małżeństwa i kulę w kolanie, przez którą musiałem zrezygnować z pracy w firmie? W końcu poszedłem po rozum do głowy i przestałem wymagać od siebie zbyt wiele. Pan również nie powinien za dużo oczekiwać, panie Denning. Jestem dobry, ale tylko dlatego, że często dostrzegam w postępowaniu przestępców schematy, które uchodzą uwadze innych ludzi. W trosce o swoje zdrowie psychiczne nie powinien pan liczyć na to, co niemożliwe. Przełknąłem rozczarowanie. Nie miałem się już do kogo zwrócić. - Uczciwie stawia pan sprawę.**

**- Pytam więc jeszcze raz: w jaki sposób mogę panu pomóc?**

**- FBI, policja, wszyscy dali za wygraną. Minęło sześć miesięcy. Słyszałem, że w sprawach zaginięć jest regułą, że im więcej czasu upłynie, tym mniejsza szansa odnalezienia porwanych. - Ledwie zdobyłem się, żeby do dać: - W każdym razie żywych.**

**- To zależy. Każdy przypadek jest inny. Statystyki to zapis przeszłości, a nie prognoza na przyszłość.**

**- A więc ma pan otwarty umysł! Jest pan dokładnie tym człowiekiem, którego szukam. Proszę podać kwotę wynagrodzenia. Pieniądze nie grają roli. - Dla mnie też. Od każdego klienta biorę tyle samo - odrzekł Payne. - Ale czego się pan ode mnie spodziewa? Czy mogę zrobić więcej, niż udało się policji i FBI?**

**- W tej chwili nie robią nic.**

**- Prawdopodobnie dlatego, że nie można się już niczego dowiedzieć. - Nie chce mi się w to wierzyć.**

**- To zrozumiałe. - Detektyw rozłożył ręce. - Musi pan jednak zrozumieć, że pod względem sił i środków nie mogę się równać z FBI. - Jasne. Ale ma pan głowę na karku. Potrafi pan... Chyba nie wyraziłem się jasno. Nie chcę pana zatrudnić tylko do prowadzenia śledztwa. - O - zdziwił się Payne. - A zatem czego pan chce?**

**- Przyszedłem do pana po naukę. Chcę sam kontynuować dochodzenie.**

**- Potrzebuję pistoletu.**

**- Jakiego rodzaju? - spytał brodaty sprzedawca z włosami związanymi w kucyk.**

**- O największej sile rażenia i z największą liczbą kul w magazynku. - Naboi - sprostował mężczyzna.**

**- Słucham?**

**- To się nazywa nabój, nie kula. Kula jest tą częścią, która odrywa się od łuski i trafia w cel.**

**- Świetnie. A więc potrzebna mi broń, która wystrzeliwuje najwięcej pocisków.**

**- Do strzelania do celu czy ochrony domu? Pytam, ponieważ wielu ludzi uważa, że do obrony przed włamywaczem najlepszy jest karabin. - Może coś takiego?**

**- Rewolwer? Ma tylko sześć pocisków.**

**Półautomatyczne wystrzeliwiają więcej. Ale musi pan zdecydować, jaki kaliber woli, dziewiątkę czy czterdziestkę piątkę. - Który jest największy?**

**- Czterdziestka piątka.**

**- Biorę.**

**- Proszę pamiętać, że największy nie zawsze znaczy najlepszy. Czterdziestka piątka ma dziewięć naboii w magazynku i jeden w komorze. A ten dziewięćmilimetrowy pistolet mieści dziesięć naboii w magazynku i jeden w komorze. Potężna siła ognia przy sześciu nabojach albo nieco mniejsza przy jedenastu.**

**- O ile mniejsza?**

**- Powiedzmy, że wystarczająca, aby zrobić swoje. Magazynek w tym pistolecie mieści tylko dziesięć pocisków jedynie dlatego, że w połowie lat dziewięćdziesiątych Kongres wprowadził ustawę**

**ograniczającą pojemność zasobników broni defensywnej. Ale wcześniej...**

**- Tak?**

**- W sobotę odbędzie się w mieście wystawa broni. Przedstawię pana znajomemu, który chętnie odstąpi baretę z czasów przed wprowadzeniem ustawy. Broń mieści piętnaście naboji w magazynku i jedną w komorze. - To dużo.**

**- O tak. Proszę mnie źle nie zrozumieć. Sprzedaż takiej broni nie jest nielegalna. Prawo zakazuje jedynie produkcji i importu magazynków o pojemności większej niż dziesięć naboji. Ale mój znajomy kupił pistolet, za nim ustawa weszła w życie, dlatego wszystko jest zgodne z prawem. Tego modelu nie spotyka się często na rynku, więc i cena będzie odpowiednio wyższa. - Naturalnie.**

**- Ale potem... - Widać było, że sprzedawca czuje się niezręcznie. - Co potem?**

**- Proszę się nie gniewać, ale najwyraźniej nie ma pan doświadczenia w posługiwaniu się bronią. Będzie pan potrzebował kilku lekcji, żeby sobie czegoś nie odstrzelić.**

**W ciemności za oknem szalała pierwsza tego roku zamieć, lecz ja prawie nie zwracałem na nią uwagi. Siedziałem przed komputerem i przeglądałem wskazane mi przez Payne'a strony internetowe, z których najczęściej korzysta FBI, sprawdzając lokalizację mało znanych miejsc. Obok nowego laptopa rozłożyłem słowniki wyrazów**

**bliskoznacznych, w których wyszukiwałem słowa kojarzące się z odkupieniem. Większość nie brzmiała zbyt obiecująco. Nie umiałem sobie wyobrazić, żeby w atlasie geograficznym mogły się znaleźć Pokuta, Orędownictwo, Wstawiennictwo, Odpuszczenie czy Sąd Ostateczny. Jakby na przekór moim rachubom okazało się, że pewna wioska w stanie Utah nosi właśnie tę ostatnią nazwę. Na ścianie rozwiesiłem dużą mapę Stanów Zjednoczonych. Co jakiś czas wstawałem i przyklepiałem kawałek półprzezroczystej kolorowej taśmy koło miejscowości o nazwie z religijnymi konotacjami. Po kilku godzinach cały obszar kraju upstrzony był barwnymi znaczkami, lecz nie udało mi się dostrzec żadnych prawidłowości. I żadne z tych miejsc nie leżało w Montanie. Zaczynałem rozumieć, dlaczego Gader nie okazał entuzjazmu dla teorii zamiany. Moje zniechęcenie wzrosło jeszcze, gdy nagle uświadomiłem sobie, ile miejscowości nosi nazwy związane z imionami świętych. Rychło skończyły mi się skrawki kolorowej taśmy.**

**- W jaki sposób można zdobyć fałszywą tożsamość? Payne zastanawiał się nad moim pytaniem, sypiąc pokarm dla rybek do akwarium. Krzesło zatrzeszczało, w końcu umieścił na nim niemały ciężar swojego ciała. - Dawniej najprościej było zacząć od znalezienia miasta, w którym się nigdy wcześniej nie mieszkało.**

**- Dlaczego?**

**- Żeby zapobiec przypadkowym odkryciom. Dla przykładu, jeśli wychował się pan w Cleveland, to postać, którą pan tworzy, nie powinna się stamtąd wywodzić, bo osoba badająca pańską nową tożsamość mogłaby tam pojechać, pokazać zdjęcie i znaleźć kogoś, kto pamięta pana pod prawdziwym nazwiskiem. Skinąłem głową.**

**- Należy więc wybrać sobie inną część kraju. Trzeba jednak unikać niewielkich społeczności, gdzie wszyscy wszystkich znają i bez wahania mogą powiedzieć tropicielowi, czy ktoś podobny do pana wśród nich mieszkał. Najlepsze jest więc duże miasto, bo tam ślady łatwiej się zacierają, a pamięć ludzka nie sięga tak daleko wstecz. Powiedzmy, że zdecydował się pan na Los Angeles albo Seattle. Idzie pan do miejskiej biblioteki i przegląda gazety z roczników kilka lat po pańskim urodzeniu. Szuka pan katastrof- pożarów, wypadków samochodowych - w których śmierć poniosły całe rodziny. To ważne, bo przecież nie chce pan, żeby ktoś żywy zaprzeczył pańskiej bajeczce. Studiuje pan nekrologi ofiar i wybiera dziecko płci męskiej tej samej rasy, które miałyby tyle samo lat, co pan, gdyby żyło. - I co dalej?**

**- Załóżmy, że chce się pan wcielić w niejakiego Roberta Keegana. Z nekrologu dowie się pan prawdopodobnie, gdzie się urodził. Zwraca się pan do odpowiedniego urzędu o kopię jego metryki urodzenia. Nic wielkiego. Ludzie często je gubią.**

**Biura ewidencji ludności są do tego przyzwyczajone i uwzględniają takie wnioski. Zmarszczyłem brwi.**

**- Ale jeśli Robert Keegan zginął, czy w jego metryce nie będzie o tym wzmianki albo odsyłać do odpowiedniego dokumentu?**

**- Tak jest teraz, ale to kwestia powszechnej komputeryzacji - odparł Payne. - W okresie kiedy pan przyszedł na świat, przepływ informacji nie odbywał się tak płynnie. Odpowiednie władze przesyłałyby panu odpis metryki bez zastanowienia. Wtedy odczekałby pan trochę, żeby nie wzbudzić podejrzeń. Następnie zwróciłby się pan do wydziału ewidencji ludności z prośbą o odpis aktu zgonu Roberta Keegana. Wybrałem Los Angeles i Seattle, ponieważ w Kalifornii i Waszyngtonie na akcie zgonu umieszcza się numer polisy ubezpieczeniowej. Mając metrykę i numer ubezpieczenia może się pan ubiegać o prawo jazdy, paszport i wszystkie inne ważne dokumenty, których pan potrzebuje. Może pan dostać pracę, płacić podatki i otworzyć rachunek w banku. Innymi słowy, może pan przyjąć nową tożsamość. - Payne przyjrzał mi się uważnie. - Ale nie mówimy przecież o panu.**

**- Mówimy o moim bracie. Jeśli Lester Dant nie żyje, czy Petey mógłby podszyć się pod niego w sposób, który pan właśnie opisał? Payne nadal mierzył mnie wzrokiem.**

**- Zanim został aresztowany, sfotografowany, zanim pobrano jego odciski palców i wpisano do kartoteki przestępców jako Lestera Danta? Teoretycznie tak. -**

**A więc nie jestem obłąkany - oznajmiłem z westchnieniem. - Petey i Dant mogliby być tą samą osobą. Petey mógłby się posługiwać nazwiskiem Danta.**

**- Ale tak nie jest - stwierdził Payne.**

**- Słucham?**

**- Pański brat nie przyjął tożsamości Lestera Danta.**

**- Skąd ta pewność?**

**- Bo złożyłem dzisiaj wizytę Gaderowi. Znamy się z czasów, gdy pracowałem w firmie. Powołując się na starą przyjaźń, poprosiłem o dostęp do akt Danta. Przeczynałem, do czego zmierza Payne, i wcale mi się to nie podobało. - Wiele się z nich dowiedziałem - ciągnął detektyw. - Tak bardzo się pan upierał, że Dant i pański brat to ten sam człowiek, że Gader sprawdził dokumenty Danta ze szczególną dokładnością. Nigdzie nie znalazł jego aktu zgonu. Okazało się, że Dant złożył wniosek o przyznanie numeru polisy ubezpieczeniowej dopiero jako nastolatek. Podpis na wniosku wygląda tak samo jak podpisy składane przez Danta podczas aresztowań. Dant i pański brat to dwaj różni ludzie.**

**- Nie.**

**- Taka jest prawda - oznajmił Payne.**

**- To znaczy, że moja żona i syn nie żyją!**

**- Niekoniecznie. Dopóki nie ma na to dowodów, zawsze istnieje nadzieja. - Chce pan powiedzieć, dopóki ktoś nie znajdzie zwłok.**

**Detektyw zawahał się.**

**- Przykro mi, panie Denning.**

**Przeniosłem wzrok na akwarium.**

**- Nie widział pan spojrzenia Peteya, kiedy opowiadał mi o złotej rybce, którą pogrzebaliśmy na podwórku i którą później odkopał kot sąsiada. Nie relacjonował tego jak ktoś, kto powtarza zasłyszaną gdzieś historię. Widziałem to w jego oczach. To mówił Petey. - Możliwe. Ale nie wyobrażam sobie, jak pan to udowodni.**

**- Zrobię to - odrzekłem, wstając. - Niech mi pan wierzy, że to zrobię. - Zanim pan wyjdzie, muszę o coś zapytać. Od pewnego czasu chodzi mi to po głowie.**

**-Zatrzymałem się w drzwiach i spojrzałem na detektywa.**

**- Z dawnych lat zostało mi wyczulenie na zapach kordytu. Poczulem tę woń, kiedy podałem panu rękę na powitanie. Czy posługiwał się pan ostatnio bronią, panie Denning?**

**Przeszła do następnego boks. Zakleiliśmy otwory w tarczach taśmą maskującą, nacisnęliśmy guziki wózków i wyprostowaliśmy się, słysząc kolejny rozkaz. - Na miejsca!**

**- Na miejsca! - krzyknęła instruktorka.**

**Wyprostowałem się.**

**- Sprawdź z prawej!**

**Zwróciliśmy głowy w prawo.**

**- Sprawdź z lewej!**

**Spojrzeliliśmy w tę stronę, żeby się upewnić, że nikt nie znajduje się na linii ognia. -Raz - wrzasnęła**

**instruktorka - ręka na kaburę! Dwa: wyciągnąć broń i wymierzyć z biodra! Trzy: podnieść broń na wysokość oczu! Cztery: nacisnąć spust!**

**Osiem wystrzałów rozległo się w wąskiej strzelnicy niemal równocześnie. Ochronne słuchawki sprawiały, że huk odbity od betonowych ścian dochodził jakby z dużej odległości. Głos instruktorki również zdawał się dobiegać z oddali, mimo że stała tuż za mną. -Cel na prawo od tarczy! Cel na lewo! Zgodnie z rozkazem mierzyliśmy, nie strzelając. Wiedzieliśmy już, że cel może się pojawić w każdej chwili w najbardziej nieoczekiwanym miejscu. -Broń na biodro! Zabezpieczyć!**

**Jak jeden mąż cała ósemka wykonała końcowy element ćwiczenia i zdjęła dłonie z kabur. Na strzelnicy zaległa cisza.**

**- Nieźle - stwierdziła instruktorka. - Sprawdźmy, czy pociski trafiły do celu.**

**Każdy z nas stał w osobnym boksie z półką na amunicję i zapasowe magazynki. Przyciskiem z lewej strony uruchamiało się mechaniczny wózek z tarczą. Instruktorka oceniła wyniki strzelania.**

**- Dobrze. Nikt nie trafił w sam środek, ale nie oczekuję tego od was na tym etapie. Denning, pan był najbliżej, ale nadal znosi pana nieco w górę i na lewo. Proszę trenować więcej w domu "na sucho". I nie skręcać dłoni przy naciskaniu spustu.**

**Codziennie chodziłem na siłownię. Nigdy nie mogłem się poszczycić wybitną kondycją fizyczną, a od kiedy Petey porwał Kate i Jasona, jeszcze bardziej się**

**zaniedbałem. Hamburgery, nadmiar alkoholu i brak ruchu -w efekcie przytyłem osiem kilogramów. Dość tego. Wynająłem trenera. Wiedziałem, że muszę zwiększać tempo powoli, choć trudno było mi opanować niecierpliwość. Początkowo ćwiczyłem na przyrządach pół godziny dziennie, by po jakimś czasie dojść do godziny. Zacząłem biegać, najpierw w hali ośrodka, później na zewnątrz, w niższej temperaturze. Jeden kilometr, dwa, pięć. Straciłem dodatkowe kilogramy, tłuszcz zamienił się w mięśnie. Zapisalem się na zajęcia z samoobrony. Kąty nachylenia, siła, masa. Przecież to język architektury. Już nie udawałem, że pracuję. Mogłem teraz koncentrować się tylko na jednym, więc rozwiązałem firmę, wypłacając moim ludziom sowite odprawy. Kiedy nie trenowałem ani nie byłem na strzelnicy, sprawdzałem kolejne podane mi przez Payne'a adresy w Internecie. W minionym życiu miałem zawsze za mało czasu, żeby korzystać z sieci. Teraz zdumiało mnie, jak wiele informacji można uzyskać, jeśli się wie, gdzie szukać. Dotarłem do aktu urodzenia Lestera Danta; wszystkie dane zgadzały się z tymi, które podało FBI: przyszedł na świat w Brockton w Indianie, dwudziestego czwartego kwietnia, o rok wcześniej niż mój brat. Przejrzałem bazy danych we wszystkich stanach, ale nigdzie nie znalazłem aktu zgonu na to nazwisko. Nie mając dowodów, że Petey podszył się pod Danta, z niechęcią sprawdziłem teorię FBI, wedle której było odwrotnie. Szukałem wszędzie, jednak nie**

**natrafiłem na żaden ślad świadczący o tym, że Petey nie żyje i że został zamordowany. Święto Dziękczynienia - jakże gorzko brzmiała dla mnie ta nazwa -minęło. Rodzice Kate zaprosili mnie do siebie. Zrazu odmówiłem. Nie byłem w towarzyskim nastroju. Zaraz jednak uświadomiłem sobie, że oni są równie osamotnieni jak ja, więc możemy się nawzajem pocieszyć. Napiliśmy się wina, obejrzelśmy mecz w telewizji. Ja jednak nie czułem świątecznej atmosfery. Bez przerwy dręczyła mnie myśl, że policja w Denver, Gader czy Payne zgubili numer telefonu, który im podałem, i nie zawiadomią mnie, jeśli pod moją nieobecność Kate i Jason się znajdą.**

**W Boże Narodzenie z kolei teściowie złożyli mi wizytę. Na widok ojca Kate pożałowałem, że to nie ja pojechałem do nich. Ledwie udawało mi się ukryć litość i przerażenie, gdy patrzyłem na tego niedawno jeszcze krzepkiego mężczyznę, przygarbionego teraz z powodu choroby serca i rozpaczy. Nie mogliśmy się powstrzymać od wspomniania lepszych, radośniejszych świąt. Zwłaszcza jedne utkwily nam w pamięci. Podczas studiów Kate zaprosiła mnie na Boże Narodzenie do rodziców. Wtedy właśnie uświadomiłem sobie, że jestem na dobrej drodze do zdobycia jej ręki. Spośród wszystkich świątecznych przygotowań najboleśniej okazało się wybieranie drzewka, bo Kate i Jason dotąd zawsze mi w tym towarzyszyli. To było wielkie rodzinne wydarzenie. Po powrocie do domu zaraz zaczynaliśmy ubierać**

choinkę, i często trwało to aż do wieczora. Tym razem każda bombka, którą wieszałem, przypominała mi o mojej stracie. Pod choinką leżało dawniej mnóstwo prezentów, ale w tym roku postanowiliśmy z teściami nie wymieniać podarunków. Marzyliśmy tylko o jednym darze, a tego nie mogliśmy sobie ofiarować. Matka Kate przygotowała kogelmogel. Był jak zwykle wyśmienity, lecz ja z trudnością zdołałem go przełknąć. Po kilku dniach starsi państwo ruszyli w drogę powrotną do Durango. Teść czuł się tak słabo, że żona musiała przejąć od niego kierownicę. Mój sąsiad Phil Barrow zaprosił mnie na sylwestra. Robiłem, co mogłem, żeby zachowywać się normalnie, ale zabawa była dla mnie udręką. Wyszedłem na godzinę przed północą. Nie mogłem sobie przypomnieć głosów Kate i Jasona. Nadeszła wiosna.

Maj.

Czerwiec.

Minął rok od dnia, w którym zaginęli.

- Wyjeżdżam - oznajmiłem Payne'owi.
- Czasem dobrze jest uciec od złych wspomnień.
- Mam nadzieję, że nie będzie pan miał nic przeciwko temu, żeby listonosz przynosił do pana moją pocztę. - Ależ skąd - odrzekł uprzejmie. - To żaden problem.
- Poprosiłem policję i FBI, żeby informowali pana, gdyby coś się wydarzyło.

**Payne skinął głową.**

**-Zadzwoń natychmiast, jeśli się czegoś dowiem.**

**Proszę mi tylko podać numer, pod którym...**

**- W tej chwili to niewykonalne. Skontaktuję się z panem.**

**- Nie wie pan, dokąd jedzie?**

**- Można tak powiedzieć.**

**- Nie zamierza pan chyba wsiąść do samolotu bez zarezerwowania wcześniej jakiegoś noclegu. - Nie lecę samolotem. Biorę samochód. Będę się rozglądał po kraju, pojedę, dokąd zaprowadzi mnie droga. Detektyw patrzył na mnie spod przymrużonych powiek.**

**- Kogo próbuje pan nabrać?**

**- Nie rozumiem.**

**- Pojedzie pan, dokąd zaprowadzi droga? Pan coś kombinuje. Co pan zamierza?**

**- Już powiedziałem. Chcę wyjechać.**

**- Martwię się o pana.**

**Unikając spojrzenia mu w oczy, wlepiał wzrok w akwarium. -Niech pan mi nie mówi, że jedzie go szukać.**

**Nie odwróciłem głowy.**

**- Jak pan się chce do tego zabrać? - wyraźnie się zdenerwował. - To niemożliwe. Nie ma pan żadnych szans.**

**- Wyczerpałem wszystkie inne możliwości.**

**- Chce go pan tropić, nie mając żadnych śladów?**

**Rzeczywiście będzie pan jeździł, dokąd pana droga**

**zaprowadzi. I czeka pana długa włóczęga. - Aleja nie  
działam w ciemno - zapewniłem.**

**Payne oparł ciężkie ciało o biurko.**

**- Mianowicie?**

**- Trudno to wyjaśnić.**

**- Niech pan spróbuje.**

**- Petey chciał zająć moje miejsce.**

**- I co z tego?**

**- Teraz ja spróbuję odwrócić role. Zajmę jego  
miejsce.**

**- Co takiego?**

**- Zamierzam wnikać w jego świadomość. Będę  
myślał jak on. Stanę się nim.**

**- Jezus Maria - szepnął Payne.**

**- W końcu jesteśmy braćmi.**

**- Panie Denning...**

**- Tak?**

**- Żal mi pana z całej duszy. Niech pana Bóg  
prowadzi.**

**-**

**\* \* \***

## Część trzecia

**Wniknąć w świadomość Peteya? Myśleć jak on? Powodowała mną desperacja, ale czy miałem jakieś inne wyjście? Przynajmniej będę działał. Dzięki temu może uniknę obłędu. Poszedłem na ulicę, gdzie wówczas Petey mnie zaczepił. Kiedyś mieściło się tam biuro mojej firmy. Było parę minut po drugiej, tak jak rok temu. Jego głos dobiegł mnie wtedy z tyłu, a to znaczy, że wołający musiał znajdować się z lewej strony obrotowych drzwi budynku. Zbliżyłem się do masywnej betonowej donicy, na której krawędzi pewnie siedział. Spróbowałem spojrzeć na gmach oczami Peteya. Dlaczego nie wszedł do środka? Oparłem się plecami o betonową ściankę donicy. Miałem wrażenie, że jestem niewidzialny dla przechodniów. Już wiedziałem. W biurze ja panowałbym nad sytuacją, a tu, na chodniku, to on był górą. Przypomniałem sobie naszą pierwszą rozmowę, próbując ocenić ją tym razem z jego perspektywy. Rzucił fakty, które tylko brat mógł znać, obserwował moje zdziwienie i rosnące zaufanie. Poszedłem do delikatesów naprzeciwko, gdzie kontynuowaliśmy rozmowę. Usiadłem na miejscu Peteya. Wyobraziłem sobie samego siebie z jego punktu widzenia. Musiał przekonać mnie, że zaginiony ćwierć wieku temu chłopiec wreszcie się odnalazł. Wróciłem do domu i dalej udawałem, że jestem Peteyem. Wchodzę do środka, rozglądam się, patrzę na dostatek, którego nigdy nie zaznałem. Czy**

to właśnie wtedy doszła do głosu żądza zemsty? To ja zasługuję na to wszystko, nie ty, myślał. Zrujnowałeś mi życie i dzięki temu masz to wszystko, lajdaku. Z przyjemnością patrzył na Kate: na jej długie nogi, zgrabną sylwetkę. A Jason? Co Petey myślał o nim naprawdę? Niepotrzebny kłopot. W życiu takiego człowieka nie było miejsca na instynkt ojcowski. Ale mój syn stanowił

część tego, co Petey osiągnąłby, gdybym nie odesłał go przed laty samego do domu. Chciał dostać Jasona razem z moją atrakcyjną żoną i wielkim modern.

Pragnął posiąść wszystko, co ja miałem.

Przypomniałem sobie kolację, którą razem jedliśmy.

Petey był grzeczny, miły, pomagał zmywać naczynia.

Później grał w baseball. To musiała być dla niego udręka, tak jak wspomnianie dzieciństwa sprzed

czasów, gdy go z mojej winy wprowadzono. Ale

najbardziej nienawidził mnie wtedy, gdy

przyniosłem mu rękawicę, którą zgubił w czasie

porwania. Pewnie marzył o tym, żeby wepchnąć mi ją do gardła.

Poszedłem do pokoju, gdzie spał. Położyłem się na

jego łóżku i zagapiłem w sufit. Nagle zdałem sobie

sprawę, że trzymam rękawicę w lewej dłoni i walę w

nią raz po raz pięścią. Peteyowi na pewno chciało się

palić, ale nie mógł się narazić Kate, która nie znosiła

papierosów. Wyśliznął się więc po cichu na dół, a

potem przez drzwi kuchenne na ganek. W

księżycową noc usiadł na krześle i chciwie, ze złością

zaciągał się dymem. Przypomniałem sobie, jak

wyjrzałem przez okno i zobaczyłem go. Udał wtedy, że mnie nie dostrzega. Co ty tam robisz, pytał pewnie w myślach? Rzniesz żonkę, Ebra ciuszkę się dobrze, póki możesz, bo już niedługo przyjdzie moja kolej. Nazajutrz rano odwiedziłem fryzjera, do którego wtedy poszliśmy. Usiadłem na fotelu, poczułem dotknięcie nożyczek. Petey musiał być wściekle urażony, bo dałem mu do zrozumienia, że wygląda jak przybłęda i zechciałem łaskawie poprawić jego prezencję. Później ruszyliśmy do sklepu z odzieżą, gdzie kupiłem mu nowe rzeczy, następnie do salonu obuwniczego i wreszcie do stomatologa. W ten sposób wkurzyłem go jeszcze bardziej, przypominając o wyszczerbionym zębie. Kiedy wszedłem do poczekalni dentysty, recepcjonistka spojrzała na mnie ze zdziwieniem. - Nie spodziewaliśmy się pana dzisiaj, panie Denning. Zaraz będzie przerwa na lunch. Czy to coś pilnego? - Nie. - Nagle uświadomiłem sobie, że prawie uwierzyłem, że dokładnie uda mi się powtórzyć przebieg wydarzeń sprzed roku. - Musiałem po mylić terminy. Przepraszam za kłopot. Kładąc niepewnie dłoń na klamce, przypomniałem sobie tamten dzień. Ja usiadłem w poczekalni, a Petey wszedł do gabinetu. Dentysta zajął się czyszczeniem jego zębów i wyrównywaniem szczyrby. Znów wyobraziłem sobie, że jestem moim bratem. Leżę na fotelu i kipię ze złości. To była jego pierwsza wizyta u stomatologa od lat. Musiał się denerwować, kiedy dłoń z wiertłem zawisła mu nad

**otwartymi ustami... -Prawdę mówiąc, mam do pani pewną prośbę - powiedziałem, zwracając do biurka, za którym siedziała recepcjonistka. Spojrzała na mnie pytająco.**

**- Rok temu przyszedłem tu z moim bratem. - Serce zabiło mi mocniej na myśl, która właśnie przyszła mi do głowy.**

**- Tak, pamiętam. Strasznie mi przykro z powodu pańskiej żony i syna. - To był dla mnie trudny czas. - Z całej siły starałem się trzymać emocje na wodzy. - Chciałbym zapytać... Czy bratu zrobiono wtedy prześwietlenie zębów? - Oto dowód! - zawołałem, wkraczając do biura Gadera.**

**Detektyw spojrzał na mnie zza biurka, marszcząc brwi.**

**- Dowód na co?**

**- Że mój brat i Lester Dant to ta sama osoba!**

**- Czy pan nadal próbuje...?**

**- Mojemu bratu zrobiono prześwietlenie szczęki na kilka dni przed naszą wycieczką w góry. Kiedy byliśmy dziećmi, rodzice pilnowali, żebyśmy regularnie chodzili na kontrolę do dentysty. Niech pan pokaże te zdjęcia lekarzowi w Ohio, a on porówna je ze starymi prześwietleniami zębów Peteya. To chyba najlepszy dowód.**

**- Ale uzębienie dziewięciolatka nie będzie takie samo jak trzydziesto-kilkuletniego mężczyzny.**

**- Nieprawda. Mój brat miał już wtedy kilka stałych zębów, a nawet jeśli się zmieniły z powodu zabiegów dentystycznych, korzenie zachowały tę samą**

**budowę. Chyba nie zaszkodziłoby zbadać tę możliwość? Gader odłożył grubą teczkę akt, które czytał, gdy wszedłem. - No dobrze - odrzekł ze zniecierpliwieniem. - Załatwmy to raz na zawsze. Jak się nazywał wasz dentysta, kiedy byliście dziećmi? - Nie pamiętam...**

**Spojrzał na mnie z jeszcze większą irytacją.**

**- Woodford to nieduże miasto - powiedziałem. - Nie mieszkało tam wielu dentystów. Odnalezienie tego, do którego chodziliśmy, powinno być łatwe. -**

**Zakładając, że nadal praktykuje i przechowuje zdjęcia wszystkich pacjentów. - Na biurku Gadera odezwał się telefon. - Zadzwoń do pana w tej sprawie - obiecał detektyw, podnosząc słuchawkę.**

**- Kiedy?**

**- W przyszłym tygodniu.**

**- Wolalbym wcześniej.**

**Już mnie nie usłyszał, zajęty rozmową.**

**W sobotę rano wstałem z łóżka, na którym spał kiedyś Petey, załadowałem sprzęt turystyczny do terenowego forda i napełniłem kanapkami przenośną chłodziarkę. Na ile to było możliwe, powtarzałem przebieg tamtego dnia. O dziewiątej wyjechałem na autostradę prowadzącą w góry.**

**Śnieżne czapy przykrywały szczyty, tak jak w czerwcu zeszłego roku. Nie zwracałem jednak uwagi na uroki krajobrazu. Spróbowałem dokładnie słowo po słowie odtworzyć naszą rozmowę. Poczulem gęsią skórę, uświadomiwszy sobie pewną prawidłowość. Niemal za każdym razem, gdy Jason zadał pytanie,**

**zwracając się do mnie "tato", Petey uprzedzał szybko moją odpowiedź. Wprawiał się w odgrywaniu roli, przyzwyczajając do tego, że ktoś nazywa go ojcem. Wjeżdżając do Leśnego Parku Narodowego Arapaho, wyobrażałem sobie, jak musiał hamować zniecierpliwienie. Zatrzymałem się nad jeziorem w tym samym miejscu, które wybraliśmy na postój w zeszłym roku. To tutaj rozbiliśmy namiot. Obszedłem jezioro, żeby dotrzeć do strumienia. Wspiąłem się po zalesionym stoku na skalistą krawędź kanionu, na którego dnie huczała spieniona woda. Ani na chwilę nie zapomniałem, że Petey bez przerwy rozglądał się za miejscem, gdzie mógłby się mnie pozbyć tak, aby wyglądało to na wypadek. Po ruchomych kamieniach dobrnąłem na brzeg urwiska. Byłem teraz Peteyem. Czulem podniecenie, widząc, jak Jason znika za skałą. Nareszcie! Oto bezbronne plecy Brada. - Tato! Chłopak wrócił za wcześnie! Nie mogłem się już zatrzymać. Zepchnąłem mojego przekłętego brata w przepaść, a potem gwałtownie odwróciłem się do dzieciaka, którego twarz zastygła w wyrazie przerażenia. Myśl o strachu Jasona przywróciła mnie do rzeczywistości. Udawanie Peteya kryło w sobie coś strasznego. Mimo chłodu oblał mnie pot. Schodząc po głazach na szlak u podnóża stoku, zastanawiałem się, jak Petey zdołał tego dokonać; niósł przecież chłopca, który z pewnością się szamotał. Nagle uświadomiłem sobie jedyną sensowną możliwość. Zakręciło mi się w**

**głowie. Wyobraziłem sobie, jakie to uczucie dźwigać na plecach nieprzytomne dziecko. Terenowy ford expedition nie ma bagażnika. Petey musiał skrępować i zakneblować Jasona, położyć go na podłodze z tyłu i przykryć namiotem, jechałem przez górskie przełęcze, starając się naśladować mego brata: ostrożnie, ani przez moment nie przekraczając dozwolonej prędkości, żeby nie narazić się na zatrzymanie przez patrol drogowy. Policjant na pewno zainteresowałby się szamotaniną w tylnej części wozu. Dotarwszy do domu, wjechałem do garażu i nacisnąłem guzik zdalnego sterowania bramą. Kłapa opuściła się z głuchym szczęknięciem. Wysiadając z samochodu, wyobraziłem sobie Kate. Wchodzi przez drzwi od strony kuchni. Przed chwilą właśnie wróciła do domu z całodniowego seminarium. Na tle popielatego kostiumu jej długie złociste włosy wydają się jeszcze jaśniejsze. - Co się stało? - pyta, marszcząc brwi. - Gdzie Brad i Jason? - Mielіśmy wypadek. - Wypadek?**

**Wtedy pewnie Petey obezwładnił ją, związał i zakneblował, wszedł do domu, poszukał kluczyków od jej wozu, a potem upchnął moją żonę i Jasona w bagażniku volvo. Samochód miał podnoszone tylne siedzenie, pozwalające przewozić rzeczy o podłużnym kształcie, takie jak narty. Prawdopodobnie Petey uchylił nieco siedzenie, żeby umożliwić cyrkulację powietrza i zablokował przedmiotami zrabowanymi z domu, aby nie**

otworzyło się do końca. Potem pospiesznie spakował walizki, rozmyślnie zabierając niektóre moje ubrania. Skoro miał się we mnie wcielić, nic nie stało na przeszkodzie, żeby wyglądał jak ja. Około osiemnastej opuściłem dom, dokładnie tak samo jak przed rokiem zrobił to Petey. O osiemnastej dwadzieścia jeden pobrałem pieniądze z bankomatu. Jednak wyjeżdżając z Denver na północ autostradą numer dwadzieścia pięć, uzmysłowiłem sobie, że wypakowane skradzionym sprzętem volvo wyglądałoby jak sklep obwoźny. Petey musiał wiedzieć, że zwróciłoby uwagę policji, więc na pewno nie opuszczałby miasta z całym łupem. Sprzedałby co się da jak najszybciej. Ale przecież nie znał tu nikogo. Jakim cudem zdołał znaleźć nabywcę? Nagle przypomniałem sobie, że po wizycie u dentysty uparł się spędzić trochę czasu samotnie w parku. Chciał - jak to ujął - "zebrać myśli". Drań wykorzystał popołudnie, żeby znaleźć kupca na rzeczy, które planował mi ukraść. Pojechałem do podejrzanej dzielnicy i wyobraziłem sobie, że dokonuję transakcji. Następnie wróciłem na trasę. Wśród setek mknących autostradą pojazdów poczułem się niewidzialny.

Drogowskaz na poboczu informował, że do Casper w stanie Wyoming zostało czterysta kilometrów. Ograniczyłem prędkość, żeby nie narazić się na spotkanie z policją. O zachodzie włączyłem reflektory i poczułem się jeszcze bardziej anonimowy, jakbym się wtopił w migotliwą

gwiazdną konstelację. Minąłem Cheyenne o niskich, rozciągniętych na dużej przestrzeni zabudowaniach. W jakieś cztery godziny po wyjeździe z Denver zbliżałem się do Casper, którego światła dostrzegłem już z oddali. Przez większą część drogi w mroku poza pasmem autostrady wyczuwałem tylko płaską, bezludną przestrzeń. Teraz z lewej strony wyrosła ciemna sylwetka góry i zasłoniła gwiazdy. Kilka kilometrów na północ od miasta zauważyłem znak zapowiadający parking. O tej porze ruch był niewielki. Ledwie widoczna strzałka wskazywała zjazd z autostrady. Skręciłem. Po chwili z mroku wyłoniły się dwa oświetlone domki z cegły. Na parkingu stały trzy półciężarówki i furgonetka. Petey poszukałby pewnie bardziej odludnego miejsca, więc wjechałem w zwirową alejkę prowadzącą do ustronia, gdzie można było usiąść i odpocząć. Krąg blasku z najbliższych okien sięgał aż do stołów stojących wśród drzew. Na szczęście nikt nie wychodził z toalety, bo moje zachowanie mogłoby wzbudzić podejrzenia. Włączyłem światła parkingowe. Za drewnianym ogrodzeniem majaczyły w półmroku kontury śmietnika. Zaparkowałem tuż za nim, zgasilem światła i przeszedłem wzdłuż płotu, aby się upewnić, że nikt nie zainteresował się tym, co robię. Panował spokój. Mogłem otworzyć bagażnik. To, co ujrzałem oczyma wyobraźni, było potworne. Kate i Jason obydwoje leżą na boku. Szamoczą się, przerażeni, z ustami zaklejonymi taśmą, rękami związanymi na plecach i

skrępowanymi w kostkach nogami. Oczy rozszerzone ze strachu. Jęki, może błagania o litość. Ostry zapach ciała, dwutlenku węgla, potu i strachu. Petey pewnie zdarł im taśmę z ust, ostrzegając, żeby nie krzyczeli. A oni byli zbyt oteźpiali z przerażenia i półprzytomni od zaduchu na stawianie oporu. Prawdopodobnie wyciągał ich po kolei z bagażnika, rozluźniając ubrania, żeby mogli załatwić swoją potrzebę. Ten koszmary dla nich intymny kontakt miał świadczyć o jego przywiązaniu do nowej rodziny. Ale obowiązki dopiero się zaczynały. Kate i Jason musieli być potwornie spragnieni. Czy przewidział to i już wcześniej zatrzymał się w jakimś przydrożnym barze w Casper? Kupił coś do picia, może też kilka hamburgerów i trochę frytek? Czy kiedy kneblował im z powrotem usta, zdobył się na jakieś słowa otuchy?

- Kocham was.

Zatrzasnąłem bagażnik i skierowałem wzrok na parking koło toalet. Ruszyłem w ich stronę; drobne kamienie chrzęściły mi pod stopami. Wchodząc w krąg światła, czułem się obnażony. Większość samochodów zdążyła już odjechać; został tylko średniej wielkości sedan. Zajrzałem do męskiej toalety; była pusta. Wszedłem na zewnątrz. W powietrzu bzyczał rój owadów. Jakaś kobieta opuściła ceglany budynek, poszukała w torebce kluczyków i podeszła do wozu. Nie spojrzała w moją stronę. Wyobraziłem sobie, jak Petey rusza ku niej i po chwili nieruchomieje. Autostradą sunęły

samochody. Nie było ich bardzo dużo, ale co chwilę jakiś przejeżdżał. Ktoś mógłby zobaczyć napad na parkingu. Petey musiał rozwiązać ten problem w inny sposób. Zapewne wszedł do damskiej toalety i tam obezwładnił swoją ofiarę. Potem poczekał na chwilową przerwę w ruchu na autostradzie, żeby wynieść nieprzytomną kobietę między drzewa, gdzie panował mrok. Położył ją za śmietnikiem, związał i zakneblował. Następnie poszedł do jej samochodu - forda caprice, jak ustaliła policja - i uruchomił go za pomocą ukradzionych kluczyków. Ze zgaszonymi reflektorami wyjechał za ogrodzenie, zrobił nożem dziury wentylacyjne w tylnym siedzeniu, a potem przeniósł do bagażnika Kate i Jasona. Czy kładąc razem z nimi ogłuszoną kobietę nie obawiał się, że w ciasnym pudle nie wystarczy powietrza dla trzech osób? Dlaczego ryzykował, że Kate i Jason się uduszą? Nieszczęsna kobieta rzeczywiście umarła. Dlaczego jej nie zabił od razu i nie ukrył ciała w śmietniku? Nikt by go tam nie znalazł przez dłuższy czas. Wyobraziłem sobie przerażenie Kate i Jasona, słuchających rżenia konającej. Musiała się szarpać, krztusić; potem ruchy ustały, nastąpiło opróżnienie pęcherza, a może i jelit. Samochód mknął po autostradzie, a moją żonę i syna dławił potworny strach, że los nieznajomej może stać się także ich udziałem. To pytanie nie dawało mi spokoju: dlaczego nie zamordował jej i nie zostawił zwłok w śmietniku? Nasuwała się tylko jedna odpowiedź: mimo że los tej kobiety był Peteyowi

obojętny, nie chciał, żeby zginęła. Mnie pragnął zabić, bo jego zdaniem zrujnowałem mu życie i zasługiwałem na śmierć. A ona po prostu znalazła się w niewłaściwym miejscu o niewłaściwym czasie. To była pierwsza oznaka ludzkich uczuć, jaką u niego zauważyłem. Nadzieja dla Kate i Jasona. Mógł porzucić volvo za śmietnikiem, gdzie nikt by go nie zauważył przez wiele dni. Wolał jednak zadać sobie trud i zostawić je na widoku przed toaletami. Bo Petey chciał, żeby je szybko znaleziono. Chciał, żeby wskazywał, iż kieruje się na północ. Z tego samego powodu zostawił forda caprice koło Billings w Montanie: chodziło mu o zasugerowanie policji, że jedzie do Butte. Precyzja jego myślenia była porażająca. Wróciłem na autostradę. Tablica na poboczu informowała, że do Billings w Montanie zostało jeszcze czterysta kilometrów. Powieki ciążyły mi potwornie, ale musiałem jechać dalej. Przecież miałem powtórzyć każdy etap ucieczki Peteya. Czy spał po drodze? Kusilo mnie, żeby odpocząć, ale bałem się, że jeśli zjadę z szosy i znajdę jakieś ustronne miejsce - na przykład kemping - usnę i nie obudzę się aż do świtu. A Petey na pewno brał pod uwagę, że przez tyle godzin ktoś zgłosiłby zaginięcie forda caprice. Musiał dotrzeć do Billings. Jechałem więc dalej jego śladem. Radio grało głośno. W środku nocy trudno było znaleźć jakąś ciekawą audycję. Na większości kanałów wygłaszali kazania radiowi kaznodzieje, których głosy zagłuszały szумы i trzaski. Z lewej

strony ciągnęło się pasmo gór. Światło księżyca odbijało się od ośnieżonych szczytów. Powieki coraz bardziej mi ciążyły. Żeby nie usnąć, zagryzałem wargi, wbijałem w dłonie paznokcie. Jechałem teraz autostradą numer dziewięćdziesiąt. Minąłem Sheridan w Wyoming i znalazłem się w Montanie. Nazwy na tablicach informacyjnych brzmiały zupełnie obco: Lodge Grass, Custer Battlefield, Crow Agency... W okolicach Hardin autostrada skręcała na zachód. Licznik pokazywał coraz więcej kilometrów; Petey pewnie się obawiał, że jego więźniowie mają za mało powietrza. Z bólem wyobraziłem sobie rozpaczliwy wzrok Kate i Jasona, kiedy patrzyli w twarz mojemu bratu. Pewnie wzdrygnęli się, gdy dotykał ich czoł uspokajającym gestem. Na właścicielkę forda ledwie spojrzał. Wreszcie ujrzałem tablicę z nazwą Billings. Zaniepokoiłem się, że droga z Casper, którą powinienem pokonać w cztery godziny, zajęła mi półtorej godziny więcej ze względu na częste przystanki. Zatrzymywałem się, żeby symulować dogłądanie więźniów. Mimo to było jeszcze ciemno, kiedy dotarłem do parkingu po drugiej stronie miasta. Znak zapowiadał punkt widokowy, lecz księżyc już zaszedł i mogłem tylko przeczuwać obecność gór od północy i południa. Przed toaletami dostrzegłem dwa pojazdy: półciężarówkę i sedana. Także i na tym parkingu za zabudowaniami biegła droga dla samochodów zaopatrzeniowych.

**Zaparkowałem. Kiedy wysiadałem, przyplw adrenaliny przewycięzył zmęczenie. Powietrze było zaskakująco zimne. Z jednego z domów wynurzyło się dwóch mężczyzn w kowbojskich kapeluszach. Poczekałem, aż wsiądą do półciężarówki i odjadą. O tej porze, tuż przed świtem, ruch na autostradzie niemal całkowicie zamierał. Szybkim krokiem zbliżyłem się do toalet i przez chwilę nasłuchiwałem, czy ktoś jest w środku. Gdyby dobiegły mnie odgłosy świadczące o obecności kilku osób, musiałbym poczekać na lepszą okazję. Ale jeśli był tam tylko jeden człowiek... Niewiele kobiet odważa się jeździć samotnie po nocy. Założyłem więc, że ofiarą był mężczyzna. Ogluszyć go łyżką do opon w męskiej toalecie, wywlec na zewnątrz, podjechać jego samochodem do budyneczku toalet. Później przenieść Kate i Jasona do bagażnika skradzionego wozu. Żaden problem. Czy to właśnie wtedy Petey odkrył, że właścicielka caprice nie żyje? Pewnie nie płakał z rozpacz. Dał jej w końcu szansę. Uznał pewnie, że to nie jego wina. Kara za porwanie jest taka sama jak za morderstwo, więc nie mając nic do stracenia, zamiast ukryć ciało, zostawił je w fordzie. Potem wsiadł do świeżo ukradzionego wozu i wyjechał na autostradę. Ale zamiast do Butte, jak podejrzewała policja, zawrócił na następnym skrzyżowaniu i ruszył z powrotem w kierunku Billings. Powtórzyłem manewr Peteya. Świtało. Z mroku wyłaniały się góry, rancza i rafinerie ropy naftowej. Przejechałem**

**most na rzece Yellowstone. Teraz nie mogłem już kierować się raportem policji. Petey musiał być równie wykończony jak ja. Dokąd zdecydował się jechać? Nikt tego nie wiedział.**

**Autostrada się rozwidlała. Mogłem jechać trasą numer dziewięćdziesiąt cztery, wiodącą przez Montanę na północny wschód do Północnej Dakoty albo wrócić do Wyoming znaną mi już drogą. Wybrałem tę drugą możliwość. Nie oszukiwałem się, że intuicyjnie naśladowuję postępowanie Peteya. Była to wyłącznie moja decyzja. Wiedziałem, że przy takim wyczerpaniu, jeśli szybko nie znajdę jakiegoś miejsca, gdzie mógłbym odpocząć, niechybnie skończę w przydrożnym rowie. Petey z pewnością odczuwał to samo. Nawet spora dawka adrenaliny nie pomogłaby mu na długo, a z pewnością nie ryzykowałby spowodowania wypadku. Nie miał prawa jazdy, a wóz zarejestrowany był na inne nazwisko. Pierwszy funkcjonariusz drogówki, który by go zatrzymał, prędzej czy później nabralby podejrzeń i zajrzał do bagażnika. Tymczasem słońce wznosiło się coraz wyżej; wyobrażałem sobie, jaka spiekota musiała panować w ciasnym pudle. Bez względu na to, ile dziur przebił Petey w tylnym siedzeniu, Kate i Jason dosłownie smażyli się w zamknięciu, a zaduch stawał się coraz bardziej nieznośny. Jeśli mieli przeżyć, Petey musiał dać im odpoczywać za dnia, a jechać nocą. Detektywi z Denver donieśli, że martwa kobieta miała zaklejone**

usta. Zakładałem, że Petey w taki sam sposób zakneblował Kate i Jasona. Zdjąłem prawą rękę z kierownicy, przycisnąłem ją do warg i zmusiłem się do oddychania samym nosem. Śluz, wywołany wiosennymi pyłkami, częściowo zablokował mi nozdrza. Klatka piersiowa unosiła się ciężko. Nie mogłem złapać dość tlenu. Musiałem się skupić na kontrolowaniu bicia serca, powoli wdychać i wydychać powietrze. Trudno było znieść myśl o koszmarze oddychania przez tyle czasu w ciasnym, rozgrzanym bagażniku. Nie było wątpliwości: Kate i Jason mieli szansę przetrwać tylko pod warunkiem, że Petey jechał, gdy panowała niższa temperatura - czyli nocą. Ale gdzie mógł się zatrzymać? W motelu ktoś zauważyłby, jak wyciąga z bagażnika kobietę i chłopca i wnosi ich do budynku. A na kempingu? Sezon turystyczny dopiero się zaczynał. Możliwe, że Petey znalazł wystarczająco ustronne miejsce w lesie. Nasłuchując, czy nie zbliża się jakiś pojazd, może zaryzykował wypuszczenie Kate i Jasona z bagażnika. Jeśli był tam strumień, w którym mogli się umyć, tym lepiej. Musiał też zaopatrzyć się ponownie w żywność. Przy następnym zjeździe z autostrady zauważyłem logo McDonalds'a; podjechałem do okienka obsługującego pojazdy, zamówiłem kanapkę z jajkiem, kawę i sok pomarańczowy. Czekając w sznurze samochodów, zerknąłem w lusterko wsteczne i zmarszczyłem brwi na widok dwudniowego zarostu na mojej twarzy. Nie to mnie jednak zaniepokoiło. Próbowałem

naśladować sposób myślenia Pe-teya, a zapomniałem o jedynym jego znaku charakterystycznym: bliźnie na podbródku. Z pewnością zwracała uwagę.

Wyciągnąłem z kieszeni koszuli długopis i narysowałem linię w miejscu, gdzie Petey miał szramę. Chciałem wiedzieć, jakie to uczucie, gdy ludzie gapią ci się na twarz. Kiedy płaciłem za jedzenie, kasjerka wskazała atramentową kreskę. - Proszę pana...

- Tak, wiem. Jakoś nie mogę tego zmyć.

Zamierzałem spytać, czy w pobliżu znajdę jakiś kemping, ale czując na sobie badawczy wzrok kobiety, zapłaciłem i odjechałem. Poranne słońce oślepiało mnie; musiałem mrużyć oczy.

Postanowiłem zapuścić brodę. Kemping mógł się znajdować w pobliżu rzeki, więc minąwszy Bighorn, zjechałem na pobocze, żeby się zastanowić, czy ruszył wzdłuż jej koryta na północ czy na południe. Drogowskaz informował, że jadąc na południe, dotrę do rezerwatu Indian z plemienia Kruków. Tam nie mógłbym się ukryć, więc postanowiłem skierować się na północ.

Ruch na szosie był znikomy. Wokół rozpościerały się tereny podzielone ogrodzeniami. Wkrótce dotarłem do piaszczystej polnej drogi, która po chwili skręciła w prawo i biegła wzdłuż koryta rzeki. Zarośla na brzegu zasłaniały jednak wodę. Porośniętą trawą trakt zaprowadził mnie między drzewa.

Zaparkowałem, wyszedłem na główną drogę i z satysfakcją stwierdziłem, że samochód jest dobrze

zamaskowany. Nie żywiłem złudzeń, że Petey zatrzymał się właśnie w tym miejscu, ale logika podpowiadała, iż wybrałby podobne. Pewnie podjął próbę uspokojenia Kate i Jasona; zapewnił, że nie zrobi im krzywdy, jeśli go do tego nie zmuszą.

Wypuścił najpierw jedno z nich, obwiązał w pasie liną, a potem pozwolił się wykąpać; potem powtórzył tę operację z drugim. Dał im ubrania na zmianę. Obserwował, gdy jedli kanapki. -Będę się wami opiekował.

Nie wiedzieli, jak zareagować na tę deklarację.

Kate, chociaż przerażona, miała całą noc na przeanalizowanie sytuacji. Wiedziała, że aby przetrwać, musi starać się uspokajać Peteya. To była ich jedyna szansa. - Dziękujemy za jedzenie.

- Smakuje?

Byli przestraszeni, ale tak głodni, że żarłocznie pochłaniali hamburgery. - Pytałem, czy wam smakuje?

- Tak - potwierdziła skwapliwie Kate.

- Nic szczególnego, ale zawsze posiłek.

Czy zawarł w tych słowach groźbę: jeśli będziecie się stawiać, nie dostaniecie nic? Kate pociągnęła kolejny długi łyk soku, wiedząc, że to i tak za mało, aby uzupełnić ubytek płynów w organizmie. Pewnie odsunęła z twarzy potargane włosy, chcąc poprawić wygląd. Musiała się postarać, żeby Petey patrzył na nich jak na istoty ludzkie, a nie przedmioty: dziękować za okazane względy, zachowywać się normalnie, sprawić, aby chciał sobie zadawać trud w

nadziei, że ona to doceni. A Jason? Był tylko dzieckiem, nie miał wiedzy i umiejętności psychologa i pewnie umierał ze strachu. A matka nie mogła go uspokoić, kiedy leżeli w bagażniku, bo byli zakneblowani. Nie miała też możliwości poinstruowania chłopca, jak ma się zachowywać. Mogła tylko rzucać mu znaczące spojrzenia w nadziei, że zrozumie, i liczyć na to, że pójdzie za jej przykładem. - Co zamierzasz z nami zrobić? - spytała w odpowiedniej chwili. - Już ci powiedziałem. Chcę się wami opiekować.

- Ale dlaczego....

- Jesteśmy rodziną.

- Rodziną? - Nie okazuj tego, co czujesz. Trzeba zachować pozory, że sytuacja jest normalna.

- Brad miał wypadek.

- Słucham?

- Spadł ze skały. Ja zajmę jego miejsce.

Kate poczuła, jakby sama spadała z ogromnej wysokości.

- Jestem twoim mężem. A ty, Jasonie, jesteś moim synem. Musiała przezwyciężyć łzy, które napłynęły jej do oczu. Potem powtórzyła wcześniejsze słowa Peteya, aby przypomnieć mu ich sens. -Zaopiekuj się nami.

Petey nie znał pewnie terminu "syndrom sztokholmski", ale był dość zręcznym manipulatorem, aby instynktownie przeczuwać jego treść. Po pewnym czasie ofiara zaczyna się męczyć huśtawką emocjonalną. Za dobrą monetę przyjmuje

najdrobniejszy życzliwy gest, zaczyna się godzić ze swym położeniem i nawiązywać nić porozumienia z porywaczem. To była nadzieja Peteya. Tylko że on nie miał pojęcia o zaspokajaniu potrzeb żony i dziecka. Po śniadaniu nie zostało ani śladu, a wkrótce trzeba było myśleć o lunchu i kolacji. Petey pewnie tego nie przewidział. Nawet jeśli kupił zawczasu więcej hamburgerów, jak zamierzał zapobiec ich zepsuciu i w jaki sposób chciał je podgrzać? Musiałby zdobyć lodówkę turystyczną, kuchenkę, naczynia, patelnię... Z taką determinacją dążył, aby zająć moje miejsce, a kiedy już dopiął swego, okazało się, że nie jest to aż tak przyjemne, jak się spodziewał. Piętrzyły się przed nim coraz to nowe trudności. Czy nie lepiej było przyznać, że popełnił błąd i dać sobie z tym wszystkim spokój? Zrobić z Kate i Jasonem to, na co miał ochotę, zabić ich i kierowcę uprowadzonego samochodu, ukryć ciała, porzucić wóz w najbliższym mieście, kupić bilet autobusowy i powiedzieć adios. Na tę myśl wstrząsnął mną dreszcz. Tak postąpiłby Lester Dant, ale nie Petey, pocieszałem się. Pozbyłby się od razu Jasona, wywiózł Kate na odludzie, a potem, kiedy znudziłaby mu się, zrzucił jej zwłoki w przepaść. Z pewnością nie zadawałby sobie tyle trudu i nie podejmował takiego ryzyka, aby zmylić trop i skierować pościg do Montany. Wszystkie te działania miały sens tylko pod warunkiem, że chodziło o Peteya. Porwał ich, bo zamierzał skraść moje życie i uczynić z Kate i Jasona swoją rodzinę. Lecz jego

**cierpliwość została wystawiona na ciężką próbę. Mógł zdrzemnąć się spokojnie tylko wówczas, gdy wsadził swoje ofiary z powrotem do bagażnika, żeby nie mogły uciec. Cień drzew chronił maskę samochodu przed nadmiernym nagraniem. Mimo to Petey nie wiedział, jak długo zdoła spać. Na pewno marzył o solidnym odpoczynku. Nawet dziury wentylacyjne nie dawały jednak pewności, że Kate, Jason i kierowca ukradzionego wozu przeżyją w bagażniku, jeśli co jakiś czas kłapa nie zostanie uchylona, aby wypuścić nagromadzony dwutlenek węgla. Dwoje ludzi jeszcze od biedy miało taką szansę. Wtedy to uświadomiłem sobie, że o ile śmierć porwanej wcześniej kobiety była przypadkowa, mężczyznę petey zabił własnymi rękami. Spać. Z największym trudem powstrzymałem się przed zamknięciem oczu. Otworzywszy tylne drzwi wozu, ujrzałem walizkę, plecak, komputer i drukarkę. Wiedziałem, że jeśli chcę się jako tako wyciągnąć na tylnym siedzeniu, będę musiał przepakować to wszystko. Perspektywa przenoszenia czterech waliz musiała rozwścieczyć Peteya. Kolejne utrapienie. Poza tym, trzeba było odłączyć wewnętrzne światło w samochodzie, żeby zostawić uchylone drzwi i wyprostować nogi, inaczej lampa paliłaby się bez przerwy, doprowadzając do rozładowania akumulatora. Jeszcze jedna rzecz do zrobienia. W swoich marzeniach Petey na pewno nie uwzględnił tego wszystkiego.**

**Obudził mnie warkot silnika. Usiadłem raptownie. Jeszcze nim zdążyłem zerknąć na zegarek, z położenia słońca odgadłem, że jest późne popołudnie. Samochód turkotał na wyboistej zasłoniętej przez drzewa drodze. Wysiadłem, czując niesmak w ustach. Zbliżający się wóz zamajaczył wśród pni. Była to półciężarówka pickup; pewnie jakiś ranczer wyjechał po sprawunki do miasta. Bolały mnie plecy. Wiedziałem już, jakie czynności wykonywał Petey: sprawdzał, czy więźniowie żyją, wynosił ich, żeby mogli załatwić intymne potrzeby i umyć twarz. Kiedyś musiał też zająć się sobą. Jego ubranie zabrudziło się i przesiąkło potem, więc pewnie założył coś z rzeczy, które mi ukradł. Może poczuł złość słysząc burczenie w żołądku; przypomniało mu to, że teraz musi myśleć o pożywieniu nie tylko dla siebie, ale i dla więźniów. To nie mogło trwać w nieskończoność. Wiedział, że albo znajdzie jakieś miejsce, gdzie zdoła się zatrzymać na dłużej, albo będzie musiał zabić Kate i Jasona, bo sprawiają za dużo kłopotu.**

**Nie! Musiałem odsunąć od siebie tę straszną myśl. Wyobraziłem sobie, jak moja żona i syn reagowali na rosnące zniecierpliwienie Peteya. Kate doskonale rozumiała, że powinna oswoić go z sytuacją, pomóc mu, złagodzić napięcie. - Mogę uprać te brudne rzeczy. Jeśli chcesz, przywiąż mnie do drzewa i obserwuj. Będziesz miał pewność, że nie ucieknę. A walizki, które przeniosłeś na przednie siedzenie, odłożę na miejsce. Chcę ci pomóc.**

**Jason być może przyłączył się do tej gry. Niewykluczone, że zrozumiał intencje matki i ze wszystkich sił starał się wejść w rolę posłusznego chłopca. Dostosowując się do fantazji Peteya, pomagali mu uwierzyć, że wysiłek i ryzyko, które podejmuje, są tego warte. Tylko w ten sposób mieli szansę przeżycia. Tym razem to więźniowie starali się wyzwolić syndrom sztokholmski u porywacza. Petey z pewnością niepokoił się, że jest zbyt blisko miejsca, gdzie porzucił forda caprice. Niebawem ktoś zgłosi zaginięcie samochodu, którym teraz jechał. A może tablica rejestracyjna pochodziła z odległego stanu, co oznaczało, że kierowca miał daleko do domu i nikt nie zauważy jego zniknięcia przez cały dzień? Jednak Petey nie mógł na to liczyć. Musiał jechać dalej, ale nie odważył się pokazać na autostradzie przed zmrokiem, który czynił go niewidzialnym. To zaś oznaczało dla Kate i Jasona oczekiwanie na kolejny posiłek. Mieli za to okazję spędzić z Peteyem więcej czasu, porozmawiać, spróbować nawiązać kontakt, pokazać, że są żywymi ludźmi. Jeśli zdołaliby tego dokonać, trudniej byłoby mu ich zabić. Stał przed nimi, ściskając w rękach sznur i taśmę klejącą. -Chcę cię o coś poprosić - odezwała się Kate.**

**Petey związał jej ręce z tyłu.**

**- Posłuchaj mnie, proszę. Rozumiem, że musisz zakleić nam usta. Boisz się, że zaczniemy krzyczeć i ściągniemy policję. Wziął się za krępowanie nóg.**

- Proszę cię. Kiedy bagażnik nagrzewa się od słońca, prawie nie można oddychać. Chciałabym tylko, żebyś...

Oderwał kawałek taśmy.

- Proszę. Nic się nie stanie, jeśli zostawisz małą dziurkę w miejscu, gdzie mamy usta. Nie da się przez nią krzyczeć, ale będziemy mogli oddychać. Petey znieruchomiał.

- Obiecałeś, że się nami zaopiekujesz - ciągnęła Kate. - Jaki będziesz miał z nas pożytek, jeśli się udusimy?

Zmierzył ją surowym, podejrzliwym wzrokiem, a potem zakneblował i ułożył w bagażniku. To samo zrobił z Jasonem. Kate patrzyła na niego błagalnie, kiedy podszedł, aby zatrzaskać klapę. Zawahał się przez chwilę, po czym wyjął nóż i przedziurawił taśmę. Miałem nadzieję, że tak się stało. Ale kiedy po zapadnięciu zmroku wyjechałem na autostradę, opadło mnie przeczucie, że moje wyobrażenia całkowicie rozminęły się z rzeczywistością. W Wyoming trafiłem na kolejne rozwidlenie drogi. Dłonie zaczęły mi się pocić, kiedy próbowałem podjąć decyzję, którądy jechać. Mogłem zawrócić trasą numer dwadzieścia pięć do Denver albo ruszyć na wschód autostradą numer dziewięćdziesiąt, prowadzącą do Czarnych Wzgórz w Południowej Dakocie. Nie potrafiłem sobie wyobrazić, że Petey wraca w nasze strony. Czarne Wzgórze na pewno wydały mu się dobrym pomysłem. Było tam mnóstwo zakątków, gdzie mógł się ukryć.

**To wydarzyło się o trzeciej w nocy na parkingu gdzieś w Południowej Dakocie. Kroki ucichły przed wejściem do męskiej toalety. Stałem przy pisuarze; ostre światło raziło w oczy. O tej godzinie, gdy wszędzie panowała cisza, każdy dźwięk wydawał się zwielokrotniony. Pewnie tylko dlatego zwróciłem uwagę na ten odgłos. Zerknąłem przez ramię, ponad kabinami w stronę drzwi wejścia. W toalecie panował charakterystyczny chłód ciągnący od betonu, który zdążył już oddać całe ciepło nagromadzone w ciągu upalnego dnia. Czekałem, aż drzwi się otworzą. Cisza za nimi zdawała się pęcznieć. Nie spuszczając oka z wejścia, zapiałem spodnie. Podszedłem do umywalki i umyłem ręce, obserwując pomieszczenie w lustrze. Nie było tu papierowych ręczników, tylko elektryczna suszarka. Odgłos, który wydawała, przypominał ryk silnika odrzutowego. Nie uruchomiłem jej, bo chciałem wszystko dobrze słyszeć. Z dłońmi ociekającymi wodą wpatrywałem się w drzwi. Nic nie mąciło panującej za nimi ciszy. Pewnie jakiś zmęczony kierowca zajechał na parking, pomyślałem. Nie wchodzi, bo chciał tylko rozprostować nogi. Stoi tam i spogląda w gwiazdy. A jeśli się mylę? Wmawiałem sobie, że moje obawy są nieuzasadnione. W końcu nie miałem żadnych podstaw, by zakładać, że ktoś czai się na mnie. Lecz tak długo starałem się odgadywać mroczne zamiary Peteya, naśladować jego posunięcia, odtwarzać logikę postępowania, przemykać się niepostrzeżenie**

wśród ludzi, że nie potrafiłem teraz wyzbyć się podejrzeń. Wyobraźnię miałem tak jednoznacznie ukierunkowaną, że czułem niebezpieczeństwo, jak gdyby sączyło się pod progiem. Mój samochód był jedynym pojazdem na parkingu - prawdziwa gratka dla poszukiwacza łatwego łupu. Może nieznajomy nasłuchiwał, czy jest ktoś ze mną, chciał się upewnić, że ma do czynienia z jedną osobą. Pewnie lada chwila otworzy drzwi. Zostawiłem pistolet w samochodzie i teraz mogłem tylko przeklinać swoją głupotę. Na co mi była nauka strzelania, skoro przez własne gapiostwo straciłem szansę, by użyć broni, kiedy jest mi najbardziej potrzebna? Nogi miałem jak z waty. A jeśli wytropiłem Peteya? Może to właśnie on stoi za drzwiami? Nacisnąłem guzik suszarki. Jej szum zagłuszył moje kroki, kiedy szybko przekradałem się w stronę wejścia. Przywarłszy do ściany, poczułem skurcz strachu w żołądku. Drzwi otworzyły się raptownie. Do środka wpadł mężczyzna w wieku dwudziestu kilku lat w kowbojskich butach, dzinsach i kapeluszu. W rękach ścisnął łyżkę do opon. Drzwi zatrzasnęły się za nim, a on zamarł na widok pustej łazienki. Zerknął w stronę kabin. Nagle zauważył moje odbicie w lustrze nad umywalką. Chciał się obrócić, ale ja runąłem na niego całym ciężarem ciała. Wąsata twarz trzasnęła z impetem o szklaną tafłę, rozbijając ją w kawałki. Poląła się krew. Chwyciłem go za kołnierz i gruby pasek i cisnąłem głową o suszarkę tak mocno, że dysza pękła z głośnym trzaskiem. Urządzenie

**pracowało nadal, a ja odciągnąłem napastnika do tyłu, po czym uderzyłem jeszcze raz. Krew chlusnęła na pozbawiony plastikowej osłony wiatraczek. Metalowa łyżka spadła z brzękiem na podłogę. Znowu uderzyłem i puściłem. Osunął się na posadzkę jak stary siennik. Jęknął, nie otwierając oczu. Tylko ruchy klatki piersiowej świadczyły o tym, że żyje. Czułem pieczenie w żołądku i przerażenie, że gniew omal nie popchnął mnie do zabójstwa. Ale najważniejsze było co innego: poczucie triumfu. Wyszedłem z tej próby zwycięsko. Chciało mi się krzyczeć.**

**- Federalne Biuro Śledcze - oznajmiła recepcjonistka.**

**- Chciałbym mówić z agentem specjalnym Gaderem - powiedziałem, ściskając słuchawkę tak mocno, aż zaboląły mnie palce.**

**Była dziewiąta rano. Promienie słońca odbijały się od powierzchni jeziora, otoczonego lesistymi stokami. Grzbiety skalne miały ciemnoszarą barwę; łatwo było się domyślić, że to właśnie jej Czarne Wzgórze zawdzięczają swą nazwę. Dotarłem nad jezioro przed świtem, lecz zorientowawszy się z mapy, że za wzgórzami rozciąga się otwarta, płaska preria, pomyślałem, że Petey mógł zatrzymać się wcześniej niż zamierzał, aby przeczekać tu dzień. Uroda krajobrazu robiła na mnie dziwne wrażenie. Po tym, co stało się na parkingu, czułem, jakbym**

**przeniósł się w inną rzeczywistość. -Agent Gader wyjechał z miasta w sprawach służbowych.**

**Podniosłem kamień i ze złości cisnąłem go do wody.**

**- Czy mogę spytać, kto dzwoni?**

**- Brad Denning. Ja...**

**- Agent Gader uprzedził mnie, że będzie pan próbował się z nim skontaktować. Powiedział, że rozmawiał z panem Paynem o pańskiej sprawie i jeśli chciałby pan...**

**Przerwałem połączenie.**

**- Coś mi się zdaje, że dawno nie odwiedzał pan Woodford - powiedział Payne.**

**Przyciskając telefon do ucha, stanąłem na brzegu jeziora. Owiało mnie chłodne powietrze znad wody.**

**Kilkudniowy zarost drapał w rękę. Musiałem się uspokoić. - Nie byłem tam od czasu, gdy**

**wyprowadziliśmy się z mamą po śmierci ojca. - Ilu mieszkańców liczyło wtedy miasto?**

**- Niedużo. Około dziesięciu tysięcy.**

**- Miasteczko jednej fabryki - zażartował Payne.**

**- Dokładnie. Ojciec był w niej majstrem. - Nagle zatęskniłem za nim boleśnie. - Skąd pan wiedział?**

**- Gader mówił, że zakład został zamknięty dziesięć lat temu, a produkcję przeniesiono do Meksyku.**

**Obecnie Woodford pełni rolę zaplecza Columbus, a liczba ludności wzrosła do dwudziestu tysięcy. Jest tam kilku dentystów, jednak żaden nie słyszał o rodzinie Denningów. Zrobiło mi się zimno.**

- Ale na pewno wiedzą coś o dentystach, którzy pracowali w Woodford przed nimi.
- Nie. Gader twierdzi, że pan też nie pamięta ani nazwiska, ani adresu. Zaczynała mnie boleć głowa.
- To było tak dawno.
- A więc to ślepa uliczka. Gader prosił przekazać, że mu przykro. - Jasne.
- Mówi, że jeśli chce pan za pomocą prześwietlenia zębów udowodnić, że pański brat posługuje się nazwiskiem Lestera Danta, czeka pana wielkie rozczarowanie. A w ogóle, w jaki sposób miałyby to pomóc odnaleźć pańską rodzinę?
- Nie mam pojęcia, ale wydaje mi się, że w tej sytuacji rozczarowanie to o wiele za słabe słowo. W komórce odezwały się trzaski.
- Skąd pan dzwoni? - spytał Payne.
- Z Południowej Dakoty.
- Ładna okolica?
- Nie przyjechałem tu podziwiać krajobrazów.
- Jeśli jest pan zdecydowany jechać dalej, chciałbym udzielić panu pewnej rady. Mogę? - Pod warunkiem, że nie będzie to coś w rodzaju: "Daj sobie wreszcie spokój. Czas odpocząć".
- Nie, skądże. Zaskoczę pana, bo to, co chcę powiedzieć, zabrzmiałoby jak zachęta - odrzekł Payne.
- Więc chętnie dam się zaskoczyć.
- Zanim przytyłem i zaprzedałem się Internetowi, należałem do tych detektywów, którzy lubią wszystko zobaczyć na własne oczy. Dlatego zauważałem rzeczy, umykające uwadze moich

kolegów. Jeśli ma się czas, nic nie zastąpi osobistego kontaktu z miejscami i ludźmi, których chce się poznać. - Jeśli ma się czas.

- Tego zdaje się panu nie brakuje.

- Sugeruje pan, że jeżeli zależy mi na odnalezieniu tego dentysty, powinienem zrobić to sam? - Mniej więcej.

- To rzeczywiście brzmi jak zachęta. Skąd ta zmiana nastawienia? - Bo martwię się o pana.

W aparacie znów odezwały się trzaski. Wyteńczyłem słuch.

- Boję się, że jeśli nie upewni się pan na sto procent, że zrobił absolutnie wszystko, co w ludzkiej mocy, jeśli utraci pan nadzieję... Zakłócenia nasiliły się. ...zniszczy pan samego siebie.

- Zadzwoń do pana któregoś dnia - obiecałem.

- Co? Nie słyszę.

Rozłączyłem się.

największych odległości. Wiedziałem jednak, że Petey nie wytrzymałby takiego trybu życia zbyt długo. Do dalszej jazdy zmusiło go jednak zapewne odkrycie, że nie zginąłem w górach. Dziennikarzom bardzo przypadła do gustu ta historia. Radio trąbiło o niej, podobnie jak i telewizja. Rzecz jasna, petey nie powiedział nic Kate i Jasonowi. Ale świadomość mojego cierpienia umacniała jego determinację: wyobrażał sobie, jak odchodzę od zmysłów ze strachu i tęsknoty za rodziną. Nie zamierzał jednak dzwonić do mnie po nocach, żeby sycić się moją udręką, ani wysyłać szyderczo radosnych kartek.

**Takie zabawy mogły naprowadzić policję na jego ślad. Zadowalał się tym, że otacza mnie nieubłagana, pełna napięcia cisza. Ale pal sześć. Ja chciałem tylko wiedzieć, dokąd ich zabrał. Pomyślałem o dzikich pustkowiach Południowej Dakoty. W dawnych czasach złodzieje koni i bydła zaszywali się w labiryncie rozpalonych słońcem kanionów, w których panowały tak piekielne warunki, że pościgi nie ośmielały się w nie zapuszczać. To byłby rozpaczliwy wybór, nawet w sytuacji Peteya. Dalej rozpościerały się setki kilometrów trawiastej prerii, niemal zupełnie pozbawionej drzew. Petey unikałby raczej takich miejsc. Ukryć się na równinie? Wątpliwy pomysł. Czułby się bezbronny bez osłony wzgórz i lasu. Czy w takim razie poszukał kryjówki wśród Czarnych Wzgórz? Może jakaś porzucona drewniana chata... Dalej intuicja nie zdołała mnie już zaprowadzić. Ślepa uliczka. Takim właśnie określeniem Gader skwitował pomysł odnalezienia dentysty. Dentysta. Nic nie zastąpi osobistego kontaktu z miejscami i ludźmi, których chce pan poznać, powiedział Payne. Skinąłem głową. Przespawszy się w samochodzie aż do zachodu słońca, ruszyłem tam, dokąd i tak od pewnego czasu prowadził mnie los, tam gdzie dawno temu wszystko się rozpoczęło. Ku utraconemu dzieciństwu Peteya.**

**Zaczynałem się przyzwyczajać do spędzania dni w odosobnionych miejscach, spania na tylnym**

siedzeniu samochodu i pokonywania nocą jaknajwiększych odległości.

- Bierzemy tylko gotówkę - oznajmiła, wymieniając sumę. Jej spojrzenie zdawało się sugerować, że opłata, której zażądała, to prawdziwa fortuna. Byłem innego zdania.

Przyjęła pieniądze z nieukrywaną ulgą, po czym ziewnęła, wręczyła mi klucz i szurając pantoflami ruszyła z powrotem do siebie. - Maszyny z napojami i cukierkami stoją na zewnątrz - mruknęła przez ramię na odchodnym.

- Przepraszam, że panią obudziłem.

- Wyśpię się na cmentarzu.

W nocnym powietrzu czuło się wilgoć; tylko jedna żarówka oświetlała parking. Żadne z dziesięciu stanowisk nie było zajęte. Wczuwając się w sposób myślenia Peteya, odnotowałem, że wszystkie miejsca parkingowe znajdują się na tyłach budynku. W półmroku nikt by nie zauważył, jak wynoszę z bagażnika zakneblowaną kobietę i dziecko. W małym pokoiku znalazłem cienką pościel i zakurzone lustro. Spojrzałem na swoją zarośniętą twarz. W oczach czaił się obłąd. Wydawało mi się, że patrzę na obcego człowieka. -Czy zna pani tego mężczyznę? Właścicielka motelu wyglądała na równie przemęczoną jak wczorajszej nocy, gdy ją zbudziłem. Jej pomarszczone usta zostawiły ślad pomadki na krawędzi filiżanki z kawą. Stojąc za kontuarem recepcji, obracała policyjną fotografię to w tę, to w tamtą stronę. - Nie można powiedzieć, że

**dobrze wyszedł. Skąd ta blizna na brodzie? - Po wypadku samochodowym.**

**- Nie znam faceta. Pan także z FBI?**

**- Dlaczego pani pyta?**

**- W zeszłym roku nagabywał mnie już o niego jakiś wasz agent. Mój optymizm przygasł. Jeśli Gader naprawdę się przyłożył do sprawdzenia danych Danta, to znaczy, że tracę czas. - Musiał zrobić coś okropnego, jeśli nadal go szukacie.**

**- Tak, to, co zrobił, było okropne. Czy mówi pani coś nazwisko Denning? Peter Denning? - Nie.**

**- A Lester Dant?**

**- Dant. - Kobieta zastanowiła się przez chwilę. - Pana kolega też wymienił to nazwisko. Mieszkało tu kiedyś kilka rodzin Dantów.**

**\* \* \***

## Część czwarta

**brockton - następny zjazd**

**'''Tablica pojawiła się zupełnie zniecka. Upłynęły dwa dni. Przejechałem Iowę i Illinois. Autostradą numer siedemdziesiąt mozolnie posuwałem się na wschód przez terytorium Indiany. Zmierzałem do Ohio. Tam, tuż za Columbus, znajdowało się moje rodzinne miasteczko Woodford. Jednak na widok tablicy zapowiadającej Brockton, miejsce urodzenia Lestera Danta, zmarszczyłem brwi. Mimo że już dawno ustaliłem położenie miasta na mapie, ze zdumieniem zdałem sobie sprawę, iż leży ono w pobliżu tej samej autostrady co Woodford. Zdecydowany odnaleźć ślad dentysty, nie myślałem o Brockton. Teraz uległo to gwałtownej zmianie. Skręciłem. Dwupasmowa szosa biegła wśród rozległych pól. Po trzydziestu kilku kilometrach moim oczom ukazały się szeregi zniszczonych domów, stojących wzdłuż ponurej głównej ulicy. W oknach niektórych budynków widniały wywieszki z napisem na SPRZEDAŻ. Migoczący nierówno neonowy szyld głosił: MOTEL BROCKTON, WOLNE POKOJE. Budynek był stary i zaniedbany, ale nie miałem innego wyboru. Gdy otwierałem drzwi, rozległ się dzwonek. Jaskrawe świetlówki pod sufitem buczały monotennie. Z pomieszczenia za recepcją wynurzyła się starsza kobieta o podpuchniętych oczach, ubrana w szlafrok. - Ile nocy?**

**- Dwie - odparłem, zdecydowany zostać tu i jak najwięcej się dowiedzieć.**

**Właścicielka wydawała się zdziwiona, że ktoś ma powód, aby zatrzymać się w Brockton na więcej niż jedną noc. Nie była to krzepiąca wiadomość.**

**- Sklep żelazny dotąd ma ich na szyldzie, ale obecny właściciel nazywa się Ben Porter.**

**Tracę tylko czas, powtórzyłem sobie. Kusilo mnie, żeby wsiąść w samochód i ruszyć do Woodford. Nie mogłem jednak niczego pominąć. -Gdzie jest ten sklep?**

**- Nie znam go - oznajmił Ben Porter. Był to mężczyzna po pięćdziesiątce, podobnie jak wszyscy mieszkańcy tego na wpół wyludnionego miasteczka, z którymi dotąd się zetknąłem. Na jego kombinezonie osiadły wióry z deski. Kiedy wszedłem, właśnie ją piłował. - Ale to niewiele znaczy. - Dlaczego?**

**- Nie znałem pierwszego właściciela sklepu. Na szyldzie zachowałem nazwisko Dant dla podtrzymania tradycji firmy.**

**Słowo "tradycja" w tym umierającym miasteczku zabrzmiało groteskowo. - Nie zna pan żadnego z Dantów?**

**- Jak powiedziałem tamtemu agentowi, nie było ich tu już, kiedy ja nastąłem. Przeprowadziłem się dopiero dziesięć lat temu. - Z wyrazu jego twarzy można było wnosić, że tego żałuje.**

**- Przychodzi panu do głowy ktoś, kto mógłby ich znać?**

**- Tak, oczywiście. Wielebny.**

**- Kto?**

**- Wielebny Benedict. Ludzie powiadają, że mieszka w Brockton od zawsze. Biały kościółek z wieżyczką i stojąca za nim plebania były jedynymi budynkami w miasteczku, które na pierwszy rzut oka nie wymagały remontu. Z prawej strony aż pod mur cmentarza wcisnął się różany ogród przecięty ścieżką. Starszy mężczyzna w niebieskiej koszuli z krótkim rękawem i białą koloratką klęczał tyłem do mnie. Głowę pochylił w modlitwie. Nagle poruszył rękami. A więc nie modlił się, tylko przycinał róże. Za prawym uchem miał zatknięty aparat słuchowy. Musiał to być wyśmienity model, bo stary pastor usłyszał moje kroki na trawie i odwrócił się. -**

**Wielebny ojciec Benedict?**

**Bruzdy na czole duchownego pogłębiły się, gdy z widocznym wysiłkiem podnosił się z kolan. Na jego zniszczonych spodniach widać było ciemne plamy od trawy. - Nazywam się Brad Denning. Ben Porter, ten ze sklepu żelaznego... - Zacny człowiek.**

**- ...poradził mi, żebym pomówił z ojcem o kilku rodzinach, które tu kiedyś mieszkały.**

**- Jakich rodzinach?**

**- Chodzi o Dantów.**

**Oczy wielebnego rozbłysły, jak gdyby ucieszył się na myśl, że będzie mógł sprawdzić swoją pamięć. Zaraz jednak pociemniały; pastor przyjrzał mi się bacznie,**

**niemal podejrzliwie. - Pamięta ojciec rodzinę Dantów? - spytałem.**

**- Pan jest z FBI?**

**- Nie.**

**- Ktoś z FBI pytał mnie o nich w zeszłym roku.**

**- Wiem. Aleja nie jestem z FBI. Czy agent pokazywał ojcu tę fotografię? - Tak. To Lester. To samo i jemu powiedziałem.**

**- Czy ojciec jest pewien, że to Lester Dant?**

**- Był młodszy i nie miał blizny na brodzie, ale to bez wątpienia Lester. Zrobiło mi się słabo. Hipoteza, w którą tak usilnie starałem się uwierzyć, w jednej chwili legła w gruzach. To Lester Dant, a nie mój brat uprowadził Kate i Jasona. A on nie miał powodu, żeby pozostawić ich przy życiu. - Dlaczego pan o niego wpytuje?**

**- To już bez znaczenia - wymamrotałem, odwracając się kompletnie otępiały.**

**- Ten agent powiedział, że chodzi o zwykłe rutynowe śledztwo. Odwróciłem się.**

**- Rutynowe śledztwo? Nic podobnego.**

**- Co się stało, panie Denning? Widzę, że jest pan strasznie przybity. Nie przyszedłem tu z zamiarem relacjonowania całej historii, ale było w tym starym człowieku coś, co skłoniło mnie do zwierzeń.**

**Zdesperowany zacząłem opowiadać. Próbowałem panować nad sobą, ale z każdą chwilą głos drżał mi coraz bardziej. Benedict patrzył na mnie szeroko otwartymi oczyma. Widziałem, że ma dość, że chce, abym już skończył, aleja mówiłem i mówiłem.**

**Odkrywałem kolejne szczegóły... Oczy pastora jaśniały litością, jakby słuchał wyznania kogoś, kto został strącony na wieki w otchłań piekła za błąd nieświadomie popełniony w dzieciństwie. -I to wszystko zrobił Lester?**

**-Albo mój brat podszywający się pod Lestera. Właśnie to mnie nurtuje, tego chciałem się dowiedzieć.**

**- Niech Bóg ma go w swojej opiece. I pana też.**

**- Oby zechciał.**

**- Wszystkie modlitwy zostają kiedyś wysłuchane.**

**- Ale czasem zbyt późno, wielebny ojciec.**

**Wyglądało, że pastor powie mi za chwilę, abym nie tracił wiary. Westchnął jednak tylko i zapraszającym gestem wskazał ławkę. - Powinien pan spróbować zrozumieć tego człowieka.**

**- Zrozumieć? Mam nadzieję, że nie każe mi ojciec tłumaczyć go ani mu współczuć, bo mnie chodzi tylko o to, aby go ukarać. I proszę mi nie mówić o nadstawianiu drugiego policzka i pozostawieniu zemsty Panu Bogu. - Sam pan to powiedział.**

**Popatrzyliśmy sobie w oczy.**

**- Czy ojciec jest przekonany, że mężczyzna na tym zdjęciu to Lester Dant? - Tak.**

**Zakręciło mi się w głowie. Mimo to musiałem poznać prawdę. -A więc dobrze. - Zrezygnowany, opadłem na ławkę. - Proszę pomóc mi zrozumieć tego człowieka.**

**- I jego rodziców - ciągnął pastor. - Musi pan też zrozumieć jego rodziców. Zastanowił się przez chwilę.**

**- Dantowie. - Jego słaby głos nabrał wigoru. - Z początku było ich aż sześć rodzin. Mieszkali tu, odkąd sięga ludzka pamięć. Tak w każdym razie powiedział mi mój poprzednik, kiedy obejmowałem tę parafię. Ci ludzie nie należeli jednak do miejscowej społeczności. Trudno nawet powiedzieć, że byli obywatelami Stanów Zjednoczonych.**

**- Nic nie rozumiem, wielebny ojcze.**

**- Byli separatystami, odmieńcami, tworzyli osobne plemię. Kiedyś, za pewne w czasie wojny secesyjnej, Dantom przydarzyło się coś strasznego... Przybyli tu z miejsca, o którym rozpaczliwie chcieli zapomnieć i osiedlili się z twardym postanowieniem, aby trzymać się z dala od wszystkich. Jakaś pszczoła brzęczała mi koło nosa. Machnąłem ręką, ani na chwilę nie odrywając wzroku od pastora. -Rzecz jasna, nie mogli żyć w całkowitej izolacji. Musieli utrzymywać jakieś kontakty z sąsiadami, choćby po to, żeby szukać sobie małżonków.**

**- Mój poprzednik odszedł na emeryturę, a ja objąłem po nim parafię Zanim wyjechał, opowiedział mi o swoich owieczkach, również całą tę historię, którą właśnie panu powtórzyłem. Dodał, że wbrew obawom dziecko przeżyło. Tydzień przed moim przybyciem Orval przywiózł nawet synka do miasta, żeby udowodnić lekarzowi, że oprócz woli bożej nic się nie liczy. - Nie rozumiem... Co to ma wspólnego z**

**pożarem? Powiedział ojciec, że poznał Lestera po pożarze.**

**- Pożar zdarzył się w wiele lat później.**

**Nachyliłem się, chłonąc każde słowo.**

**- Dym zaalarmował chyba całe miasto. Pamiętam, że to był weekend przed Świętem Pracy. Nieco wcześniej nastąpiło gwałtowne ocieplenie, więc ludzie zostawiali otwarte okna, żeby nacieszyć się świeżym powietrzem. Wybiegliśmy z żoną do ogrodu, krztusząc się od dymu; myśleliśmy z początku, że płonie nasz dom. Nagle zrozumiałem, że to nie w samym Brockton się pali. Przez kłębiący się szary tuman dostrzegłem lunę na horyzoncie, od strony farmy Orvala i Eunice. Innych Dantów nie było już wtedy wśród żywych. Ktoś włączył syrenę na budynku straży pożarnej; to był sygnał dla ochotników. Kiedy się tam zjawilem, ludzie wiedzieli już, że pożar nie wybuchł na terenie miasta. Spierali się, czy powinniśmy pomóc Owalowi i Eunice, czy zostawić ich samym sobie, skoro zawsze dawali do zrozumienia, że nas nie potrzebują. Jednak mogłem być dumny z moich parafian. Strażacy wsiedli do wozu, a wielu ludzi pojechało za nimi swoimi samochodami. Lecz jeszcze zanim zdążyliśmy dotrzeć w pobliże farmy, stało się jasne, że nawet tuzin cystern z wodą na nic się nie zda. Nie padało od miesiąca. Wiatr przybrał na sile. Po lewej stronie widzieliśmy języki ognia pełzające po pastwisku, las też się palił. W oddali płonęły dom i stodoła. Zrobiliśmy, co było w naszej mocy, żeby nie dopuścić**

do rozprzestrzenienia się pożaru na drugą stronę drogi. Niewiele więcej udało się działać. Nastął świt. Nagle ktoś krzyknął, wskazując ręką w stronę pola. Obejrzałem się i zobaczyłem na tle płomieni kilkunastoletniego chłopca. Szedł, potykając się i bijąc dłońmi po dymiącym ubraniu. Dotarł do płotu i przedostał się na drugą stronę. Biegiem ruszyłem ku niemu. Chłopiec szlochał. Nigdy nie widziałem tak rozszerzonych strachem oczu. Były ślepe z przerażenia. Próbowałem go uspokoić, ale na mój widok rzucił się do ucieczki. Dopiero przy pomocy innych osób udało mi się go zatrzymać i ugasić tłące się ubranie. -To był Lester?

Pastor skinął głową.

- Minęły trzy dni, zanim zdołał nam powiedzieć, co zaszło. Kiedy go obezwładniliśmy, coś się w nim zamknęło. Popadł w katatonię. Zabraliśmy go do przychodni. Nie miał głębokich poparzeń ani innych ran, więc doktor zajął się przede wszystkim leczeniem szoku. Kiedy można już było chłopca bezpiecznie przewozić, zabraliśmy go z żoną do nas, na plebanię. Pastor wskazał domek za kościołem. Jego oczy zamgliły się od smutku. -Lester opowiedział nam o pożarze, o tym jak zbudziło go szczekanie psów i dym. Krzyczał, żeby ostrzec rodziców. Próbował dostać się do ich sypialni, ale pod drzwiami jego pokoju szalał już ogień. Wyskoczył przez okno. Krzyczał na podwórzu. Spoza płomieni dobiegały go rozpaczliwe wołania, ale gdy chciał biec na ratunek swoim bliskim,

**powstrzymała go ściana straszliwe go żaru. Wiatr rozniósł ogień na stodołę i inne budynki, pola i las. Lester zdołał się wydostać tylko dlatego, że wskoczył do zbiornika z wodą dla zwierząt, skąpał się w nim cały i mokry pobiegł przez pastwisko wśród płomieni, które otaczały go ze wszystkich stron. Został u nas przez tydzień; czasem w nocy zrywał się nagle zlany potem, bo śniły mu się krzyki rodziców. Myśląc o straszliwej śmierci Dantów, potrząsnąłem głową.**

**- Czy udało się ustalić, dlaczego wybuchł pożar?**

**- Lester powiedział, że poprzedniego dnia zepsuł się wyłącznik światła w kuchni. Ojciec zamierzał go nazajutrz naprawić.**

**- Tak, to możliwe. Pewnie doszło do spięcia. Ogień rozprzestrzenia się w ścianie wzdłuż przewodów, a kiedy wybuch, płomienie w mgnieniu oka obejmują cały dom.**

**- Lester twierdził, że wszystko wydarzyło się bardzo szybko. - I co było dalej? Powiedział ojciec, że mieszkał z wami przez tydzień. - Chcieliśmy, żeby został dłużej. Jednak pewnego ranka, gdy żona zajrzała do jego pokoju, chłopca już nie było. - Odszedł?**

**- Kupiliśmy mu trochę ubrań. Znikły, podobnie jak powłoczka na poduszkę. Pewnie posłużyła mu jako torba. Z kuchni wziął zapas chleba, ciastek i kilka plasterków mięsa na zimno. - Uciekł w środku nocy? Dlaczego?**

- Pewnie chodziło o to, że jestem duchownym i że mieszkamy tuż koło kościoła.
- Nie rozumiem. Przecież Lester pochodził z bardzo pobożnej rodziny. Sąsiedztwo kościoła nie powinno mu być przeszkadzać.
- Przekonania religijne Dantów różniły się od moich.
- Nadal nie rozumiem...
- Dantowie wierzyli, że Bóg odwraca się od nas ze względu na naszą grzeszną naturę. Ja zaś nauczam, że On nas miłuje, ponieważ jesteśmy Jego dziećmi. Od samego początku podejrzewałem, że wieczorem przed ucieczką Lester podsłuchiwał mnie, kiedy ćwiczyłem kazanie na niedzielę. Pewnie po myślał, że słyszy głos szatana.
- I nigdy go więcej ojciec nie zobaczył?
- Dopiero rok temu, kiedy agent FBI pokazał mi zdjęcie. Z rozpaczą spojrzałem na kolorowy kartonik. To była fotografia Lestera Danta, a nie mojego brata. Nadzieja, która podtrzymywała mnie podczas poszukiwań, rozwiąła się. Wielebny Benedict wyraźnie posmutniał.
- Bardzo chcieliśmy mieć dzieci, ale nie było nam to dane. Kiedy Lester dochodził do siebie w szpitalu, rozmawialiśmy z żoną o adopcji. Po jego ucieczce czuliśmy się tak, jakbyśmy stracili własnego syna. - Przeniósł wzrok na cmentarz za różanym ogrodem. - Moja żona zmarła zeszłego lata. - Przykro mi.
- Mój Boże, tak mi jej brak. - Popatrzył na swoje pomarszczone dłonie. - Kiedy ostatnio usłyszałem o Lesterze... - Głos zadrżał mu ze wzruszenia. -Miesiąc

po ucieczce od nas podobno pojawił się w Loganville. To takie miasteczko około stu pięćdziesięciu kilometrów na wschód stąd. Tamtejszy pastor wspomniał o samotnym młodym chłopcu, który przyszedł nie wiadomo skąd. Zaopiekowali się nim parafianie. Pojechałem tam, żeby sprawdzić, czy to Lester i poprosić, żeby wrócił, ale znikł, zanim dotarłem na miejsce. Gdyby wtedy udało mi się go namówić... - Staruszek wziął głęboki oddech. - Być może nie doszłoby do żadnej z tych tragedii, które później spowodował. - Zrobił ojciec wszystko, co w ludzkiej mocy. To Lester jest winny. - Tylko Bóg może to osądzić.

Wysiłek rozmowy najwyraźniej znużył pastora.

Wstałem i uścisnąłem mu rękę. - Dziękuję, wielebny ojcze. Wiem, że to bolesne wspomnienia. Rozumiem, co ojciec czuje. - Będę się za pana modlił.

- Bardzo tego potrzebuję. Powiedział ojciec, że Orval i Eunice mieszkali na południe od miasta? - Około dwunastu kilometrów stąd.

- Teraz wszystko wygląda tam pewnie zupełnie inaczej.

- Ziemia od lat leży odłogiem, ale poza tym niewiele się zmieniło. Jeśli pojedzie pan w tamtą stronę, zauważy pan z drogi wypalone ruiny domu i obejścia.

Nie pamiętam, jak opuściłem Brockton. Opowieść Benedicta zupełnie mnie oszołomiła. Aż dziw, że nie zjechałem z wąskiej szosy i nie rozbiłem samochodu o drzewo. Nie wiedziałem, po co jadę na miejsce

pożaru. Alternatywą był jednak powrót do Denver, a tego nie chciałem zrobić. Ciągle miałem w pamięci słowa Payne'a: nic nie zastąpi osobistego kontaktu z miejscami i ludźmi, których chce pan poznać. Ruiny farmy Dantów należały właśnie do takich miejsc. Wśród zarośli na skraju szosy dostrzegłem zniszczoną tablicę. Na dużej kwadratowej desce majaczyły rozmyte litery, które kiedyś pewnie były czarne. **żałujcie za grzechy**

To wystarczyło, abym nabrał pewności, że wkraczam do krainy Dantów. Po prawej stronie, za pastwiskiem, wznosił się dom. Nawet z tej odległości dało się zauważyć, że budynek z wybitymi oknami grozi zawaleniem. Dach sąsiadującej z nim stodoły już się zapadł. Jednak pastor mówił, że gospodarstwo Orvala Danta rozciągało się po lewej stronie drogi, więc skierowałem wzrok w tamtą stronę i niebawem dostrzegłem osmalone kikuty bali, sterczące wśród zdziczałego łąnu zboża. Dojechałem do lasku, gdzie wysokie spalone pnie strzelały między niższymi, bujnie zieleniejącymi drzewkami. Zarośnięta chwastami polna droga prowadziła do szerokiego wzniesienia, które znajdowało się około sześciuset metrów dalej. Wjazd zagradzała żelazna brama z kłódką i łańcuchem. Wysiadłem z samochodu, żeby sprawdzić, czy kłódka jest zamknięta. Trzymała mocno. Wiatr niósł zapach wilgoci. Kiedy opuszczałem Brockton, niebo było czyste i błękitne, lecz teraz zamgliło się nieco, a na horyzoncie gęstniały chmury. Wiedziałem, że zacznie

**padać dopiero za kilka godzin. Mimo to do plecaka z zapasem żywności i wody upchnąłem płaszcz przeciwdeszczowy. Przekonałem się wszak na własnej skórze, że nawet pozornie niewinna przechadzka po lesie może przybrać nieoczekiwany obrót. Wyciągnąłem też wnioski z przygody, która spotkała mnie trzy dni wcześniej na parkingu. W plecaku miałem pistolet. Wspiąłem się na płot. Świadomość zawartości plecaka działała na mnie kojąco. Kiedy zeskoczyłem po drugiej stronie ogrodzenia, spod moich tenisówek wzbił się obłok kurzu. Ruszyłem spacerkiem, lecz widok zarośli przy drodze przypomniał mi o weekendzie, który spędziliśmy we trójkę z Kate i Jasonem dwa lata temu. Pewien architekt kupił starą chatę w górach. Drzewa i chwasty prawie całkowicie zarosły wzniesione z bali ściany, więc pewnego dnia zaprosił znajomych, aby wspólnie uporać się z niepożądaną gęstwiną. W zamian mogliśmy raczyć się do woli mięsem z rusztu i pić piwo, którego w chacie było pod dostatkiem. Przyjechało kilka rodzin. Jasonowi spodobał się pomysł pracy w zespole; pomagał wynosić ścięte krzaki, a mnie serce rosło z dumy, że malec tak się stara. Kate chciała wytrzeć mu twarz z kurzu i potu, i uśmieła się, kiedy zaprotestowałam, krzycząc, że nie może wyglądać jak mięczak. Przyspieszyłem, wściekły na siebie, że nie udało mi się dotąd odnaleźć moich bliskich. Wyciągałem nogi ile sił; słońce paliło, pot ściekał strumykami po skórze, dzinsy i koszula zaczynały się lepić do ciała.**

**Żałowałem, że to tylko sześćset metrów. W Denver pokonywałem wielokilometrowe trasy, ale wtedy nadzieja dodawała mi siłę, a teraz mój szaleńczy bieg był wyrazem poczucia klęski. Dotarłem do celu i zwolniłem. Wzniesienie, które zauważyłem z szosy, okazało się poczerniałymi ścianami zrujnowanego drewnianego budynku. Deski zamieniły się w zwęglone szczapy i zawały, tworząc nieforemny stos. Szczeliny między deskami zatkane były liśćmi. Spomiędzy rumowiska wyrastały kolczaste krzewy i pnącza trującego bluszczu. Znacznie większa budowla obok - chyba stodoła - zapadła się w podobny sposób. Mimo oblewającego mnie potu poczułem chłód. Tłumaczyłem sobie, że niepotrzebnie poddaję się nastrojom. Nie mogłem jednak zignorować tego widoku. Dziesięć metrów od miejsca, gdzie stałem, rodzice Lestera Danta ponieśli śmierć w płomieniach. Wszzechobecna czerń była przytłaczająca. Co ja tu w ogóle robię, pomyślałem. Już miałem wracać do samochodu, gdy coś zwróciło moją uwagę: za spalonym domem ciągnęło się niskie kamienne ogrodzenie o wymiarach dziesięć metrów na dziesięć. Ogień osmalił kamienie; niektóre się zawały. Obszedłem ruiny domu, starannie omijając trujący bluszcz. W miejscu, gdzie niegdyś znajdowała się brama, w murze ziała wyrwa. Zbliżywszy się, zobaczyłem, że teren wewnątrz ogrodzenia również porastają trujące pnącza i kolczaste krzaki, a ziemia usłana jest zeschniętymi liśćmi. Wśród tego chaosu zauważyłem jednak**

regularne wzgórki. Kiedy podszedłem bliżej, okazało się, że są to stosy kamieni układające się w szeregi. Nie miałem wątpliwości, że odnalazłem cmentarz, chociaż zamiast grobów były tu tylko zagłębienia: gnijące trumny i ciała zapadły się pod ciężarem ziemi. Takie zapadliska to cecha charakterystyczna większości starych nekropolii. Na współczesnych cmentarzach nie występują tylko dlatego, że trumny są obecnie robione z metalu, a groby obudowuje się ściankami z betonu i przykrywa marmurowymi płytami. Za kamiennym murem spały snem wiecznym całe pokolenia Dantów. Wyobraziłem sobie ból i poczucie osamotnienia towarzyszące ludziom, którzy grzebali tu swych bliskich. Najbardziej uderzyło mnie, jak wiele z tych mogił miało małe wymiary zaledwie na trumnę dziecka. Nie wiem, ile czasu spędziłem, stojąc nad grobami i medytując nad losem Dantów. Pragnęli stworzyć odrębną, niezależną społeczność, lecz ich marzenia legły w gruzach. Wreszcie odwróciłem się i ruszyłem w drogę powrotną do samochodu. Jakieś zwierzątko przemknęło wśród drzew, pewnie wiewiórka. Jednak W tym miejscu, gdzie nie znalazłem ani śladu życia, każdy szelest budził lęk. Nie było nawet słyhać ptaków. Ocierając pot z czoła, spostrzegłem, że burzowe chmury zbliżyły się nieco. Okrążałem zapadnięty dom, pamiętając o wszechobecnym trującym bluszczu. Nagle nogi straciły oparcie. Przeraziłem się, że coś złego dzieje się z moim mózgiem, że mam atak serca, może

wylew. Chwiałem się tak przez chwilę. Wciągnąłem raptownie powietrze w płuca i gdy uświadomiłem sobie ze zgrozą, co się stało, ziemia rozstała mi się pod stopami. Spadałem. Nagle zaczepiłem o coś biodrami i zawisłem. Poda mną ziała pustka, której dna nie widziałem. Z bijącym szaleńczo sercem wsparłem ręce na krawędzi rozpadliny i próbowałem wydostać się z pułapki. Im mocniej jednak się opierałem, tym głębiej dłonie zapadały się w ziemię. Zacząłem się znowu zsuwać, lecz ułamek sekundy wcześniej zdążyłem wyrzucić ręce w bok na całą szerokość. Na chwilę powstrzymałem upadek w głąb wciągającej mnie czarnej dziury. Moje nogi kołysały się rozpaczliwie. Zsuwałem się nieubłaganie do ziejącej pustką jamy. Tylko głowa i ramiona wystawały jeszcze nad ziemią; cały ciężar ciała opierał się teraz na wyciągniętych szeroko w bok rękach. Słyszając pod sobą niewyraźne grzechotanie, rozpaczliwie łapałem w płuca powietrze. Nagle z głośnym krzykiem runąłem w dół. Przerazający dźwięk otoczył mnie ze wszystkich stron.

Stopy boleśnie zetknęły się z podłożem. Kolana ugięły się od uderzenia, poleciałem tyłem w ciemność i poczułem, że plecy napotykają opór. Stuknąłem w coś głową i niemal straciłem przytomność. Moje nozdrza wypełnił wilgotny zapach stęchlizny. Przywarłem mocniej do ściany, słysząc wokół wściekle grzechotanie. Nie byłem zresztą pewien, czy przegroda ze zbutwiałego drewna, którą miałem za

plecami, to rzeczywiście ściana. W tej samej chwili zauważyłem, że spadłem na zgniłe resztki drewnianej podłogi. Spod desek prześwitywał beton. Zamoczyłem spodnie w stojącej na dnie jamy wodzie. Ale to wszystko nie miało znaczenia. Myślałem tylko o grzechoczącym dźwięku, który dobiegał z ciemności. Węże. Pozbierałem się na nogi i głębiej wcisnąłem w kąt. Latarka, wyjmij tę cholerną latarkę, strofowałem się w myślach. Gorączkowym ruchem ściągnąłem plecak, szarpnąłem za suwak i zanurzyłem rękę w środku. Po chwili przeciąłem mrok potężnym snopem światła. Wydawało się, że cała podłoga ożyła. Klębiące się węże gniewnie potrząsały grzechotkami. Jęk zamarł mi w gardle. Przesunąłem światło na brudną kałużę u moich stóp, spodziewając się, że i tam ujrzę koszmarnie gady. Lecz w zielonkawej wodzie nic się nie poruszyło. Kałuża miała około pięciu centymetrów głębokości, a ja modliłem się, żeby widoczny na jej dnie osad okazał się trujący dla węży. Podłoga opadała w stronę kąta, gdzie stałem; to dlatego woda zebrała się w tym miejscu. Jednak z prawej i lewej strony dno jamy było suche i właśnie tam gromadziły się węże. Jak daleko potrafi skoczyć grzechotnik? Dwa razy dalej niż długość własnego ciała? Trzy razy? Jeśli tak, węże mogły pokonać kałużę i dosięgnąć mnie. Ale łoskot, z jakim runąłem, przestraszył je, zmuszając do wycofania się. Klębiły się teraz pod przeciwległą ścianą, w bezpiecznej dla mnie odległości. Na razie. Gdzie ja się w ogóle znalazłem?

**Pomieszczenie było wielkości garażu na dwa samochody. Część muru po lewej stronie zawaliła się. Spod rumowiska desek, izolacji i betonu przebierała naga ziemia. Wyplukane klepisko świadczyło o tym, że budowniczy tej piwnicy nie zadbał o odpowiednie drenowanie. Deszczówka zbierała się za ścianą, aż wreszcie beton pękł pod jej naporem. Właśnie przez tę dziurę woda dostała się do wnętrza. I przez drewniany strop, zabezpieczony płytami ze sklejki - na krawędziach dziury, przez którą wpadłem, widać było kolejne płyty - oraz płachtą wodoodpornej gumy na wierzchu. Wszystko to przysypane było warstwą ziemi grubości dwudziestu centymetrów. Nic nie mogło powstrzymać myszy i innych małych stworzeń od dokopania się do gumy i przegryzienia jej. A kiedy woda raz dostała się do belek stropu, rozpoczął się proces gnicia, który w końcu doprowadził do zawalenia się sufitu pod ciężarem ziemi. Piwnica najwyraźniej uległa zniszczeniu wiele lat temu. Przez ten czas na jej dnie powinno było się zebrać znacznie więcej wody. Gdzieś musiała się więc znajdować szczelina, przez którą wypływała deszczówka. Spojrzałem na zapadniętą część ściany. Klepisko u jej stóp przecinał wyplukany przez wodę kanał. To wtedy węże dostawały się do środka. Próbowałem ocenić, czy uda mi się poruszyć wilgotną ziemię, żeby usypać kopczyk, z którego mógłbym sięgnąć do otworu w sklepieniu. Ale jak przedostanę się przez żywą zaporę z węży? Przy wtórze narastającego**

grzechotania wetknąłem latarkę pod prawą pachę i sięgnąłem do plecaka po broń. Nagle uświadomiłem sobie błąd w moim planie. Nawet wystrzeliwując piętnaście naboji z magazynka i jeden z komory, a potem kolejnych piętnaście z zapasowego magazynka, nie mogłem liczyć, że wytlukę wszystkie węże. Może nawet trafiłbym większość. Trudno byłoby chybić, celując w kłębowisko ciał. Ale zabić wszystkie? Zabić, nie tylko zranić? nie ma mowy. Poza tym, musiałem brać pod uwagę reakcję tych bydlaków na huk. Pozostałe przy życiu zaczęłyby się pewnie miotać jak szalone, atakując wszystko, co się rusza, nawet jeśli musiałyby przedostać się przez wodę. A gdyby jakiś pocisk trafił mnie rykoszetem? Jeszcze mocniej przygnałem plecami do ściany. Tylko spokojnie, mówiłem sobie w myślach, starając się kontrolować oddech. Kiedy węże zauważą, że nie stanowisz dla nich zagrożenia, przestaną się tobą interesować. Taką żywiłem nadzieję. Nie zabrałem jednak ze sobą zapasowych baterii do latarki. Te, które miałem, za parę godzin się wyczerpią. A potem zajdzie słońce. Uwięziony w ciemności, nie będę wiedział, czy węże nie ignorują wody - która może wcale nie jest dla nich trująca - i nie zbliżają się do mnie, zwabione ciepłem ciała. Trzeba się więc zadowolić bladym światłem, sączącym się przez dziurę w sklepieniu. Z nadzieją, że oczy przywykną mi szybko do półmroku, zgasłem latarkę, żeby oszczędzać baterie. Mimo panującego w piwnicy chłodu, po twarzy płynęły mi strużki potu. Drżałem

ze strachu. Nie ruszaj się, powtarzałem. Nie zwracaj na siebie uwagi! Naprężyłem mięśnie, starając się opanować ich drżenie. W pierwszej chwili nie byłem pewien, czy nie mam mnie wyobraźnia. Dosłownie kilka sekund po tym, jak zgasilem latarkę i zamarłem w bezruchu, węże wyraźnie się uspokoiły. Ich ciała się rozprostowały, oczy nie były już skierowane na mnie, a ruchy spowolniały. Kilka osobników wypełzło na powierzchnię. Przecież węże lubią ciepło. Dlaczego zebrały się w tej chłodnej, wilgotnej piwnicy, zamiast wygrzewać się w słońcu? Co je tu zwabiło? Zadając sobie to pytanie czułem, że moje ciało pokrywa się gęszą skórą, zwłaszcza gdy zobaczyłem, że grzechotniki zawracają. Boże drogi, dlaczego nie chciały tam zostać? Grzechotanie ustało niemal całkowicie; już tylko nieliczne węże trwały w obronnej pozycji. Nagle zapanowała cisza, którą zakłócał jedynie łomot mojego serca. Przez dziurę, którą wpadłem do piwnicy, dochodziły dźwięki z zewnątrz. Wiatr przybrał na sile i świstał w gałęziach krzewów. Nagle usłyszałem odległy łoskot. Zaświtała mi nadzieja, że to odgłos silnika nadjeżdżającego samochodu. Po chwili zrozumiałem jednak, że po prostu zaczęło grzmieć. Otwór w stropie pociemniał. Trzasnął piorun, wiatr zawył głośniejsze. Ale nie to sprawiło, że strach ścisnął mi gardło. O podłogę zabębniły miarowo krople deszczu, który przez otwór w stropie zaczynał zalewać piwnicę. Kap, kap, kap.

**Krople uderzały coraz szybciej. Grzechotniki poruszyły się zaniepokojone. Niektóre przesunęły się ku przeciwległej ścianie i usadowiły na podłużnym, płaskim podwyższeniu. Jego kształtu nie mogłem rozpoznać, bo kontury rozmyła zalewająca piwnicę od wielu lat woda. Tymczasem pozostałe węże zaczęły pełznąć w moim kierunku. Kilka z nich zanurzyło się w kałuży. Cuchnące opary uderzyły mi w nozdrza. Podniosłem broń i wymierzyłem, lecz w tej samej chwili węże cofnęły się na suchą część podłogi. Miałem rację. W wodzie było coś, co je odpychało. Deszcz lał się przez dziurę w stropie. Małe strumyczki zaczęły spływać w stronę kąta, gdzie stałem. Wiedziałem, że niebawem cała powierzchnia znajdzie się pod wodą, a skoro znikną suche miejsca, węże nie będą miały powodu unikać mojej części podłogi. Zapaliłem latarkę i rozejrzałem się za czymś, czym mógłbym się od nich opędzać. Kawalki drewna i odłamki betonu z zawalonej ściany leżały zbyt daleko. Żeby się do nich dostać, musiałbym zbliżyć się do grzechotników na odległość, z której mogłyby zaatakować. W ucieczce przed powiększającą się kałużą gady stłoczyły się na wąskim skrawku podłogi naprzeciwko mnie. Niebawem rozpełzną się na wszystkie strony, szukając suchego miejsca. Przyszło mi do głowy, że mógłbym oderwać ze ściany kawał deski i użyć go jak maczugi. Musiałem spróbować. Widoczny przez dziurę skrawek nieba przecięła błyskawica. Grzechotniki kłębiły się i wspinały jeden na**

drugiego. Część już się rozproszyła. Wkrótce będą wszędzie. Wsunąłem pistolet za pasek i skierowałem światło latarki na ścianę. Zauważyłem, że niektóre belki podtrzymujące strop odpadły i sterczały oparte o mur. A gdyby tak udało się zbudować z nich coś w rodzaju rampy. Mógłbym wspiąć się na nią, zerwać resztę sufitu i gołymi rękami przebić się przez warstwę ziemi na powierzchnię. Staralem się nie myśleć o tym, że strop może się zawalić i mnie przygnieść. Za wszelką cenę musiałem uciec od węży. Przez dziurę napadało już tyle deszczu, że cała podłoga była mokra. Grzechotniki rozpełzały się po wodzie. Przesunąłem się w prawą stronę i napałem stopą na obluzowaną belkę. Zmurszałe drewno nie wytrzymało mojego ciężaru. Straciłem równowagę. Nie chcąc zważyć się do wody, całym ciałem rzuciłem się do przodu i siłą bezwładu wpadłem na ścianę za belkami. Poczułem przenikliwy ból w ramieniu. O mało nie wypuściłem latarki. Co gorsza, hałas zaniepokoił węże, które zatrzęśły wściekle grzechotkami-

Z najwyższym trudem odzyskałem panowanie nad sobą. Jeśli zacznę strzelać, zginę. Byłem tak przerażony, że dopiero po chwili zauważyłem, że ściana przy uderzeniu wydała głuchy dźwięk, jakby za nią znajdowała się pusta przestrzeń. Coraz więcej węży zapuszczało się w wodę i zmierzało w moją stronę. Gorączkowo odsunąłem następną belkę i ujrzałem drzwi. Kiedy chwyciłem za zardzewiałą klamkę, najbliższy grzechotnik zbliżył się już na

odległość jednego metra. Szarpnąłem. Bez rezultatu. Nacisnąłem mocniej, poczułem, jak zamek ustępuje, więc napałem całym ciężarem ciała. Drewno zatrzeszczało. Popchnąłem rozpaczliwie jeszcze raz. Nagle drzwi otworzyły się na oścież i runąłem do sąsiedniego pomieszczenia. Rozciągnąłem się jak długi na mokrej posadzce, uderzając podbródkiem o beton. Nie zwracałem uwagi na ból. Wiedziałem, że nie wolno mi wypuścić z dłoni latarki. Półprzytomny, dźwignąłem się na nogi. Wąż zastygł, gotów do ataku. Kopnąłem w drzwi, ale stare zawiasy stawiały opór. Grzechotnik wystrzelił w moją stronę. W tym samym momencie powtórzyłem cios. W świetle latarki widziałem, jak uwięzione tuż pod klamką, wstrząsane drgawkami ciało pęka na dwie części. Trysnęła krew, górna połowa węża wpadła do wody, prosto pod moje nogi. Odskokczyłem, uderzając w coś głową. Z całej siły przydepnąłem łeb gada. Usłyszałem trzask pękających kości. Rozpołowionym ciałem wstrząsały coraz słabsze drgawki. Kiedy znieruchomiało, odsunąłem stopę i skierowałem snop światła na zmiążdżoną, zakrwawioną czaszkę. Pamiętając, że ukłucie zębów jadowych może być śmiertelne, nawet kiedy wąż nie żyje, ostrożnie kopnąłem ścierwo w stronę drzwi. Z ulgą stwierdziłem, że są szczelnie zamknięte. Grzechotniki nie miały szansy przedostać się na tę stronę. Rozejrzałem się uważnie, by sprawdzić, czy przypadkiem i tu nie ma węży. Nie zauważyłem jednak wijących się kształtów. Dzięki Bogu, nie było

też słychać grzechotania. Ale nadal tkwiłem w pułapce. Znajdowałem się teraz w tunelu szerokości mniej więcej półtora metra; sufit był tak niski, że bez trudu mogłem go dotknąć ręką. Naprzeciwko drzwi piętrzyła się sterta poczerniałych desek. To właśnie o nie uderzyłem głową. Tym razem betonowych ścian i posadzki nie pokrywało drewno. Sufit natomiast zbudowany został równie niedbale, jak w piwnicy: z drewna, płyt sklejk i płachty gumy przykrytej ziemią. Konstrukcja jeszcze się trzymała, lecz gołym okiem widać było, że musi się niebawem zawalić. Spomiędzy desek sączyła się woda. Lała się przez strop coraz obficie. Właśnie wtedy spostrzegłem dwie zardzewiałe metalowe rynny, biegnące wzdłuż sufitu od strony piwnicznej komory, z której się właśnie cudem wydostałem. Na końcu korytarza tryskały z nich strumienie wody. Sięgała mi już do kostek. Szczelina pod drzwiami była za wąska, aby tworzące się tu jeziorko mogło szybko spłynąć do piwnicy. Ile deszczu może napadać w czasie silnej czerwcowej burzy? Trzy centymetry? Pięć? Taka ilość nie stanowiłaby zagrożenia, gdyby nie to, że do mojego więzienia szerokości półtora metra, wysokości dwóch metrów i długości sześciu ściekała też woda, gromadząca się w ruinach domu. Nie zalałaby pewnie korytarza aż do sufitu, ale mogłaby osiągnąć wysokość, przy której musiałbym pływać, aby utrzymać głowę nad powierzchnią. Jak długo wytrzymałbym w chłodnej wodzie? Groziła mi hipotermia. A po mniej więcej trzech godzinach

śmierć. Już trząsałem się z zimna. Brnąc w stronę rumowiska, widziałem parę buchającą mi z ust. Wcisnąłem latarkę między nadwęglone deski i chwyciłem za krawędź poczerniałej belki, starając się ją podważyć. Światło padało pod ostrym kątem, więc widoczność była słaba. Wysilek przyspieszył mi oddech. Zakrztusiłem się od swądu spalenizny. Pociągnąłem mocniej i wyrwałem kawał drewna. Dumny z pierwszego sukcesu, już miałem rzucić deskę za siebie, gdy zwalisko gruzu poruszyło się i latarka wypadła ze szczeliny. Wyciągnąłem rękę, lecz zdołałem tylko musnąć trzonek palcami. Skoczyłem i udało mi się chwycić ją, zanim wpadła do wody. Oddychając z ulgą, przycisnąłem mój skarb do piersi. Gdyby się zamoczyła, prawie na pewno musiałbym się pożegnać ze światłem. Przerażony taką perspektywą, zacząłem się trząść jeszcze bardziej. Chłodna woda sięgała mi już do kostek. Próbowałem trzymać latarkę w jednej ręce, a drugą wyciągać deski blokujące przejście, ale trudno mi było dobrze uchwycić. Ostrożnie umieściłem latarkę wśród kawałków gruzu, lecz zaczęła się obsuwać, gdy tylko wyrwałem pierwszą deskę. Broń wpijała mi się w skórę pod paskiem. Niczego więcej nie dałoby się już za niego zatknąć. Myśl, dopingowałem samego siebie. Musi być jakiś sposób! Zdjąłem plecak, otworzyłem boczną kieszeń i wsadziłem latarkę do środka. Kiedy założyłem plecak z powrotem, okazało się, że snop światła pada na strop, lecz gdy się pochylałem, aby uchwycić

**następny kawał gruzu, latarka oświetliła dokładnie to, co chciałem. Hałas, który robiłem, boleśnie dźwięczał mi w uszach. Dysząc ciężko, wyciągałem kolejne deski i rzucałem za siebie. Woda przeciekająca przez rumowisko sięgała mi już do kolan, toteż mimo intensywnego wysiłku nie przestawałem dygotać z zimna. Uwolniłem następny kawał drewna i spojrzałem na czarny od sadzy stopień prowadzący w górę. Ze zdwojoną determinacją wyszarpnąłem kolejne deski, odsłoniłem jeszcze jeden stopień i poczułem jak wzbiera we mnie nadzieja. Gdyby udało mi się odgruzować resztę schodów, abym mógł na nich stanąć, miałbym szansę przetrwania. W plecaku dźwigałem zapas żywności. Na górze najem się i odpocznę, oszczędzając baterie latarki. Złapałem następną deskę i pociągnąłem. Już miałem rzucić ją za siebie, gdy nagle usłyszałem trzask. Wielka bryła gruzu oderwała się od rumowiska. Chciałem uskoczyć, lecz nie zdążyłem. Lawina zwęglonych desek i belek runęła mi na głowę. Siła uderzenia zwała mnie z nóg i rzuciła w wodę, pozbawiając tchu. Myślałem tylko o tym, żeby nie zamoczyć latarki! Ogłuszony, próbowałem się podnieść jak najszybciej, aby uchronić plecak przed nasiąknięciem wodą. Na oślepe rozgarniałem połamane deski. Nagle poczułem, że ściskam w dłoni coś, co nie jest drewnem. Było obłe i wilgotne. Wrzasnąłem, uświadomiwszy sobie, że trzymam ociekające krwią ciało węża. Zęby jadowe**

w zgniecionym łbie sterczały tuż koło mojego ramienia. Odrzucając ścierwo na bok, poczułem uderzenie w głowę. Upadłem w cuchnącą wodę, która zaląła mi uszy, nozdrza i usta. Zerwałem się, kaszłąc, krztusząc się i wypluwając breję o smaku sadzy. Z trudem łapałem oddech. Otarłem dłonią oczy i wówczas z przerażeniem uświadomiłem sobie otaczającą ciemność. Latarka zgasła.

W absolutnej ciemności moje zmysły się wyostrzyły. Wyraźnie dobiegał mnie plusk wody i odgłos stukającego o ściany drewna, czułem mokre ubranie przyklejone do skóry, smak sadzy i brudu w ustach, smród spalenizny, od którego się krztusiłem. Ale najsilniejszym ze wszystkich doznań był strach. Znieruchomiałem, aby przypadkowo nie otrzeć się o zęby martwego węża, dryfującego gdzieś w pobliżu. Stałem sztywno, sparaliżowany lękiem, że stracę równowagę. Po chwili słyszałem już tylko wodę, która sączyła się do tunelu przez strop i zwały gruzu na schodach. Mokry plecak zaczynał mi ciążyć. Zdjąłem go, przewiesiłem przez rękę i ostrożnie wyjąłem latarkę. Potrząsałem nią i nacisnąłem włącznik. Na próżno. Odkręciłem wieczko, wyciągnąłem baterie i wylałem wodę z cylindra. Próbowałem osuszyć baterie, dmuchając na nie, ale kiedy umieściłem je na miejscu i ponownie nacisnąłem włącznik, nic nie rozświetliło mroku. Chociaż... oczy, powoli przyzwyczajające się do ciemności, wychwyciły minimalny blask na lewym nadgarstku. Była to fosforyzująca tarcza zegarka.

**Krąg świecących punkcików pływał w powietrzu jakby pozbawiony materialnego tła. Wylałem wodę z plecaka, po czym spakowałem do niego latarkę i pistolet, który coraz mocniej wpijał mi się w skórę pod paskiem. Sprawdziłem, czy zamki błyskawiczne są dokładnie zasunięte i założyłem plecak. Woda sięgała mi już za kolana. Ruszaj się! Brodząc, zacząłem się posuwać w mrok. Wzdrygnąłem się, wyczuwając pod dłonią wilgotną powierzchnię. To tylko betonowa ściana. Podczas upadku prawdopodobnie się odwróciłem. Teraz musiałem wybierać: w prawo czy w lewo. Z jednej strony znajdowały się drzwi, a z drugiej zatarasowane ułomkami desek schody. Wyciągając przed siebie ręce, skierowałem się w lewo. Coś ukuło mnie w palec. O Boże, dotknąłem zębów węża! Cofnąłem gwałtownie dłoń i obmacałem bolące miejsce. Wyczułem drzazgę. Uff. pozbyłem się jej, ostrożnie ocierając rękę o deskę. Po chwili znalazłem schody. Chwyciłem pierwszą belkę i pociągnąłem. Światelka na tarczy mego zegarka skakały zygzakiem w mroku niczym duchy. Szarpnąłem raz i drugi, przerzucając wyrwane kawały drewna za siebie. Ręce piekły z bólu, poranione i pocięte, lecz nie zwracałem na to uwagi. Musiałem przebić się wyżej, zanim woda osiągnie niebezpieczny poziom. Bolały mnie ramiona i plecy, zaschło mi w ustach. Z trudem wciągałem powietrze i w końcu musiałem przerwać pracę, żeby wyjąć z plecaka manierkę i się napić. Poczulem ulgę. Mogłem wreszcie odetchnąć swobodniej. Jednak**

krótki odpoczynek nie nappełnił mnie energią. Bardzo kręciło mi się w głowie. To przez dwutlenek węgla, którego stężenie w tunelu rosło w miarę jak podnosił się poziom wody. Co za sens obawiać się hipotermii, skoro czekała mnie śmierć przez uduszenie? Z zaciekłością wywlekałem kolejne deski i ciskałem za siebie. Odslaniałem jeden stopień po drugim, ale woda postępowała za mną. Sięgała mi już do pasa. Ciemność wirowała mi przed oczami. Powietrze gęstniało. Poruszałem się coraz wolniej. Pływające wokół kawałki drewna obijały się o moje biodra. Omal nie poleciałem na plecy, gdy nadpalona deska pękła mi w dłoni. Wyciągając następny odłamek, uwolniłem zebraną wśród gruzu wodę. Runęła jak z pękniętej tamy, przewracając mnie i popychając na dryfujące resztki belek. Słaby i otepiały, ledwie byłem w stanie utrzymać głowę nad powierzchnią. Poruszałem to jedną, to drugą ręką, starając się nie utonąć. Byłem tak osłabiony, że nie od razu wyczułem leciutki, słodki aromat w powietrzu. Podniosłem głowę i pomyślałem, że wyobraźnia płata mi figle: zdawało mi się, że ciemność nie jest już tak jednolita. Rozróżniałem niewyraźne kontury rumowiska. Z góry sączyło się blade światło. Ożywiony podmuchem świeżego powietrza, odnalazłem w sobie siłę, żeby dopłynąć do schodów. Perspektywa wydostania się z pułapki dodawała mi skrzydeł.

Kiedy wreszcie przebiłem się przez zwały sadzy, osiadłe na szkielecie zawalonego domu, niebo

zasnuwały ciemne chmury. Zdawało mi się, że ukryte za nimi słońce zaczęło już zachodzić i że wygrzebywanie się z korytarza zajęło mi cały dzień. Chłodny deszcz nie przestawał padać. Grube krople nie zmywały jednak pokrywającego mnie tłustego brudu. Przedzierałem się przez ostatnią warstwę gruzu. Wyteżyłem wszystkie siły. Kilkakrotnie deski pękały mi w dłoniach. Bałem się, że runę z powrotem do tunelu. Wreszcie zakrwawionymi palcami uchwyciłem krawędź fundamentu, podciągnąłem się i wypelzłem na grząski grunt. Dopiero po kilku minutach udało mi się stanąć na nogi. Brnąć w błocie, zastanawiałem się, czy zdołam dotrzeć do samochodu.

Otaczały mnie kłęby pary, lecz byłem tak wyziębiony, że woda w wannie wydawała mi ciągle za chłodna. Przemarzałem aż do szpiku kości, aż do dna duszy. Jakiemu celowi służyła piwnica? To pytanie nie dawało mi spokoju. Dlaczego Owal, zręczny budowniczy, nie zrobił sklepienia z betonu? Jakie było przeznaczenie dwóch rynien biegnących wzdłuż stropu tunelu? Jeśli piwnica służyła jako spiżarnia, dlaczego wyłożono ściany i posadzkę deskami? Po co ją ocieplono? Nie mogłem tego pojąć. Chyba że... Trzymali mnie pod ziemią, powiedział mężczyzna, który podawał się za mojego brata. Nie Petey, lecz Lester Dant. Dlaczego Oryal i Eunice miałoby więzić swoje jedyne dziecko w piwnicy? Od tej strasznej myśli zakręciło mi się w

**głowie. Słaba konstrukcja stropu przestała być zagadką. Orval mógł wykopać korytarz i izbę nie zauważony przez nikogo, kto przejeżdżał pobliską drogą, tylko pod warunkiem, że pracował w nocy, przy świetle dochodzącym z domu. Pewnie cement na posadzkę i ściany mieszał w małych ilościach i przewoził taczkami na miejsce. Ale ze stropem sprawa była trudniejsza. Do jego wykonania potrzebowaliby betonowych płyt, które później należało ułożyć za pomocą dźwigu. Była to precyzyjna robota, wymagająca lepszego oświetlenia i sprzętu niż ten, jakim dysponował. A przy tym ktoś niepożądany mógłby zauważyć, że coś dzieje się po nocach na tyłach domu Dantów, i nabrać podejrzeń. Orval wolał się na to nie narażać, więc wykorzystał do budowy sklepienia drewniane belki, które łatwo i szybko dawały się zamontować. A może chodziło o termin? Może po prostu musiał się spieszyć? Oszołomiony tą myślą, dolałem gorącej wody do wanny, ale i to nie pomogło mi się pozbyć uczucia przenikliwego chłodu. Nieprzyjemne przekonanie, że nie dowiedziałem się na miejscu wszystkiego, czego mogłem się dowiedzieć, sprawiało, że nie potrafiłem się odprężyć. Wiedziałem, że farma Dantów kryje jakąś tajemnicę. Nie chciałem tam wracać, ale czułem, że muszę. Niech Bóg ma mnie w swojej opiece.**

**Zbliżałem się do ruin. Było parę minut po dziesiątej następnego ranka. W nocy przewracałem się**

niespokojnie z boku na bok; sen przyszedł dopiero przed świtem. Im byłem bliżej, tym bardziej rosło moje zdenerwowanie. Wyjąłem pistolet z kabury, którą kupiłem rano. Ściskając broń, mogłem łatwiej kontrolować drżenie dłoni. Na wspomnienie grzechotników mdłości podeszły mi do gardła. Stałem w tym samym miejscu, co wczoraj. Ze ścieżki nie było widać dziury, przez którą wpadłem do piwnicy. Jak gdyby ziemia sama się zasklepiła. Wiedziałem jednak mniej więcej, którądy biegnie tunel i gdzie znajduje się ukryta izba, dzięki czemu mogłem ominąć zdradliwy teren. Przyjrzałem się uważnie wysokiej trawie, wyczulony na najmniejszy ruch. Ująłem mocniej pistolet i zacząłem się posuwać ostrożnie, krok po kroku. Liście chwastów ocierały się o nogawki moich spodni, pnącza trującego bluszczu wydawały się jeszcze bujniejsze niż wczoraj. Szerokim łukiem okrążyłem narożnik domu i zbliżyłem się do niewielkiej kępy drzew. Poprzedniego wieczoru próbowałem sobie wyobrazić, jakie trudności podczas projektowania obszernej piwnicy napotkał Orval. Ocieplenie podziemnego więzienia, doprowadzenie ogrzewania. A wentylacja? Jeden kanał musiał doprowadzać ciepłe powietrze z domu, a drugi odprowadzać je z powrotem. System zamknięty. Wszystko byłoby proste, gdyby piwnica pełniła jedynie funkcję schowka. Ale jeśli moje przypuszczenia były słuszne, jeśli służyła jako cela, system należało odpowiednio zmodyfikować, aby dwutlenek węgla i inne szkodliwe

gazy nie gromadziły się w izbie, bo oznaczałoby to śmierć więźnia. Żeby zapobiec zatruciu, do piwnicy musiał prowadzić jeszcze jeden kanał, którym wiatrak napędzał świeże powietrze. Najbardziej logiczne byłoby umieszczenie takiego szybu pod samym stropem; strach przed węzami sprawił, że nie przyjrzałem się wnętrzu zbyt uważnie. Ujście kanału wentylacyjnego musiało wystawać nad powierzchnię gruntu, bo w przeciwnym razie zapchałoby się błotem i liśćmi. Jak Orval je zamaskował? Teren za tylną ścianą domu był płaski. Po pożarze mieszkańcy miasteczka kręcili się wszędzie w nadziei, że ktoś ocalał. Z pewnością nie natrafili przypadkowo na wylot takiego przewodu, bo zainteresowałiby się nim i odkryli podziemną izbę. Gdzie więc Orval ukrył otwór tak dobrze, że nikt go nie zauważył? Mógł wykorzystać przewrócone drzewa lub wystający z ziemi pień. Z pistoletem w dłoni brnąłem powoli przez chwasty i trawę. Słońce paliło mnie w głowę, lecz nie dlatego się pocilem. Ilekroć wiatr zaszeleścił liśćmi, mój palec przesunął się na spust pistoletu. Dotarłem do kępy drzew, gdzie trawa była na szczęście niższa. Szturchając nogą każdy pień po kolei, naprężyłem mięśnie, gotów odeprzeć atak węża. Podniosłem kij (sprawdziwszy uprzednio, czy wzrok mnie nie myli) i przetrząsałem zeschnięte liście, które osiadły w pustych pniach. Nie znalazłem niczego niezwykłego. A jednak ujście kanału wentylacyjnego musiało gdzieś tu być. Zataczając łagodny łuk, ruszyłem w drogę powrotną. Przez cały

czas badawczo lustrowałem pnie. Gdzie to jest, do cholery? Przewody wentylacyjne im są dłuższe, tym mniej efektywne. Otwór musi się znajdować gdzieś między nadpalonym szkieletem domu a kępą drzew. Wszędzie indziej teren jest całkowicie płaski. Przebiegł mnie dreszcz, gdy uświadomiłem sobie, że to nieprawda. Cmentarz. Rozciągał się z lewej strony, około piętnastu metrów od piwnicy. Wyglądał tak ponuro, że nie miałem ochoty się tam zapuszczać. Doskonale miejsce na... Wkraczając ponownie w wysoką trawę, usłyszałem grzechotanie. Cofnąłem się. Pod krzakiem dostrzegłem węża. Rozwalilem mu głowę w mgnieniu oka. Szybkość mojej reakcji i celność strzału samego mnie zaskoczyły. Długie godziny ćwiczeń zrobiły widać swoje. Nienawiść i gniew, wzbierające we mnie od ponad roku, doszły wreszcie do głosu. Zżerało mnie pragnienie mordy. Ledwie trafiłem pierwszego grzechotnika, pokazał się kolejny. Zginął tak jak jego poprzednik. Potem trzeci, czwarty i piąty. Zabijałem węże, wściekły, że próbują mnie zatrzymać. Huki wystrzałów szarpały mi bębenki w uszach, w powietrzu unosił się ostry zapach prochu. Nieubłagane brnąłem przed siebie. Szósty grzechotnik, siódmy, ósmy. Strzępy ich ciał fruwały na wszystkie strony, krew tryskała na trawę. Głowy węży wybuchały, gdy tylko spoczął na nich mój wzrok. Wydawało się, że to nie broń, lecz moje gniewne myśli niosą im śmierć. Na ziemię spadła ostatnia pusta łuska. Suwak pistoletu znieruchomiał.

**Tak jak setki razy podczas ćwiczeń, nacisnąłem guzik, zwalniający pusty magazynek. Wydobyłem nowy, wcisnąłem w kolbę, przydusiłem dźwignię, a następnie wymierzyłem to w jedną, to w drugą stronę w poszukiwaniu celu. Wszędzie panował spokój. Albo wypłoszyłem pozostałe grzechotniki, albo się gdzieś na mnie zaczęły. Niech tylko spróbują, pomyślałem z wściekłością, podnosząc opróżniony magazynek i ruszając w stronę cmentarza. Wspiąłem się na kamienny murek. Po drugiej stronie pieniały się osty i trujący bluszcz. Nawet węże wołały unikać tego miejsca. Moje nerwy napięły się jak postronki, kiedy przyglądałem się kopczykom kamieni przy każdym grobie. Nieco z boku zauważyłem nieznaczne, podłużne wybrzuszenie gruntu. Było tak niepozorne, że nie zwróciłbym na nie uwagi, gdybym właśnie czegoś takiego nie wypatrywał. Biegło od miejsca, w którym się zapadłem, pod murem aż do grobu, znajdującego się najbliżej piwnicy. Mała, dziecięca mogiłka. Przyklęknąłem gniewnie. Rozgarnąłem kopczyk kamieni i na chwilę znieruchomiałem. Nad ziemię wystawało ujście przewodu wentylacyjnego o przekroju dwudziestu centymetrów, z osłoną zabezpieczającą przed deszczem. Nie myliłem się: piwnica była więzieniem. Przypomniałem sobie podłużny, płaski przedmiot, na którym węże schroniły się przed wodą. Z biegiem lat zdeformował się tak bardzo, że w półmroku nie rozpoznałem jego kształtu. Teraz miałem pewność, że w piwnicy**

widziałem szczątki materaca. Nie było tam niczego innego, nawet ubikacji. Czy Lester musiał się załatwiać do nocnika i czekać w smrodzie, dopóki ci, którzy go więzili, nie wyrzucili odchodów? Tak Dantowie traktowali swojego syna? Moje przerażenie rosło, gdy patrzyłem na dziecięcy grób, który zbezczęścili, aby ukryć swój grzech.

Wielebnego Benedicta zastałem tam, gdzie poprzedniego dnia, pielęgnował róże w ogrodzie. Jego białe włosy jaśniały w blasku słońca. - Zranił się pan, panie Denning? - zapytał, wstając na mój widok i zmarszczywszy brwi podał mi rękę. - Potknąłem się i upadłem.

Pastor wskazał na mój podbródek, na którym spod zarostu prześwitywał siniak. - Chyba był to dość niebezpieczny upadek.

- Mogło się skończyć gorzej.

- Na farmie Dantów?

Skinąłem głową.

- Czy znalazł pan coś, co pomoże ustalić miejsce pobytu pańskiej rodziny?

- Nadal próbuję powiązać różne elementy w całość. - Opowiedziałem swoim odkryciu.

Zmarszczki na czole Benedicta pogłębiły się.

- Orval i Eunice trzymali swojego jedyne syna w zamknięciu? Dla czego?

- Może myśleli, że siedzi w nim diabeł. Czuję, że na farmie Dantów zdarzyło się wiele rzeczy, których nigdy nie uda się nam zrozumieć, wielebny ojciec. -

**Ból pulsował mi w skroniach. - W jaki sposób Lester uciekł z piwnicy? Czy kiedy wybuchł pożar, Orval i Eunice zaryzykowali życie i zeszli na dół, żeby go uwolnić? Czy sami wpadli w pułapkę? Czy Lester próbował ich ratować, jak twierdził, mimo że go więzili?**

**- To pasuje do tego, co wiemy.**

**- Ale nie wyjaśnia, dlaczego nie opowiedział nikomu o swoich przeżyciach. Czy kiedy przytrafia nam się coś okropnego, nie pragniemy zwierzyć się z tego? Czy nie potrzebujemy współczucia?**

**- Chyba że wspomnienie jest tak straszne, że nie możemy sobie z nim poradzić.**

**- A jeśli tam zdarzył się jeszcze większy koszmar?**

**- Co pan ma na myśli? - spytał cicho pastor.**

**- Załóżmy, że Lester sam zdołał wydostać się z piwnicy. Albo że rodzice wypuszczali go co jakiś czas w nagrodę za dobre sprawowanie. Może to on podpalił dom?**

**- Lester? Boże miłosierny.**

**- A może rodzice próbowali go uratować z pożaru, a on ich uwięził? Czy stał przed płonącym budynkiem i z rozkoszą wsłuchiwał się w ich rozpaczliwe krzyki? Takim wspomnieniem nie chciałby się zapewne podzielić. Ale to nie jedyna rzecz, która nie daje mi spokoju.**

**- Chyba nie chce pan powiedzieć, że tam stało się jeszcze coś gorszego. - Pochodzę z Kolorado.**

**Wielebny potrząsnął głową, nie przyjmując naglej zmiany tematu. - Od czasu do czasu słyszy się u nas o**

**kimś, kto poszedł w góry i na tknął się na grzechotnika. Niezbyt często. Może dlatego, że węże mają wśród skał dużo kryjówek i z natury nie są agresywne. Wolą trzymać się od ludzi z dala. Ale w Indianie to zupełnie inna sprawa. Gęste zaludnienie, coraz mniej ziemi uprawnej. Czy ojciec widział tu kiedyś grzechotnika? - Nie.**

**- A słyszał ojciec o kimś, kto natknął się na takiego węża? - Nie przypominam sobie. Może jakiś farmer. Ale to rzadkość. - Dlatego, że ludzi jest coraz więcej i węże nie znajdują tu spokojnych miejsc.**

**- Pewnie tak.**

**- Dlaczego więc na farmie Dantów żyją dziesiątki grzechotników? W południowych stanach, w Missisipi czy Luizjanie, taka liczba węży nie szokowała by. Co robią tutaj, na ziemi Orvala? Jak się tam znalazły? - Nie mam pojęcia.**

**- A ja się domyślam. Czy to możliwe, że Dantowie ich używali? Pastor pobladał.**

**- Do praktyk religijnych? Pozwalali im owijać się wokół rąk, żeby do wieść siły swojej wiary w Boga?**

**- Właśnie. Jeśli wąż nie ukąsił, oznaczało to boską opiekę. Oznaczało, że Bóg upodobał sobie Dantów ponad innych mieszkańców miasteczka. Dla ludzi o mentalności obrońców oblężonej twierdzy, rozpaczliwie szukających oparcia przeciwko całemu światu, niezaprzeczalny dowód, że mają rację, może być bardzo ważny.**

**Cóż za okropny stan ducha.**

**- Właśnie to ich zgubiło.**

**- Nie rozumiem.**

**- Powiedział ojciec, że kiedy Lester przyszedł na świat, na farmie mieszkały trzy rodziny Dantów. A gdy pożar trawił zabudowania, była tam już tylko jedna rodzina: Orval, Eunice i Lester. Zastanawiał się ojciec, co stało się z pozostałymi. Wyprowadzili się, czy padli ofiarą chorób? Podejrzewam, że grzechotniki dawały Dantom inne znaki, niż tego oczekiwali. - Chce pan powiedzieć, że to węże ich zabiły? - wyszeptał pastor. - Dantowie za nic w świecie nie zwróciliby się o pomoc do lekarza. - O mój Boże.**

**- Tylko w ten sposób można wytłumaczyć obecność tak wielu węży na farmie. To Dantowie je tam sprowadzili. Nie wyjaśnia to jednak, czemu po zostały. Dlaczego się nie rozprzestrzeniły po całej okolicy? - Może czuły, że to jest ich dom.**

**W pierwszej chwili nie zrozumiałem. Ale po chwili skinąłem głową. -Być może. To przekłete miejsce, wolebnny ojciec. Myślę, że ojciec ma rację. Na miejscu duchownego właśnie tak bym pomyślał: że zostały tam, gdzie ich dom.**

**Machnąłem ręką, żeby odpędzić brzęczące wokół twarzy pszczoły. - Jeszcze tylko jedno pytanie i dam ojcu spokój.**

**- Zrobię wszystko, żeby panu pomóc.**

**- Powiedział ojciec, że po swojej ucieczce Lester zjawiał się w jakimś miasteczku sto pięćdziesiąt kilometrów na wschód, tuż za granicą Ohio. - To prawda.**

**- Jak nazywało się to miasteczko?**

**\* \* \***

## Część piąta

Loganville przyjemnie mnie zaskoczyło. Okazało się miasteczkiem jak z pocztówki, z zamożnie wyglądającą główną ulicą i ładnym skwerem przed budynkiem sądu. Spytałem o drogę do kościoła unitariańskiego, z którego proboszczem umówiłem się wcześniej na spotkanie. Był znacznie młodszy od Benedicta, zaledwie nieco po pięćdziesiątce.

Zastąpiłem go przy rozkładaniu psalterzy na ławkach.

- Wielebny Hanley? - Przez telefon wyjaśniłem pastorowi, dlaczego chcę z nim mówić. Teraz pokazałem mu zdjęcie Lestera Danta i poprosiłem, żeby opowiedział mi, jak dziewiętnaście lat temu chłopak zjawił się w jego parafii. - Zdaję sobie sprawę, że to odległa przeszłość, ale wielebny Benedict uważa, że będzie ojciec pamiętał. - Ależ oczywiście. Trudno zapomnieć, co się stało tamtego lata. Chłopiec wiele znaczył dla Harolda i Gladys. Bardzo chcieli go adoptować. - Harolda?

- Tak ma na imię wielebny Benedict. Ich największym strapieniem było to, że nie mieli dzieci. Jak się miewa Harold? Nie widziałem go co najmniej od roku.

- Na tyle dobrze, aby móc uklęknąć i przycinać róże.

Hanley roześmiał się.

- I pewnie przy okazji trochę się pomodli. - Uważnie przyjrzał się fotografii. - Hmm... Trudno powiedzieć. Blizna na brodzie, upływ czasu... To

Noże być on. Ta sama intensywność spojrzenia. Mówił pan, że nasza rozmowa może pomóc w odnalezieniu pana żony i syna? -Ten człowiek ich porwał.

Pastor zaniemówił na chwilę.

- Zrobię co w mojej mocy, ale nie zdążyłem go zbyt dobrze poznać. Powinien pan porozmawiać z Agnes Garner. Z całej parafii właśnie ona poświęciła temu chłopcu najwięcej serca. I to ją najbardziej zawiódł. Na ganku domu pod podanym mi przez pastora adresem zastałem kobietę w wózku inwalidzkim. Po wyglądzie ściągniętej bólem twarzy oceniłbym, że dobiega siedemdziesiątki. Ale wielebny Hanley mówił, że miała trzydzieści osiem lat, kiedy Lester Dant pojawił się w jej życiu. - Panna Garner?

- Pani.

- Przepraszam. Pastor Hanley nie wspomniał, że jest pani mężatką. - Wdową.

- Tego też mi nie mówił. ,

- Nie miał powodu.

Poczułem się trochę niepewnie.

- Dziękuję, że zgodziła się pani ze mną porozmawiać.

Siwowłosa kobieta miała na sobie niebieską sukienkę w kwiaty. Na kolanach trzymała słuchawkę telefonu bezprzewodowego. - Chce pan pomówić o Lesterze Dancie?

- Będę wdzięczny za każdą informację, której zechce mi pani udzielić. - Wielebny Hanley opowiedział mi o porwaniu pańskiej żony i synka. Ma pan ich zdjęcie?

- Nigdy się z nim nie rozstaję. - Powoli wyjąłem fotografię z portfela. Pani Garner popatrzyła na zdjęcie zrobione przez ojca Kate podczas naszej wizyty w Durango. Niedaleko stamtąd do wspaniałych ruin Mesa Yerde. Fotografia przedstawiała Kate, Jasona i mnie na tle na wpół zawalonej ściany. Uśmiechamy się do obiektywu, ubrani w dżinsy i koszulki z krótkim rękawem. W tle, na kamiennym murze, ciemnieje przygarbiony cień. Nie wiadomo, skąd się wziął, bo nikogo z nami wtedy nie było. Jason twierdził, że to cień Indianina, który mieszkał tam sto lat temu. Wolałem nie myśleć, że patrzę na duchy.

- Wspaniała rodzina.

- Dziękuję odparłem przez ściśnięte gardło.

- Tyle jest smutku na tym świecie. -, >

- Tak, to prawda. Czy rozpoznaje pani tego mężczyznę? - spytałem. podsuwając jej drugie zdjęcie.

Z boleśnie ściągniętą twarzą skinęła głową i odwróciła wzrok.

- To Lester. Nie myślałam o nim od lat. Bardzo starałam się zapomnieć. Pomyślałem, że zaraz mnie odprawi.

- Czy naprawdę pan sądzi, że to co powiem, może panu pomóc? - To jedyna możliwość, jaka mi pozostała.

- Proszę zrobić mu coś złego.

- Słucham?

- Podobno trzeba przebaczać tym, którzy przeciwko nam zawinili, ale ja chcę, żeby zrobił mu pan coś złego.
- Zrobię, jeśli tylko będę miał możliwość, niech mi pani wierzy. Chora zacisnęła dłonie na poręczach fotela.
- Kiedyś mogłam chodzić. Zwykle pierwsza zjawiałam się w niedzielę w kościele. Zaskoczył mnie ten nagły zwrot rozmowy.
- Postawiłam sobie za punkt honoru, aby być tam zawsze przed innymi. Teraz myślę, że byłam zbyt dumna i właśnie za to pan Bóg mnie ukarał. - Cokolwiek się stało, pani Garner, winien jest nie Bóg, tylko Lester Dant. Siedział na schodach kościoła oparty plecami o ścianę.
- Nastolatek - opowiadała pani Garner. - Spuścił głowę, ale nawet nie widząc jego twarzy, byłam pewna, że go nie znam. Miał na sobie poszarpane ubranie, więc w pierwszej chwili pomyślałam, że padł ofiarą jakiegoś wypadku. Następnie przyszło mi do głowy, że może być pod wpływem narkotyków. Ale zanim zdążyłam podjąć decyzję, czy spróbować mu pomóc, czy uciekać, chłopak podniósł na mnie wzrok. Od razu wiedziałam, że moje podejrzenia są niesłuszne. Narkoman nie mógłby patrzeć w taki sposób. Z jego oczu wyzierał ból. Spytałam, czy jest ranny. "Nie, proszę pani - odparł. - Ale jestem strasznie zmęczony i głodny".

**- Do tego czasu nadeszli pozostali parafianie i proboszcz. Lecz ani wielebny Hanley, ani nikt inny nie rozpoznał chłopca. Pytaliśmy go o imię. Powiedział, że nie pamięta. Pytaliśmy, skąd przyszedł. Tego też nie wiedział. Poszarpana odzież i świeżo zagojone rany po oparzeniach świadczyły, że przytrafiło mu się coś strasznego i że jest w szoku.**

**- Proboszcz zaproponował, że zabierze go na plebanię i nakarmi, ale chłopiec się sprzeciwił. "Nie - powiedział. - Przecież ci ludzie czekają na nabożeństwo". Wiem, że to zabrzmiało zbyt pięknie. Ale pana tam wtedy nie było. Wszyscy obecni tego ranka tak się przejęli nieznajomym, tak ujął nas całkowitym brakiem egoizmu, że poczuliśmy w jego przybyciu do naszego miasteczka rękę Boga. Zabraliśmy nieszczęśnika do kościoła. Usiadłam koło niego i podałam mu Biblię, ale jej nie otworzył. Pomyślałam, że pewnie jest zbyt oszołomiony, aby móc czytać. Proszę sobie wyobrazić moje zdumienie, kiedy usłyszałam, jak chłopiec powtarza z pamięci każdy fragment, który czytaliśmy. Pastor napomknął w kazaniu o współczuciu i obowiązku pomocy skrzywdzonym. Przerwał wówczas i popatrzył na młodego przybysza. Potem wszyscy mówili, że dawno nie słyszeli tak wzruszających słów. Po nabożeństwie zabrał chłopca do domu i poprosił mnie i kilka innych osób o pomoc. Naprawdę się przejęliśmy. Przynieśliśmy nieznajomemu nowe ubranie. A on robił wszystko bardzo powoli, jakby był w szoku. Kto to może być,**

**zastanawiało się całe miasteczko. Co mu się stało? Skąd przybył? Lekarz go zbadał, ale niczego się nie dowiedział. Komendantowi miejscowego posterunku poszło nie lepiej, więc zwrócił się do policji stanowej z pytaniem, czy ktoś nie zgłaszał zaginięcia nastolatka o takim rysopisie. Ale oni też nie byli o wiele mądrzejsi. Nic dziwnego, pomyślałem. Loganville leży w Ohio, a pożar miał miejsce w Indianie. Policja w Ohio uznała pewnie, że pojawienie się chłopca nie jest aż tak ważnym wydarzeniem, żeby podejmować poszukiwania poza granicami stanu. A nawet gdyby je rozpoczęli, władze Indiany mogły nic nie wiedzieć o pożarze w Brockton, ponieważ była to sprawa lokalna. -Wielu parafian proponowało, że weźmie chłopca do siebie - ciągnęła pani Garner. - Ale proboszcz zdecydował, że skoro ja go znalazłam, mam prawo się nim zaopiekować, jeśli chcę. Mój mąż był najbardziej wielkodusznym z ludzi. Pięć lat wcześniej nasz syn zmarł na raka. - Zadrżał jej głos. -Nasze jedyne dziecko. Gdyby Joshua żył, byłby mniej więcej w wieku nieznanego, którego znalazłam na schodach kościoła. Wydawało mi się, że Bóg go nam zesłał... Pani Garner zająknęła się.**

**- W zamian? - podpowiedziałem.**

**Skinęła głową. Zmarszczki na jej twarzy stały się jeszcze wyraźniejsze. -Myślę, że to następny grzech, za który zostałam pokarana. Za moją pychę. Za przekonanie, że Bóg mnie wybrał i traktuje w szczególny sposób. Ale wtedy nie mogłam się oprzeć**

wrażeniu, że dzieje się coś cudownego, że otrzymałam drugiego syna. Podzieliłam się z mężem swoją nadzieją, a on nie wahał się ani chwili. Jeśli chcesz, żeby chłopiec mieszkał z nami, póki jego sprawy się nie wyjaśnią, dobrze, powiedział. On tak bardzo mnie kochał... Pani Garner obróciła lekko fotel. Patrzyła mi teraz prosto w oczy. -Chłopiec zamieszkał więc w naszym domu, a władze zajęły się ustalaniem jego tożsamości. Był chudy jak szczapa. Karmiłam go dobrze, piekłam kurczaki i szarlotki, lecz dopiero po paru dniach nabrał trochę apetytu. Oparzenia się zagoiły, ale w zadrapania na rękach i nogach wdało się zakażenie. Trzeba było ciągle zmieniać opatrunki. Nie miałam nic przeciwko temu, bo przypominało mi to opiekę nad synem, którego straciliśmy. Robiłam wszystko z przyjemnością. Ale dręczyło mnie pytanie, co mu się przydarzyło. Zostawiałam mu koło łóżka książki i czasopisma, żeby miał trochę rozrywki. Po jakimś czasie zauważyłam, że niczego nawet nie otworzył. Spytałam, czy mu się nie podobają, czy woli jakąś inną lekturę, ale on unikał odpowiedzi. Nagle przyszło mi do głowy, że może nie umie czytać. Zmarszczyłem brwi.

- Przecież mówiła pani, że cytował z pamięci fragmenty Biblii. - Znał każdy ustęp, o który zapytałam.

- A więc nie rozumiem.

- Poprosiłam, żeby przeczytał informacje na pudełku płatków śniadaniowych, a potem tytuł w gazecie. Nie

**umiał. Położyłam przed nim papier i ołówek. Nie potrafił napisać najprostszyc słów. Był analfabeta. Co do znajomości Pisma Świętego, mogło być tylko jedno wytłumaczenie. Ktoś nauczył go Biblii na pamięć, czytając mu fragmenty i każąc powtarzać. Przeszły mnie ciarki, kiedy to sobie uświadomiłam. Co musiało przeżyć to dziecko?**

**- Na to pytanie mogę udzielić odpowiedzi.**

**- Pan wie? - spytała, wpatrując się we mnie intensywnie.**

**Zacząłem żałować, że przerwałem monolog.**

**- Jego rodzice więzili go w piwnicy.**

**- Co takiego?**

**- Z tego, czego udało mi się dowiedzieć, wynika, iż żywili przekonanie, że ich syn został opętany przez szatana i jedynym ratunkiem jest napełnienie głowy chłopca słowami Pisma Świętego.**

**Pani Garner patrzyła na mnie z przerażeniem.**

**- Ale dlaczego nie pozwolili mu nauczyć się czytać i pisać? - Ja dopiero próbuję poskładać tę historię w całość. Może myśleli, że takie umiejętności to narzędzie szatana. Uważali, że nieodpowiednie książki mogą zaszcześcić w jego głowie złe myśli i grzech jeszcze się umocni. Biblię uważali za jedyne bezpieczne źródło wiedzy, a najlepszą ochroną dla Lestera przed pokusami tego świata było według nich wpojenie mu świętego tekstu na pamięć.**

**Oczy pani Garner zamglily się, jakby kręciło jej się w głowie. Dotknęła palcami skroni. - Dobrze się pani czuje? - zapytałem.**

**- Jakie okropne rzeczy ludzie potrafią sobie czynić.**

**- Opowiedziałem pani, co Lester zrobił mojej rodzinie. A w jaki sposób skrzywdził panią?**

**Kobieta milczała przez dłuższą chwilę. Potem powoli uniosła głowę. Ból w jej oczach stał się jeszcze**

**wyraźniejszy. -Był najgrzeczniejszym chłopcem,**

**jakiego w życiu widziałam. Ciągłe pytał, czy może mi pomóc w domu. Ale wyraźnie coś się z nim działo.**

**Często całe popołudnie leżał w łóżku na wznak i patrzył w sufit, wspominając Bóg jeden wie co. Nie mógł usnąć, jeśli nie zapaliłam światła w garderobie.**

**Zrywał się-z krzykiem w środku nocy, budzony przez koszmary. Chyba miały coś wspólnego z pożarem, w czasie którego poparzył sobie rękę.**

**Próbowałam go wtedy uspokajać. Siadałam na łóżku, brałam go w ramiona i głaskałam po głowie.**

**Szeptalam, że jest bezpieczny, że nikt go tu nie skrzywdzi i że nie ma się czego obawiać.**

**Zamilkła, pocierając palcami skronie.**

**- Na pewno dobrze się pani czuje?**

**- Minęło tyle czasu. Dlaczego to wspomnienie ciągle boli? - Nie chciałbym pani niepokoić. Jeśli woli pani teraz odpocząć, mogę przyjść później...**

**- Nigdy z nikim o tym nie rozmawiałam. Nigdy.**

**Może powinnam była. . Może nie dręczyłoby mnie to tak, gdybym komuś powiedziała. - A chce pani mnie powiedzieć?**

**Przyglądała mi się udręczonymi oczami. Długo, uważnie.**

**- Nieznajomemu. Tak. Osobie, której nigdy więcej nie zobaczę i nie będę musiała cierpieć z powodu jej osądu.**

**- Pani Garner, ja nie osądzam. Chcę tylko odzyskać żonę i syna. Czy wie pani coś, co może mi w tym pomóc?**

**Zdawało się, że kobieta walczy z myślami.**

**- Pewnego wieczora pocałował mnie w policzek. Później w nocy, kiedy uspokajałam go po strasznym śnie, znowu to zrobił. Chociaż niezupełnie.**

**Wyglądało, jakby chciał pocałować w policzek, ale nie trafił i niechcący musnął moje usta. Poczulałam się niezręcznie. Wstałam szybko i wyszłam.**

**Powtarzałam sobie, że tylko mi się zdawało, że chłopiec nie miał na myśli nic złego. - Jeśli nie chce pani o tym mówić...**

**- Muszę. Muszę to z siebie wyrzucić. Tak bardzo mi zależało, żeby znowu mieć syna, że sama sobie zaprzeczałam. Każde zbliżenie wydawało się niewinne. Na przykład, kiedy próbowałam go nauczyć czytać i pisać. Byłam nauczycielką w liceum. To się stało pod koniec lata. Rok szkolny jeszcze się nie zaczął, więc mogłam poświęcić trochę czasu na jego edukację. Posłużyłam się Biblią, bo już ją znał. Siadywaliśmy przy stole w kuchni, tuż koło siebie. Nie było w tym nic zdrożnego. Ja byłam nauczycielką, a on uczniem; pracowaliśmy razem. Jednak teraz, z perspektywy czasu, wiem, że nie musiał siedzieć tak blisko. Kiedy pomagał mi w**

gotowaniu obiadu, nasze dłonie czasami stykały się przelotnie. Nic sobie z tego nie robiłam. Nie mówiłam nikomu między innymi dlatego, że ludzie mogliby pomyśleć, że sprawiało mi to jakąś... - Z trudem wykrztusiła to słowo - przyjemność... Nic bardziej błędnego. Panie Denning, wiem, że na tym świecie żyje mnóstwo wykolejeńców. Ale ja jestem wierzącą, uczciwą kobietą i zapewniam pana, że nie sprawiłoby mi przyjemności dotykanie nastolatka, którego traktowałam jak własnego syna. Na chwilę zapadła niezręczna cisza. Skinąłem głową, żeby zachęcić ją do mówienia dalej. - To wszystko zdarzyło się właśnie dlatego, że tak bardzo chciałam się nim zajmować. Pewnej nocy, kiedy trzymałam go w ramionach, uspokajając po kolejnym koszmarze, dotknął mojej... - Zawstydzona, spuściła wzrok. - Wyglądało to na przypadek, ale musiałam sama przed sobą przyznać, że tych przypadków było za dużo. Powiedziałam mu, że takie gesty są niestosowne. Wyjaśniłam, że chcę być z nim blisko, ale są różne rodzaje bliskości. Odrzekł, że nie wie, o czym mówię, ale jeśli chcę, żeby zachowywał dystans, to tak robi. - A potem... - Oczy zaszklily jej się łzami. - Czy mogę jeszcze raz zobaczyć zdjęcie pana żony i synka? Bardzo proszę.

Nieco zdziwiony, wyjąłem fotografię.

Pani Garner przyglądała się jej dłużej niż za pierwszym razem. - Taka cudowna rodzina. Jak się nazywają?

- Kate i Jason.

- Czy jest pan szczęśliwy w małżeństwie?
- Bardzo. - Tym razem mnie słowo ugrzęzło w gardle.
- Czy pański syn jest dobrym chłopcem?
- Najlepszym - odparłem chrapliwie.
- W jaki sposób to, co opowiadam, może pomóc panu ich odnaleźć? - spytała pani Garner ze łzami w oczach.

Jeśli jeszcze żyją, pomyślałem. To, czego dowiedziałem się od pastora Benedicta, pozbawiło mnie nadziei. - Zakładam, że ten człowiek ma pewne nawyki - wyjaśniłem, starając się ukryć brak przekonania. - Gdybym go zrozumiał, może udałoby mi się wpaść na jego trop.

- Na trop, który zaczął się dziewiętnaście lat temu?
- Nie znam innego miejsca, gdzie mógłbym zacząć szukać.
- On mnie zgwałcił.

Ciszę ganku mącił tylko szloch pani Garner. Po jej policzkach płynęły łzy. Siedziałem bez ruchu, sparaliżowany szokiem. - Przepraszam. Nie powinienem był zmuszać pani do mówienia o tym. - Więc lepiej, żebym panu nie powiedziała? - Łzy zostawiały białe ślady na pomarszczonej twarzy. - Mój Boże, dusiłam to w sobie tyle lat. Taka męczarnia. Mąż był dyrektorem szkoły, w której pracowałam. Wieczorem woźny zadzwonił, żeby zawiadomić, że pękła rynna. Mąż poszedł sprawdzić, jakie są szkody. Kładłam się spać, kiedy ten chłopiec... Ten podły lajdak... To był najgorszy

epitet, na jaki potrafiła się zdobyć pani Garner. Słuchałem oniemiały. -Wkradł się do sypialni. Właśnie się rozbierałam. Przewrócił mnie na podłogę i... Nie mogłam uwierzyć, że jest taki silny. Wyglądał na wątego, a obezwładnił mnie, jakby miał siłę diabła. Powtarzał bez przerwy "Eunice, Eunice", choć wiedział dobrze, że mam na imię Agnes. Broniałam się, drapałam, kopałam. Nagle uniósł pięść raz, drugi, trzeci. O mało nie udławiłam się krwią, a on wtedy...

Głos zadrżał. Pani Garner wyjęła chusteczkę i podniosła do twarzy. -Później... - Przerwała, żeby otrzeć łzy ciekące po brodzie. - Kiedy już wymiotowałam i zebrałam siły, żeby wstać, zobaczyłam otwarte szuflady. Ukradł wszystkie wartościowe rzeczy, które zmieściły mu się w kieszeniach. Ale tym przejęłam się najmniej. Dowlokłam się do telefonu, żeby zadzwonić po karetkę i policję, ale w tej samej chwili uświadomiłam sobie, że nie mogę tego zrobić. Oczyma wyobraźni zobaczyłam mieszkańców miasteczka. Spojrzenia tych wszystkich ludzi skierowane na mnie. Okazaliby mi współczucie, rzecz jasna. Ale nie powstrzymałoby ich to przed powtarzaniem wszystkim znajomym, co się przydarzyło Agnes Garner. Współczucie nie powstrzymałoby spojrzeń; uczniowie dowiedzieliby się o wszystkim, a ich wzrok byłby jeszcze dotkliwszy niż rodziców. Zgwałcona. Zgwałcona. Zatoczyłam się przy telefonie. Powtarzałam sobie, że muszę wezwać

**pomoc, bo jestem bliska omdlenia. Ale zamiast zadzwonić, dowlokłam się do łazienki. Jakoś weszłam do wanny i umyłam się tam, gdzie on... - Otarła łzy z twarzy. - Potem się ubrałam i dopiero wtedy zadzwoniłam po policję. Nie pozwoliłam lekarzowi zbadać niczego poza moimi spuchniętymi ustami i posiniaczonymi policzkami. Powiedziałam, że weszłam do sypialni i przyłapałam go na kradzieży pieniędzy i biżuterii. Nie było tego zbyt dużo, zwłaszcza biżuterii. Nie należę do kobiet, które przywiązują wagę do tych rzeczy. To, co zabrał, miało wartość około trzystu dolarów. Ale ukradł też skromny naszyjnik mojej babci, który był dla mnie cenną pamiątką. Mąż wrócił do domu tuż po przybyciu policji. Szukali zbiega, ale nigdzie go nie znaleziono. Może ukrył się w lesie. A może złapał okazję i wyniósł się w zupełnie inne strony. Następnego dnia przyjechał proboszcz z Brockton. Od niego się dowiedziałam, że chłopak nazywał się Lester Dant. Usłyszałam też o pożarze, w którym zginęła tamta rodzina. Jednak nie potrafiłam się zmusić, żeby wyznać pastorowi Benedictowi albo naszemu proboszczowi, co naprawdę stało się w sypialni. Albo mężowi. Nikomu nie powiedziałam. Kiedy ludzie się dowiedzieli o rabunku, zaczęli się na mnie gapić, lecz takie spojrzenia mogłam znieść. Przygarnęliśmy chłopca, a on odplacił nam niewdzięcznością. Z rolą ofiary napaści i kradzieży potrafiłam sobie jakoś poradzić. - Trudno mi wyrazić, jak bardzo mi przykro.**

**- Eunice - powiedziała pani Garner. - Dlaczego on nazywał mnie Eunice?**

**Nie odpowiedziałem.**

**- Pan zna jego przeszłość. Czy wie pan, dlaczego powtarzał imię. Eunice?**

**Ton jej głosu był tak błagalny, że nie mogłem zaprzeczyć. - Wiem.**

**- Proszę mi powiedzieć.**

**- Jest pani pewna, że chce usłyszeć odpowiedź?**

**- Pan chce usłyszeć odpowiedzi na swoje pytania i ja też. Zawahałem się.**

**- Jego matka miała na imię Eunice.**

**Pani Garner jęknęła.**

**- On chyba chciał ukarać...**

**- Swoją matkę. Tak. - Jej głos drżał z rozpaczy. -**

**Niech pan mu zrobi coś złego. Obiecał mi to pan.**

**Kiedy pan go znajdzie, proszę go skrzywdzić. - Ma pani moje słowo.**

**Podczas pożegnania z panią Garner starałem się maskować moje zniechęcenie. Kiedy pan go znajdzie, powiedziała. Ale ja nie wierzyłem już, że tego**

**dokonam. Nie dysponowałem żadnymi**

**informacjami, dokąd Lester Dant uciekł tamtej nocy.**

**Jakim cudem miałem złapać trop? Co gorsza, nie**

**widziałem sensu dalszych poszukiwań. Lester był**

**znacznie niebezpieczniejszy, niż wynikało to z**

**danych FBI. Trudno było przypuszczać, że nadal**

**trzyma Kate i Jasona przy życiu. Zniechęcony,**

**bezwładnie opadłem na siedzenie samochodu.**

**Wrzały we mnie rozpacz i gniew. Niech mu pan**

zrobi coś złego, prosiła pani Garner. A więc dobrze. Naciskając ze złością pedał gazu, przemknąłem obok nienagannie utrzymanych trawników i żywopłotów. Dojechałem do skrzyżowania i skręciłem w prawo. A potem w lewo. Bez powodu. Nie zmierzałem do żadnego konkretnego celu. Przez dłuższy czas jeździłem to tu, to tam ulicami schludnego, zamożnego miasteczka, aż zauważyłem, że mijam niektóre domy i sklepy piąty lub szósty raz. W końcu dopadło mnie zmęczenie, więc musiałem się zatrzymać w motelu na przedmieściu. Nazywał się Oaza Wędrowca. Dochodziła siedemnasta, ale ja czułem się, jakby była północ. Wnosiłem walizkę i plecak do pokoju z oknami wychodzącymi na parking. Zbyt wyczerpany, by przyjrzeć się dokładniej spartańskiemu wystrojowi wnętrza, wróciłem do wozu po drukarkę i notebook. Sam nie wiedziałem, po co właściwie zabrałem je z domu. Tylko zajmowały miejsce, a i tak z nich nie korzystałem. Może czas wracać, przemknęło mi przez myśl.

Od Denver dzieliły mnie zaledwie dwie godziny jazdy. Sięgnąłem po telefon. - Agencja detektywistyczna Payne'a - odezwał się znajomy głos. - Sam pan odbiera telefony?

Payne odpowiedział dopiero po chwili.

- Ann musiała pójść do lekarza. - Jego żona pełniła funkcję recepcjonistki. - Jak się pan miewa, Brad?

- Czy tak łatwo mnie rozpoznać? - spytałem, wyobrażając sobie zażywnego jegomościa karmiącego złote rybki.
- Myślałem o panu. Ostatnio odezwał się pan z Południowej Dakoty. Obiecał pan zadzwonić i nie zadzwonił. Martwiłem się. Co pan porabia w... - usłyszałem, jak stuka w klawiaturę - Oazie Wędrowca w Loganville w Ohio?
- Czyżby miał pan nowy program komputerowy?
- Pozwala mi się trochę rozerwać. A więc co pan tam robi? - Rezygnuję.
- Przykro mi to słyszeć. Zdawało mi się, że póki jest pan w drodze, nie strzeli panu do głowy nic głupiego. Rozumiem, że nie wyszperał pan żadnych ważnych informacji.
- Usiadłem z rezygnacją na łóżku.
- Wręcz przeciwnie, dowiedziałem się aż za dużo. Ale donikąd mnie to nie doprowadziło.
- Nie licząc Oazy Wędrowca w Loganville w Ohio. Payne próbował mnie rozweselić, ale nie na wiele się to zdało. - Miałem nadzieję, że odkryję schemat jego postępowania.
- Czasami schemat istnieje, tylko my nie umiemy go dostrzec. - W każdym razie mój schemat postępowania okazał się niewłaściwy. -Nagle przypomniałem sobie, co Payne powiedział wcześniej. I dziwny ton jego głosu. - Ann poszła do lekarza? Czy wszystko w porządku? -Zobaczymy.
- Ach tak.
- Zawahał się.

**- Guz na piersi, ale to może być zwykła cysta. Przeprowadzają biopsję. Westchnąłem ciężko.**

**- Będę się modlił.**

**- Dziękuję.**

**- Takie słowa nie przyszłyby mi do głowy, zanim to wszystko się zaczęło. - Że pomodli się pan za kogoś?**

**- W ciągu ostatnich kilku dni rozmawiałem z dwoma duchownymi i pewną wyjątkowo zacną, bardzo religijną panią. Chyba coś z tych spotkań we mnie zostało. Niestety, dowiedziałem się też o człowieku, z którego po bożni rodzice uczynili potwora. Nazywa się Lester Dant.**

**- Wierzy pan już w jego istnienie.**

**- O tak, wierzę. Boże zlituj się nade mną.**

**- To też brzmi jak modlitwa - zauważył Payne.**

**- Jutro ruszam w drogę powrotną do domu. Zadzwoń, jak wrócę. Może będzie pan już znał wynik biopsji.**

**- Może - odrzekł cicho detektyw. - Życzę panu bezpiecznej podróży. -Dziękuję - mruknąłem, odkładając słuchawkę.**

**Boże, daj zdrowie jego żonie, pomyślałem. Położyłem się na plecach i zamknąłem oczy. Zastłony oddzielały mnie od gasnącego światła późnego letniego popołudnia. Chciałem usnąć i nigdy się nie obudzić. Panie, mam nadzieję, że nie pozwoliłeś Kate i Jasonowi cierpieć. Nie mogłem się uwolnić od myśli, jak wiele dobrego, a zarazem jak wiele złego może wyniknąć z wiary. Prześladował mnie obraz Lestera Danta, uciekającego z jednego kościoła po to, by**

zaraz pojawić się w następnym... Nagle usiadłem gwałtownie. Że też wcześniej o tym nie pomyślałem. Zerwałem się na równe nogi, przypominając sobie, co Lester Dant w roli mojego brata powiedział mi ponad rok temu. "Włóczęgą się od miasta do miasta, odkryłem, że dobrym sposobem na otrzymanie darmowego posiłku jest zjawić się na spotkaniu wiernych w kościele po niedzielnej sumie". Jezu Chryste, przecież nie porzuciłby pomysłu, który tak świetnie się sprawdzał. Wystarczyło wybrać sobie następny kościół w kolejnym małym miasteczku. Payne miał rację: w postępowaniu Lestera był schemat, tylko ja go nie dostrzegałem. W pośpiechu ustawiłem komputer i drukarkę na stoliku koło łóżka. Wyciągnąłem z gniazdka kabel telefoniczny i podłączyłem swój, od notebooka. Następnie wprowadziłem zmiany w programie dostępu do sieci, zastępując numer AOL z Denver wykorzystywanym w okolicach Loganville. Załogowałem się na geograficznej stronie internetowej i wydrukowałem mapę Ohio wraz z sąsiednimi stanami - Michigan, Indianą, Kentucky, Zachodnią Wirginią i Pensylwanią. Potrzebowałem listy mniejszych miejscowości. Dant unikał dużych skupisk ludzkich, tego byłem pewien. Spędziwszy tyle lat w ciasnej, podziemnej izbie, na pewno wzdragał się przed zatłoczonymi miastami. Na mapach znalazłem setki miasteczek. Za dużo, ale przynajmniej było od czego zacząć. Wyeliminowałem miejscowości leżące na odległym skraju sąsiednich stanów. Następnie

**odrzucałem Indianę w przekonaniu, że Dant unikałby powrotu w okolice, gdzie go więziono. Pozostało więc Ohio i Michigan na północy, Kentucky i Zachodnia Wirginia na południu oraz Pensylwania na wschodzie. Mnie jednak interesowały nie same miasteczka, lecz znajdujące się w nich kościoły. W okienku poszukiwania wpisałem "Kościoły w Ohio". Ukazał się spis wraz z adresami internetowymi, który porównałem z nazwami na mojej liście. Powtórzyłem wyszukiwanie dla Kentucky, Zachodniej Wirginii, Pensylwanii i Michigan. Wykluczyłem kościoły pod wezwaniem jakichkolwiek świętych, pewny że Dant unikałby świątyń katolickich, anglikańskich i prawosławnych. Ich teologia i obrzędy były mu obce. Właśnie zabierałem się za przegląd kościołów protestanckich, gdy... Rozległo się głośnie stukanie do drzwi. Raptownie obróciłem głowę.**

**Słońce już dawno zaszło. Spojrzałem na zegarek. Upłynęło siedem godzin, wskazówki zbliżały się do północy. Pukanie powtórzyło się.**

**- Panie Denning? - odezwał się męski głos.**

**Wstając, poczułem że zeszywniałem od długiego siedzenia. Podeszedłem do drzwi i wyjrzałem przez wizjer. Stał tam starszy mężczyzna w marynarce i krawacie. Otworzyłem, nie zdejmując łańcucha. - O co chodzi? - spytałem, mrużąc oczy od ostrego blasku lamp na parkingu.**

**- Chciałem tylko sprawdzić, czy wszystko w porządku. Wygląda na to, że korzysta pan z telefonu**

**od około piątej po południu, a kiedy chciałem się połączyć, żeby sprawdzić, czy pan nie usnął, usłyszałem tylko trzaski. -Nadrabiam zaległości w pracy.**

**Mężczyzna popatrzył na mnie ze zdziwieniem.**

**- Przez Internet - wyjaśniłem, wskazując komputer na stoliku. Dopiero później uzmysłowilem sobie, że ze swego miejsca za drzwiami recepcjonista nie mógł go widzieć.**

**Przyjrzał mi się, nie bardzo rozumiejąc, o czym mowa.**

**- Ma pan numer mojej karty kredytowej. Z chęcią pokryję wszystkie koszty.**

**- A więc u pana wszystko w porządku?**

**- W najlepszym.**

**- Przyjemnej nocy.**

**Wyszedł, a ja poczułem, że głowa pęka mi z bólu, a w brzuchu burczy. Przez szczelinę w drzwiach dojrzałem czerwono-błękitny neon po drugiej stronie ulicy. Zapraszał na STEKI i PIWO. Na skraju parkingu stały osiemnasto kołowe ciężarówki.**

**Żałowałem każdej minuty niepoświęconej na poszukiwania Kate i Jasona, ale powiedziałem sobie, że na nic im się nie przydam, jeśli stracę siły.**

**Odłączywszy się od Internetu, zamknąłem pokój i ruszyłem w stronę budynku, z którego okien płynęła głośna muzyka z szafy grającej. Była to piosenka o kobiecie żyjącej dla jednego mężczyzny i mężczyźnie, który znajdował czas dla dwóch kobiet. Czterdzieści minut później poczułem w żołądku ciężar sandwicza**

ze stekiem. Przez ostatni rok narzucałem sobie surową dietę. Jutro do niej wrócę, pomyślałem. Jutro. - Kawa na wynos - oznajmiła kelnerka. - Dziękuję.

Wychodząc z restauracji, usłyszałem jakiś hałas na skraju parkingu. Muzyka ucichła, lecz gwar rozmów dobiegający z lokalu był tak głośny, że musiałem wyteńczyć słuch. Z prawej strony, za rogiem budynku. Odgłos powtórzył się. Był to jęk. Jęk kobiety.

- Myślisz, że możesz sobie tak ode mnie odejść jakby nigdy nic? -pytał męski głos. - Jesteś jeszcze głupsza, niż wyglądasz. Ciągle ci to powtarzam. Rozległ się metaliczny łomot, jakby coś uderzyło w maskę samochodu. Kolejny jęk. W restauracji znów odezwała się szafa grająca; tym razem była to piosenka o samotnych pokojach i pustych sercach. Brad, którym kiedyś byłem, wróciłby do lokalu i poprosił szefa o wezwanie policji. Ale ile by potrwało, zanim patrol zdążyłby dojechać i co mogłoby się zdarzyć przez ten czas? Wyobrażając sobie, że to Petey maltretuje Kate, rozpiąłem kaburę, z którą nigdy się teraz nie rozstawałem. Wiedząc, że w każdej chwili mogę wyciągnąć pistolet, obszedłem narożnik restauracji. Z tej strony ściana była niemal ślepa. Z dala od jaskrawego światła neonów musiałem chwilę poczekać, aby oczy przywykły do półmroku. Po chwili dostrzegłem dwie sylwetki między zaparkowanymi wozami. Mężczyzna zamierzał się pięścią na kobietę. -Przestań - krzyknąłem.

**Odwrócił się raptownie w moją stronę. Pomimo mroku widziałem jego nalaną twarz. Z tylnej kieszeni spodni wystawał okazały portfel, przyczepiony łańcuszkiem do paska. - To prywatna rozmowa. Nie wtrącaj się pan - warknął mężczyzna, przewracając swoją ofiarę na asfalt. - Nie chcesz ze mną dłużej żyć? No to masz wybór: albo ze mną, albo wcale.**

**- Powiedziałem przestań.**

**- Znikaj, kolego, bo jak skończę załatwiać sprawy rodzinne, zajmę się tobą.**

**- Znikaj? Właśnie wypowiedziałeś słowo, którego najbardziej nienawidzę.**

**- Dobrze mnie usłyszałeś, koleś - rzucił niedbale, podrywając kobietę na nogi i wpychając do samochodu. Próbowwała się opierać, więc uderzył ją ponownie.**

**- Ależ ty mnie nie słuchasz - odrzekłem i zbliżyłem się jeszcze o parę kroków.**

**- No dobra, dałem ci szansę! - zawołał, wykonując obrót. - Teraz do stಾನiesz za swoje.**

**- Szczęściarz ze mnie.**

**W lewej dłoni trzymałem kubek z kawą, tak gorącą, że parzyła przez styropian. Zerwałem plastikowe wieczko i chlusnąłem parującym płynem prosto w twarz napastnika. Celowałem w oczy. Wrzasnął, osłaniając się przed wrzątkiem.**

**Wyprostowanymi palcami wymierzyłem cios w żołądek tuż pod żebrami, tak jak mnie nauczono. Mężczyzna jęknął, jakby miał zwymiotować i zwinął**

się w pół. Kopnąłem go w zewnętrzną część uda, gdzie przebiega nerw. Sparaliżowana noga nie wytrzymała. Napastnik zwałił się na chodnik, wyjąc z bólu. Odciągnąłem mu ręce od twarzy i nasadą dłoni wymierzyłem trzy ciosy w nos. Trzasnęła chrząstka, krew trysnęła na asfalt. Odsunąłem się. Mój przeciwnik leżał bez ruchu. Ostrożnie przetoczyłem go na bok, żeby nie udusił się krwią. Zbadałem puls. Z ust mężczyzny dolatywał kwaśny odór alkoholu. Odwróciłem się do kobiety opartej o maskę wozu. -Nic pani nie jest?

Jęknęła. Siniaki na jej twarzy wyglądały przerażająco.

- Ma pani dość siły, żeby prowadzić? - spytałem.

- Ja nie chcę... - Słaniała się, kiedy pomagałem jej wsiąść do wozu. Miała straszliwie opuchnięte usta. - Tak - wydusiła wreszcie. - Chyba mogę jechać. Ale... - Proszę to zrobić.

Z tyłu dobiegł jęk jej oprawcy.

- Prędko, zanim się ocknie.

Popatrzyła na mnie. Wokół jej oczu ciemniały siniaki. Wiedziałem, że nie mogły powstać w ciągu ostatnich kilku minut. Musiała być wcześniej wielokrotnie bita. -Jechać? - spytała żałośnie. - Jak? Przecież ja tu przybiegłam pieszo. Chciałam pożyczyć trochę pieniędzy od znajomej, która pracuje w restauracji. Ale koleżanka nie przyszła do pracy, bo zachorowała, a on już tu na mnie czekał. Nachyliłem się nad leżącym i z satysfakcją odnotowałem, że jeszcze nie oprzytomniał.

**Wyciągnąłem kluczyki z kieszeni jego spodni, a potem opróżniłem portfel; było tam chyba ze sto dolarów. - Proszę to wziąć - powiedziałem, dokładając resztę pieniędzy ze swojego portfela. Łącznie około dwustu dolarów.**

**- Nie mogę przyjąć takiej sumy - odrzekła.**

**- Moja żona na pewno chciałaby, żebym pani dał te pieniądze. - O czym pan mówi?**

**- Proszę to wziąć. Przez wzgląd na moją żonę.**

**Kobieta popatrzyła na mnie dziwnie, jakbym mówił zagadkami. - Mam siostrę w Baltimore -**

**powiedziała, patrząc niepewnie na kluczyki. - Nie może pani tam jechać. To jest pierwsze miejsce, gdzie będzie pani szukał. Gdyby obrabowała pani bank, czy ukryłaby się pani u siostry? To zbyt przejrzyste. Musi pani sobie wyobrazić, że ucieka przed policją. - Ale ja nie zrobiłam nic złego!**

**- Proszę to sobie powtarzać. Pani nie zrobiła niczego złego, ale ta kanalia na pewno tak. Nie wolno pani ani na chwilę zapomnieć, że jedynym celem pani życia jest trzymać się od niego z dala. - Kate**

**pracowała kiedyś ochotniczo jako psychoterapeutka w schronisku dla maltretowanych kobiet. Byłem z niej bardzo dumny i wiele się wówczas nauczyłem. Wiedziałem, jak postępować w takich przypadkach.**

**- Proszę wybrać jakieś miasto, gdzie nigdy pani nie mieszkała. Pittsburgh. Czy była pani kiedykolwiek w Pitts-burghu?**

**- Nie.**

**- A więc niech pani tam jedzie. To tylko kilkaset kilometrów stąd. Proszę zostawić wóz na dworcu autobusowym i jechać do Pittsburgha. W książce telefonicznej poszuka pani hasła "Pomoc społeczna". Będzie tam adres schroniska dla kobiet.**

**Siedziałem w hotelowym pokoju i trząsałem się, zaszokowany furia, która ogarnęła mnie na parkingu. Gotów byłem tego drania zastrzelić. Powstrzymała mnie tylko świadomość, że huk zaalarmowałby klientów restauracji, którzy tłumnie wysypaliby się przed budynek. Ktoś mógłby mnie zauważyć, policja rozpoczęłaby pościg. Jak miałbym szukać Kate i Jasona, gdybym wylądował w więzieniu?**

**Oto treść listu, który rozesłałem pocztą elektroniczną:**

**Z powodów ważnych dla mnie i mojej rodziny poszukuję młodego człowieka, który być może zjawiał się w Państwa kościele jesienią, bądź nieco wcześniej, dziewiętnaście lat temu. Zdaję sobie sprawę, że trudno sięgnąć pamięcią tak daleko wstecz, ale okoliczności owego wydarzenia były prawdopodobnie dość niecodzienne, dlatego liczę, że ktoś z parafian mógł je zapamiętać. Chłopiec miał wówczas około szesnastu lat. Przypuszczalnie znalazła go na schodach przed drzwiami kościoła pierwsza osoba, która przyszła na poranne nabożeństwo. Ubrany był w lachmany. Na rękach**

**miał blizny wskazujące, że mógł paść ofiarą jakiegoś nieszczęśliwego wypadku. Nie pamiętał ani swojego imienia, ani co mu się przydarzyło. Nie wiedział też, jak trafił do tego kościoła. Parafianie prawdopodobnie chcieli się nim zaopiekować, zwłaszcza kobiety, ponieważ w jego oczach było coś, co budziło macierzyńskie uczucia. Cytował z pamięci fragmenty Biblii, lecz nie umiał czytać. Ktoś - najprawdopodobniej kobieta - podjął się nauczania go alfabetu. Niewykluczone, że chłopak obrabował później ludzi, którzy go przygarnęli - może nawet używając siły - i uciekł z miasta. Możliwe również, że w końcu "przypomniał sobie", że nazywa się Lester Dant. Jeśli mają Państwo jakiegokolwiek wiadomości dotyczące tej osoby, proszę skontaktować się ze mną pod wyżej wymienionym adresem. Bardzo zależy mi na tym, aby się dowiedzieć jak najwięcej o tym człowieku, ponieważ rok temu uprowadził moją żonę i syna.**

**Nazajutrz rano, po nocy pełnej koszmarów, wysłałem ten apel do wszystkich kościołów na mojej liście. Wpatrując się w ekran komputera, modliłem się w myślach o Bożą pomoc. Teraz mogłem już tylko czekać. Potrzeba opróżnienia pęcherza zmusiła mnie w końcu, żeby wstać i pójść do łazienki. W tej samej chwili przypomniałem sobie słowa Payne'a, że póki jestem w ruchu, nie popełnię chyba żadnego większego głupstwa. Wyruszyłem więc na ośmiokilometrowy spacer. Po powrocie pierwsze**

spojrzenie skierowałem na ekran monitora. Żadnej korespondencji. Poćwiczyłem przez godzinę i ponownie zajrzałem do skrzynki odbiorczej. Była pusta. Czego się spodziewałem? Że w każdym kościele jest ktoś, kto sumiennie czyta co rano pocztę elektroniczną, że wieść o moich poszukiwaniach dotrze do każdego parafianina i że ten, kto pamięta opisane przeze mnie wydarzenia, niezwłocznie mi odpisze? Musisz być cierpliwy, powtarzałem. Nawet w małych miasteczkach wiadomości nie rozchodzą się tak szybko, jak byś sobie tego życzył. Jeśli dostaniesz jakąś odpowiedź, to nie wcześniej niż wieczorem. Wziąłem prysznic, przebrałem się i zacząłem czytać. Potem wyszedłem coś zjeść, przespacerowałem się i obejrzałem wiadomości CNN. Co parę minut zaglądałem do skrzynki. Nadal nic. O północy dałem za wygraną, zgasilem światło i położyłem się spać. Sen jednak nie przychodził, więc na przekór wczorajszemu postanowieniu ruszyłem do baru, kilkaset metrów od motelu, żeby zjeść pieczeń z grilla. Wolałem pójść tam, bo w restauracji ktoś mógłby mnie rozpoznać. Jeśli facet, któremu dałem wycisk, szuka mnie, pewnie będzie się rozglądał w okolicy tego lokalu. Tym razem wypilem cztery piwa i szklankę burbona. Uznałem, że jestem już wystarczająco otępiały, żeby wrócić do pokoju i położyć się spać. A teraz czeka mnie piekło, pomyślałem. Zresztą już tam jestem. Obudziłem się o świcie, lecz w skrzynce nadal nie było żadnej wiadomości. Miałem przed sobą kolejny

**dzień czekania. Czas włókł się nieznośnie; wreszcie musiałem przyznać, że głupio się przeliczyłem, spodziewając się odpowiedzi na mój list. Nie znalazłem w sobie dość odwagi, aby naprawdę wejść w skórę Lestera Danta. Błędnie oceniłem, dokąd mógł się udać dziewiętnaście lat temu i co uczynił, gdy już dotarł do celu. Poczulem, że nie mogę tak dłużej żyć. Wątpiłem, czy w ogóle chcę żyć. Po raz ostatni postanowiłem zajrzeć do skrzynki odbiorczej i... znalazłem tam cztery wiadomości.**

**Byłem przekonany, że mam omamy, że sam siebie oszukuję. Patrzyłem na listy jak na zjawy nie z tego świata. Drukowałem je, drżąc z niepewności. Każdy pochodził z innego stanu: Kentucky, Zachodnia Wirginia, Pensylwania i Ohio. Były ułożone w porządku alfabetycznym według nazwisk nadawców, lecz po kilkakrotnym przeczytaniu wszystkich wiadomości uszeregowałem je w logiczny ciąg chronologiczno-geograficzny. Pierwszy list zaczynał się następująco:**

**Panie Denning, Pański apel bardzo mnie poruszył, a jednak nie mogłam się zebrać, żeby od razu odpisać. Mąż radził, żebym nie rozdrapywała starych ran, ale nie potrafię spokojnie znieść myśli, że inni ludzie też musieli cierpieć tak jak ja. Autorka nazywała się Cavendish, a jej relacja niemal jota w jotę pokrywała się z tym, co opowiedziała mi pani Garaer. Jeśli doszło do gwałtu, pani Cavendish nie wspomniała o nim, lecz miałem niepokojące**

przeczucie, że została zraniona znacznie głębiej, niż wynikało to z i tak drastycznego opisu. Złodziej nie podawał się jednak za Lestera. W ogóle nie wymienił nazwiska ani imienia. W noc ucieczki podpalił dom ludzi, którzy go przygarnęli. Zdarzyło się to pod koniec września, miesiąc po napaści na panią Garner. Co się działo w międzyczasie? Zerknąwszy na mapę, odkryłem, że miasteczko w Kentucky, gdzie Lester popełnił drugie przestępstwo, znajduje się ponad trzysta kilometrów od Loganville w Ohio. Czyżby po obrabowaniu pani Garner Lester włóczył się, włamując się do domów i okradając przydrożne sklepy? Następny list - według ustalonej przeze mnie kolejności - nadszedł z sąsiedniego stanu, Zachodniej Wirginii, i opisywał wydarzenia o rok późniejsze. Lestera (który posługiwał się wówczas tylko imieniem) przyjęła pod swój dach pewna pobożna rodzina. Tym razem ofiarą brutalnej napaści padła córka, która ukrywała przed rodzicami prawdę aż do chwili, gdy osiągnęła dojrzałość. Lester zagroził dziewczynie, że jeśli komuś się poskarży, on wróci którejś nocy i ją zabije. Na dowód, że nie żartuje, na oczach nieszczęsnej ofiary udusił jej kota. Następnej nocy obrabował dom, ukradł samochód i zniknął. Policja znalazła spalony wóz trzysta kilometrów od miejsca kradzieży. Lester ulotnił się, ale dziewczyna jeszcze długo nie mogła dojść do równowagi psychicznej. Trzeci list - z Pensylwanii - opisywał wydarzenia, do których doszło aż osiem lat później. Przestępca skrócił swoje imię i podawał się teraz za

**Lesia. Zmienił też metody działania. Jako dwudziestokilkuletni mężczyzna nie budził już takiego współczucia parafian z małych miast. W tym okresie zjawiał się w kościołach i proponował, że będzie wykonywał różne prace w zamian za posiłek. Zdumiewająca umiejętność cytowania całych ustępów z Biblii pomagała mu zaskarbić sobie ludzkie zaufanie. W Pensylwanii Lester podpalił kościół. Mój największy niepokój wzbudziła jednak ostatnia wiadomość, pochodząca ze środkowego Ohio. Autor listu opowiadał o wydarzeniach, do których doszło trzynaście lat po pożarze na farmie Dantów. Tym razem Lester podczas ucieczki porwał żonę swego dobroczyńcy. Kobiety nigdy nie odnaleziono. Ale Lester nie posługiwał się wówczas ani swoim imieniem, ani jego zdrobnieniem. Przedstawił się zupełnie inaczej. Gdy przeczytałem jak, po moich plecach przebiegł zimny dreszcz. Peter.**

**Lodowaty ucisk nie ustępował, kiedy wpatrywałem się w układ miasteczek na mapie. Szlak przestępcy wiódł z Crawford na południowym wschodzie do Loganville w Ohio, potem jeszcze dalej, do Kentucky, następnie do Zachodniej Wirginii, później na północny wschód do Pensylwanii i wreszcie na zachód, do środkowej części Ohio, osiemdziesiąt kilometrów od miasta, gdzie się wychowałem. Miesiąc, rok, osiem lat, trzynaście. W tym czasie Lester czy też Peter pojawiał się w odległych miejscowościach w różnych regionach kraju -jak**

**wynikało niezbiecie z raportu FBI - lecz coś kazało mu wracać. Nie mogłem się oprzeć wrażeniu, że kształt na mapie tworzy spiralę, wiodącą prosto do miejsca, gdzie kiedyś wszystko się zaczęło.**

**\* \* \***

## **Część szósta**

**Upłynęło ponad ćwierć wieku od dnia, kiedy musieliśmy z mamą wyjechać z Woodford i zamieszkać u dziadków w Columbus. Payne mówił mi, że moje rodzinne miasteczko jest teraz dobrze prosperującym zapleczem większego sąsiada, aleja nie w pełni zdawałem sobie sprawę, co to znaczy. Zjeżdżając z autostrady na pokrytą świeżym asfaltem szosę, testowałem swoją pamięć. Miałem zaledwie czternaście lat, kiedy się wyprowadzaliśmy. Rodzice zabierali często Peteya i mnie do dziadków. Z tych wypraw zapamiętałem, że przy drodze rozciągało się mnóstwo pól uprawnych. Większość z nich ustąpiła teraz miejsca solidnym domom, wzniesionym na stosunkowo małych działkach. Malownicze widoki, które przyciągnęły niegdyś chętnych, znikły teraz, zasłonięte rzędami nowych zabudowań. Mieszkańcy Woodford powetowali sobie tę stratę, inwestując w aranżację ogródków. Na dawnym przedmieściu minąłem fabrykę mebli, w której przed laty ojciec był majstrem. Obszerny budynek mieścił obecnie kompleks restauracyjnokinowy z pasażem handlowym. Zachowano jednak architekturę hal fabrycznych, nadającą temu miejscu historyczny koloryt. Centrum miasteczka -siatka sześciu przecznic, zabudowanych przeważnie sklepami - prezentowało się teraz znacznie okazalej niż za czasów mojej młodości. Świeżo wyremontowane kamieniczki**

wyglądały jak nowe, choć pochodziły z początków dwudziestego wieku. Jedna z ulic została zamknięta dla ruchu i zamieniona w pasaż z drzewami i donicami, ogródkami kafejek, fontanną i niewielką sceną. Panował taki ruch, że nie od razu znalazłem miejsce do parkowania. Targały mną sprzeczne emocje. Gdy byłem dzieckiem, centrum miasteczka wydawało się takie olbrzymie. Teraz też czułem się mały, lecz z powodu bezradności. Mimo upływu tylu lat jakoś udało mi się nie stracić orientacji. Minąłem sklep z komiksami i cukiernię, których kiedyś tu nie było. Doszedłem do skrzyżowania Lincolna i Waszyngtona (nazwy tych ulic przypomniały mi się od razu) i wypatrzyłem ocienioną bramę po przeciwnej stronie ulicy. Znajdowała się, jak dawniej, między bankiem a apteką. Pamiętałem ją dobrze. Ileż to razy mama wprowadzała Peteya i mnie do tej bramy, której wąską, odbijającą ponuro odgłos kroków klatką schodową szło się do najbardziej znienawidzonego miejsca na świecie: do gabinetu dentystycznego. W dzieciństwie klatka ta wydawała mi się olbrzymią, złowrogą czeluścią. Teraz, starając się uspokoić nerwy, liczyłem schody. Było ich trzydzieści. Dotarwszy na górę, stanąłem pod mansardowym oknem (kolejna zmiana), na wprost znanych mi jasnych drzwi. Tylko nazwa na tabliczce była inna: COSGROYE - AGENCJA UBEZPIECZENIOWA. Zajęta spinaniem dokumentów młoda kobieta z zaczesanymi do tyłu

włosami obrzuciła mnie uważnym wzrokiem. -  
Słucham pana.

- Ja... Kiedy byłem dzieckiem, mieścił się tu gabinet dentystyczny. -Nie mogłem się powstrzymać od zerknięcia ponad głową recepcjonistki. W głębi korytarza kryła się komnata tortur.

Kobieta patrzyła na mnie, zdziwiona.

- Tak?

- Ten dentysta ma pewne dokumenty, na których mi zależy, ale nie mogę się z nim skontaktować, bo zapomniałem jego nazwiska.

- Obawiam się, że w tej sprawie nie będę mogła panu pomóc. Zaczęłam pracować dla pana Cosgrove'a dopiero pół roku temu i nic mi nie wiadomo, że był tutaj kiedyś gabinet dentystyczny.

- Może pan Cosgrove będzie wiedział.

Recepcjonistka zniknęła w pomieszczeniu, które napawało mnie niegdyś taką trwogą. Wróciła po upływie pół minuty. - Szef mówi, że dawniej mieściła się tu agencja obrotu nieruchomościami. - Ach tak.

- Przykro mi.

- Rozumiem. Niepotrzebnie robiłem sobie nadzieję. - Rozczarowany, od wróciłem się. Nagle zatrzymałem się. - Agencja obrotu nieruchomościami? - Słucham?

- Powiedziała pani, że była tu agencja obrotu nieruchomościami. - Tak. - Kobieta wyraźnie traciła cierpliwość.

- Czy właściciel bądź właścicielka tej agencji zajmuje się zarządzaniem nieruchomościami? - Nie rozumiem.

**- Pan Cosgrove nie jest, jak sądzę, właścicielem tego budynku. Komu więc płaci czynsz?**

**-Chodzi panu o gmach Dwyera - oznajmił, gasząc niedopałek papierosa, mężczyzna wagi piórkowej w meloniku na głowie. Jego biurko z trzech stron otaczały wysokie regały, wypełnione segregatorami. - Administruję nim w imieniu spadkobierców pana Dwyera od ponad dwudziestu lat. - A więc także biurem pana Cosgrove'a.**

**- Lokal 2-C.**

**- Czy może mi pan zdradzić, kto wcześniej wynajmował to pomieszczenie? Chodzi mi o nazwisko dentysty, który prowadził tam kiedyś praktykę. - Po co to panu, u licha?**

**- Szukam pewnych danych medycznych. Jeśli sprawdzanie nazwiska tego człowieka stanowi problem, chętnie zapłacę za usługę. - Problem? A gdzie tam, to najłatwiejsza rzecz na świecie. Sekret zarządzania nieruchomościami kryje się w dobrej organizacji - oznajmił, podjeżdżając na obrotowym krześle do regału po prawej stronie, oznaczonego literą D.**

**- Budynek Dwyera - powiedział, przeglądając akta. - Tutaj. - Odłożył papiery. - Tak, już sobie przypominam. Doktor Raymond Faraday. Miał atak serca. Osiemnaście lat temu. Umarł, robiąc pacjentowi leczenie kanałowe. Po wszystkim, czego doświadczyłem, groteskowość tej śmierci nie wydała mi się niczym nadzwyczajnym. - Czy miał jakichś**

**krewnych, którzy nadal mieszkają w tym mieście? - Nie mam zielonego pojęcia, ale tu jest książka telefoniczna. Proszę sprawdzić.**

**- ...doktor Raymond Faraday. Próbuję odszukać kogoś z jego krewnych. - Rozmawiałem przez komórkę, siedząc w samochodzie. W książce znalazłem tylko dwóch faradayów. Dzwoniłem właśnie do drugiego. - Mój mąż jest jego synem - stwierdziła kobieta nieco podejrzliwym głosem. - Frank jest teraz w pracy. A o co chodzi?**

**Wyprostowałem się.**

**- Kiedy ja i mój brat byliśmy dziećmi, doktor Faraday leczył nam zęby. Odnalezienie prześwietleń brata jest dla mnie niesłychanie ważne. Dzięki temu będę mógł potwierdzić jego tożsamość.**

**- Czy pański brat nie żyje?**

**- Tak.**

**- Strasznie mi przykro.**

**- Gdyby powiedziała mi pani, gdzie mogą być te zdjęcia, bardzo ułatwiłaby mi pani zadanie. -**

**Pacjenci teścia zabierali swoje zdjęcia, kiedy zmieniali dentystę. - A ci, którzy przez jakiś czas pozostawali bez dentysty? Mój brat i ja przestaliśmy korzystać z usług doktora Faradaya wiele lat temu. - Czy pańscy rodzice nie przekazali zdjęć nowemu dentyście? - Nie.**

**To było gorzkie wspomnienie. Po śmierci ojca, kiedy okazało się, że jego polisa ubezpieczeniowa wygasła, mama nie mogła sobie pozwolić na to, aby zabierać mnie do dentysty. Kobieta wypuściła ciężko**

powietrze, jakby czymś poirytowana. -Nie mam pojęcia, co mąż zrobił ze starymi kartami pacjentów. Będzie go pan musiał sam spytać, kiedy wróci z biura.

Boisko baseballowe ani trochę się nie zmieniło.

Wiszące nisko nad horyzontem słońce rzucało długie cienie, a ja stałem koło metalowej poręczy, do której dawno temu przywiązywaliśmy łańcuchami nasze rowery. Nieco z tyłu, na ławkach wzdłuż linii trzeciej bazy tłum rodziców okrzykami dopingował chłopców rozgrywających mecz Małej Ligi.

Usłyszałem odgłos piłki uderzanej pałką. Brawa, okrzyki rozczarowania, znowu brawa. Pewnie piłka została złapana w ostatniej chwili, zanim zawodnik dobiegł do bazy. Ja jednak przyglądałem się rowerom. Pamiętam, że Petey przypinał agrafką kartę do gry do przednich widełek, tak że kiedy jechał, terkotała obijając się o szprychy. Z bólem uświadomiłem sobie, że zatarły mi się imiona dwóch kolegów, z którymi wtedy byłem i przez których zrujnowałem życie Peteya. Pamiętałem jednak sens tamtej rozmowy. - Rany, Brad, ten gówniarz działa mi na nerwy. Powiedz mu, żeby spadał. - Wszędzie się za nami włóczy. Mam dość smarkacza. A terkotanie jego roweru po prostu mnie wkurza.

- Fakt, chodzi za nami. No i co z tego?

- Chrzanisz. Myślisz, że moja mama dowiedziałyby się, że paliłem, gdy by on nie zakablował waszej mamie?

- Nie wiemy na pewno, że to on.

**- A niby kto? Wróżka z bajki?**

**- No dobrze, dobrze.**

**Petey omal nie wpadł na mnie, kiedy się odwróciłem. Wspominałem tę chwilę tak często i z takim bólem, że na zawsze wryła mi się w pamięć. Petey był drobny nawet jak na dziewięciolatka, a w workowatych dzinsach wyglądał na jeszcze mniejszego. Na rękę miał o wiele za dużą rękawicę baseballową. - Przykro mi, Petey, ale musisz iść do domu.**

**- Ale...**

**- Jesteś dla nas za smarkaty. Przez ciebie nie możemy spokojnie pograć.**

**Oczy malca zaszklily się łzami.**

**To straszne, ale wtedy głównie przejmowałem się tym, co pomyślą koledzy, jeśli mój brat się rozplacze.**

**-Mówię po ważnie, Petey. Spływaj. Idź do domu, pooglądaj kreskówki czy coś.**

**Mały podbródek zadrzał.**

**- Petey, powtarzam ci, idź sobie. No już, zmiataj.**

**Obaj koledzy ruszyli biegiem, bo chłopcy już wybierali strony boiska. Gnając ich śladem, słyszałem terkotanie roweru. Obejrzałem się. Petey odjeżdżał ze spuszczoną głową. Stałem tam i wypełniało mnie straszliwe, bolesne pragnienie, żeby można było cofnąć czas. Powiedziałbym tym chłopakom, żeby się wypchali i że Petey zostanie ze mną. Poczulem, jak dławi mnie płacz. W przeciwieństwie do boiska, dom bardzo się zmienił. Zmieniła się cała ulica. Drzewa były wyższe (czego**

należało się spodziewać), rosły gęściej, a przestrzeń między nimi wypełniały krzewy i żywopłoty. Nie to jednak najbardziej mnie uderzyło. Za czasów mojego dzieciństwa okolica miała skromną, parterową zabudowę. Mieszkali tu głównie robotnicy z fabryki, w której ojciec pracował jako majster. Do większości z tych domków dobudowano teraz piętra lub zalecza, przez co znacznie zmniejszyły się podwórka na tyłach. Nasz dom poddany został obu tym przeróbkom. Kosztem ganku powiększono powierzchnię pokoju stołowego. Garaż mógł teraz pomieścić dwa pojazdy, a z jego dachu schody prowadziły do nadbudówki. Zaparkowałem po przeciwnej stronie; w oknach domu odbijała się czerwień zachodzącego słońca. Zmiany były znaczne - tak znaczne, że prawie zwątpiłem, czy wjechałem we właściwą ulicę. Ale na tablicy widziałem wyraźnie nazwę Locust. A może pomyliłem posesję? Nie, numer 108 widniał koło frontowych drzwi, tak samo jak w czasach mego dzieciństwa. Nie miałem poczucia jakiegokolwiek związku z tym miejscem. W mojej pamięci pozostał inny, o wiele skromniejszy dom, z którego wybiegliśmy tego wieczora z ojcem, wskoczyliśmy do samochodu i popędziliśmy w stronę boiska w daremnej nadziei, że gdzieś po drodze natkniemy się na Peteya. W sąsiednim ogródku pojawił się mężczyzna i zmarszczywszy brwi, czujnie spojrzał na mnie, jakby pytając: "Na co się pan tak gapi?" Wrzuciłem bieg i odjechałem. Tu i ówdzie na bramach wisiały tabliczki z napisem NA

**SPRZEDAŻ.** Kiedyś wszyscy mieszkańcy tej ulicy byli tak uzależnieni od fabryki mebli, że nikt nawet nie myślał o wyprowadzce.

**Pan Faraday miał wąskie usta i zapadnięte policzki.**

**- Żona powiedziała, że pański brat zginął czy coś takiego? - Tak.**

**- Dlatego szuka pan zdjęć dentystycznych? Żeby go zidentyfikować? - Zniknął wiele lat temu. Może udało się go odnaleźć.**

**- Jego zwłoki?**

**- Tak.**

**- Gdyby to nie było coś równie ważnego, nie fatygowałbym się - oznajmił Faraday, zapraszając mnie gestem do środka. Z salonu dobiegł mnie dźwięk telewizora. Odniosłem wrażenie, że w domu Faradayów schludność graniczy z przesadą.**

**Wszystko było tu na swoim miejscu: fotele przykryte foliowymi pokrowcami, garnki zawieszane na kołkach według rozmiaru, ich pokrywki nieco wyżej.**

**Z otwartych drzwi w pobliżu kuchni powiało chłodnym powietrzem. Gospodarz zapalił światło i dał znak, żebym szedł za nim. Nasze kroki zadudniły na solidnych drewnianych stopniach. Nigdy nie widziałem równie starannie urządzonej piwnicy.**

**Wypełniały ją pudła, ustawione w szeregi tworzące wąskie korytarze. Nawet cienia bałaganu czy chaosu. Pod przeciwległymi ścianami pomieszczenia wirowały dwa osuszające powietrze wiatraki. - Nie mogę się pozbyć tej wilgoci - powiedział Faraday.**

**Poprowadził mnie jednym z "korytarzy", skręcił w lewo i dotarł do kąta, gdzie stała zamknięta szafka. - Czy mogę panu jakoś pomóc? - spytałem.**

**- Lepiej niech pan niczego nie rusza, bo wszystko się pomiesza. - Otworzył drzwiczki szafki; ukazały się pliki dokumentów.**

**- Żona narzeka, że za dużo tych papierzysk, ale skąd mam wiedzieć, czy coś się nie przyda? - Faraday wskazał pudła stojące nieco z boku. - Wszystkie moje kwestionariusze podatkowe. Tam zapłacone rachunki. A tutaj dokumenty ojca. Tyle udało mi się znaleźć. - Wyciągnął plik pośliskłych teczek. - Jak się nazywał pański brat?**

**- Peter Denning.**

**- Denning. Zobaczmy. Denning. Denning. Ann, Brad, Nicholas, Peter. Proszę - rzekł z zadowoleniem, podając mi dokumenty.**

**Z trudem powstrzymałem drżenie ręki.**

**- A pozostałe? Chce pan swoją kartę? Kim są Ann i Nicholas? - To moi rodzice. - Poczulem ciężar w piersi. - Wezmę je wszystkie, jeśli to panu nie robi różnicy.**

**- Żona byłaby wniebowzięta, widząc, że czegoś się pozbywam. -**

**Kiedy wracałem do samochodu, zapadał już zmierzch. Musiałem włączyć światło, żeby obejrzeć kartę Peteya. Drżącą dłonią wyciągnąłem plik zdjęć rentgenowskich. Nigdy w życiu nie miałem w ręku**

czegoś równie cennego. W Denver, odebrawszy od dentysty prześwietlenie zębów mężczyzny podającego się za mojego brata, zrobiłem kopie na wypadek, gdyby FBI zgubiło zdjęcia albo gdybym potrzebował ich do moich poszukiwań. Teraz nie mogłem się doczekać, kiedy znajdę się w jakimś hotelu. Na przedmieściu zatrzymałem się przy pierwszym motelu, w którym były wolne pokoje. Zameldowałem się i niemal biegiem ruszyłem do pokoju, zbyt niecierpliwy, aby zabrać z wozu wszystkie rzeczy. Miałem tylko walizkę, którą otworzyłem jednym ruchem i sięgnąłem po dokumentację z Denver. Zęby dziecka i dorosłego człowieka różnią się znacznie, co sprawia, że trudno ocenić, czy zdjęcia dotyczą tej samej osoby. W chwili porwania Petey nie miał jeszcze wszystkich stałych zębów. Ale niektóre już mu musiały wyrosnąć, zapewnił mnie dentysta. Proszę przyglądać się korzeniom. Są potrójne czy poczwórne? Poczwórne rzadziej się spotyka. Czy korzenie rozrastają się bardziej w którąś stronę? Wziąłem fotografię szczęki dorosłego w lewą rękę, a dziecka w prawą i uniosłem do lampy nad łóżkiem. Za ciemno. Już miałem zdjąć abażur, kiedy przypomniałem sobie o jaskrawych jarzeniówkach, jakie często spotyka się w łazienkach moteli. Poderwawszy się z łóżka, zauważyłem, że duże lustro nad toaletką zaopatrzone jest w mocne oświetlenie. Zapaliłem podwójną lampę. Oślepiony blaskiem zmrużyłem oczy. Ustawiłem oba zdjęcia na tle świetlówek i zacząłem gorączkowo zerkać to na

**jedno, to na drugie, szukając różnic i podobieństw. Musiałem poznać prawdę. Zęby dziecka wydawały się tak żałośnie małe. Wyobraziłem sobie straszliwą bezradność Peteya w chwili porwania. Zęby dorosłego. Do kogo należą? Powoli docierało do mnie, na co patrzę. Uświadamiając sobie, co to znaczy, układałem w myślach poszczególne informacje. Zdjęcia wysunęły mi się z palców. Głowa opadła mi sama. Niech Bóg ma w opiece Kate i Jasona. Niech ma w opiece nas wszystkich.**

**Wnętrze kościoła wypełniała głośna muzyka. Organy grały jakiś uroczysty hymn, którego nie znałem. Schody po prawej stronie przedsionka prowadziły na chór. Trzeszczały, kiedy po nich stąpałem. Było kilka minut po dwunastej w południe. Wcześniej odwiedziłem jedenaście protestanckich kościołów. Zostało już tylko sześć i powoli traciłem nadzieję. Balkon chóru tonął w półmroku, który rozpraszała tylko lampka nad organami. Pastor skończył grać. Moje kroki odbiły się echem w nagłej ciszy. Mężczyzna odwrócił głowę. -Przepraszam, że przeszkadzam, wielebny ojciec - powiedziałem, zbliżając się i wyciągając jednocześnie zdjęcie. - Sekretarka powiedziała, że ojciec skończył już przygotowania do próby chóru. Poszukuję tego mężczyzny. Czy ojciec go rozpoznaje? Zdziwiony pastor wziął ode mnie fotografię, poprawił okulary i przyjrzał się. -Możliwe - odparł po chwili.**

Staralem się nie okazać wrażenia, jakie wywarła na mnie jego odpowiedź. Mimo to serce waliło mi donośnie i byłem pewien, że pastor wyczuwa rosnące napięcie. -Ta sama intensywność spojrzenia - dodał, podnosząc zdjęcie do światła. - Ale mężczyzna, o którym myślę, nosi brodę. - Wskazał na moją twarz. -Podobnie jak pan.

A więc nie myliłem się. Zapuścił zarost, żeby ukryć bliznę. -Gdyby ojciec zechciał zasłonić ręką dolną część jego twarzy - zaproponowałem, usilnie starając się opanować drżenie głosu. Pastor spełnił moją prośbę.

- Tak, znam tego człowieka - rzekł, spoglądając na mnie podejrzliwie. -Czemu go pan szuka?

- Jestem jego bratem. - Moja dłoń już nie drżała, kiedy odbierałem zdjęcie. - Nazywam się Brad Denning.

- Myli się pan.

- Słucham?

- Peter nie nazywa się Denning, tylko Benedict.

Nie jestem pewien, co uderzyło mnie bardziej: fakt, że Petey używał swojego imienia, czy to, że przybrał nazwisko duchownego, który chciał go adoptować po pożarze. Poczulem ściskanie w żołądku. -A więc nadal nie przyznaje się do naszego nazwiska.

- Co pan chce przez to powiedzieć? - spytał pastor, marszcząc brwi. Serce zabiło mi jeszcze szybciej.

- Pete i ja mieszkaliśmy kiedyś w tej okolicy, ale dawno temu pokłóciliśmy się i nasze drogi się

rozeszły. To była rodzinna kłótnia, jedna z tych, które zostawiają złą krew i czasami doprowadzają do długoletniego rozłamu. Pastor skinął głową. Najwyraźniej znał podobne sytuacje ze swojej pracy.

- Od lat nie zamieniliśmy ze sobą słowa. Ale ostatnio doszły mnie słuchy, że brat wrócił do miasta. W dzieciństwie chodziliśmy do tego kościoła, więc pomyślałem, że ktoś mógł go tutaj zobaczyć.
- Chce się pan z nim pogodzić?
- Pragnę tego z całej duszy, wielebny ojciec. Ale nie wiem, gdzie on jest.
- Nie widziałem pańskiego brata od... - Pastor przerwał, żeby się zastanowić. - Lipca ubiegłego roku, kiedy umarła pani Warren. Rzecz jasna, był na pogrzebie. A wcześniej widziałem go... Chyba dwa lata temu. Nawet nie jestem pewien, czy nadal tu mieszka.
- Kim była pani Warren?
- Jedną z naszych najpobożniejszych parafianek. Za mojej pamięci opuściła tylko jedno nabożeństwo. Kiedy Pete zjawił się dwa lata temu i zaproponował, że za darmo będzie wykonywał różne prace na rzecz kościoła, pani Warren poczuła do niego sympatię. Nie mogła wyjść z podziwu, że tak doskonale cytuje Pismo Święte. Kilka razy próbowała go zagiąć, ale jej się nie udało.
- Dzieło naszego ojca. To on nauczył Pete'a Biblii.
- Pański ojciec wykonał wspaniałą robotę. Po jakimś czasie pani Warren zaproponowała Pete'owi pracę w swoim gospodarstwie. My straciliśmy, ona zyskała.

**Gdy nie przyszła na nabożeństwo, o czym wcześniej wspomniałem, byłem przekonany, że zachorowała, więc zadzwoniłem do niej i okazało się, że się nie pomyliłem. Złożyła ją lekka grypa. Kiedy następnym razem pojawiła się w kościele, nie było z nią Pete'a. Powiedziała, że postanowił ruszyć w dalszą drogę.**

**- Tak, to cały on. Ale wspomniał ojciec, że Pete przyjechał na pogrzeb?**

**- Widać wrócił i znów tu pracował. Z tego, co słyszę, pani Warren zapisała mu dom w spadku. - Swój dom?**

**- Tak, była na świecie sama jak palec. Jej mąż już nie żył, podobnie jak dwoje dzieci. Pewnie uważała Pete'a za jedyną bliską osobę, kogoś w rodzaju syna.**

**- Musiała być zacną kobietą.**

**- Miała wielkie serce. Z upływem lat sprzedawała ziemię kawałek po kawałku, bo tylko w ten sposób mogła się utrzymać. Ale zostawiła osiemdziesiąt akrów wokół domu jako rezerwat dzikiej zwierzyny. Miasto rozwija się w szybkim tempie i proszę mi wierzyć, że gdyby było więcej takich osób jak pani Warren, może udałoby się ocalić resztki piękna natury. - Wielebny ojcze, chciałbym prosić o dwie przysługi.**

**- Tak? - spytał pastor, przyglądając mi się z zaciekawieniem. - Po pierwsze, jeśli zobaczy ojciec Pete'a, zanim go znajdę, proszę mu nie mówić o naszej rozmowie. Gdyby się dowiedział, że chcę go zobaczyć, mogłoby go to wzburzyć i skłonić do wyjazdu z miasta.**

- Wasza kłótnia była aż tak poważna?
- Trudno o poważniejszą. Muszę go podejść we właściwy sposób i w odpowiednim czasie. - A druga przysługa?
- Proszę mi powiedzieć, gdzie leży farma pani Warren.

Przejechawszy trzy kilometry wiejskim traktem na południe od miasteczka dotarłem do krzyżówki i skręciłem w lewo. Tak jak mówił pastor, brukowana droga zmieniła się w żwirową. Spod kół tryskały fontanny piachu, które zasłaniały mi widok we wstecznym lusterku. Patrzyłem gorączkowo przed siebie. Miałem nadzieję, że z przeciwka nie nadjeżdża żaden samochód. Okolica była pagórkowata i na szczycie każdego wzniesienia drżałem, że nagle ukaze się wóz, za którego kierownicą będzie siedział on. Może nie zwróciłby na mnie uwagi, może zerknąłby tylko przelotnie w moją stronę, ale nie mogłem wykluczyć, że jest czujny na wszystko. Wiedziałem, że z brodą wyglądam inaczej. Ale gdyby rozpoznał mnie albo volvo (Chryste, dlaczego nie przyjechałem innym samochodem?), straciłbym przewagę płynącą z zaskoczenia. Szansa odnalezienia Kate i Jasona stopniałaby do minimum. Przepełniona koszula lepiała mi się do piersi. Z lewej strony, zgodnie z tym, co mówił pastor, zobaczyłem rozległy las z gęstym zielonym poszyciem. Minąłem skrzynkę na listy koło zamkniętej bramy. Dalej droga wiodła w głąb lasu. Tam stał dom, z którego

okien pani Warren obserwowała sarny, wiewiórki i inne "boże dzieci" -jak je nazywała - harujące wokół leśniczówki. Jechałem dalej, uradowany, że nikogo nie zobaczyłem, a więc i mnie nikt nie dostrzegł. Za samochodem unosił się tuman kurzu. Jednocześnie przez cały czas dręczyła mnie myśl, że nie natknąłem się na Peteya, ponieważ gdzieś się wyprowadził. Tak, na Peteya.

Na obu kompletach zdjęć widoczny był ząb o poczwórnym korzeniu, którego odnogi rozrastały się w bardzo charakterystyczny sposób. U dziecka były znacznie mniejsze niż u dorosłego, lecz nie ulegało dla mnie wątpliwości, że fotografie ukazują dokładnie to samo. Nie, nie polegałem bezkrytycznie na swojej ocenie. Zanim wyruszyłem na objazd kościołów, z samego rana udałem się do gabinetu dentystycznego. Podjąłem trochę gotówki w pobliskim banku i zapłaciłem dentyście sto dolarów za to, żeby przyjął mnie poza kolejnością i przyjrzał się obu zdjęciom. Lekarz potwierdził moje przypuszczenia: obie fotografie przedstawiały uzębienie tego samego człowieka, tyle że w różnych okresach życia. Mężczyzna, który podawał się za mojego brata, mówił prawdę. FBI się myliło. To nie Lester Dant podszywał się pod Peteya, lecz odwrotnie: Petey przywłaszczył sobie tożsamość Lestera. Niesamowite odkrycie niczego jednak nie wyjaśniło, a wprost przeciwnie - uwolniło tylko lawinę pytań, które doprowadzały mnie niemal do obłądu. Jedno przynajmniej było jasne. Petey

**naprowadził policję na fałszywy trop, kierując pogoń z Montany na zachód, a sam pojechał w przeciwnym kierunku: do Woodford. A ponieważ nie musiał już zacierać śladów, porzucając ukradzione samochody, nie było mu trudno umknąć. Wystarczyło, że porwał wóz z rejestracją odległego stanu. Kierowcy nie oczekiwano w domu przez kilka dni, a zanim ktoś zgłosił zaginięcie, Petey zdążył dotrzeć do farmy pani Warren i ukryć samochód. Po drodze zmienił kilka razy tablice rejestracyjne, a ciała właściciela wozu pozbył się gdzieś dyskretnie. Pani Warren. Był pewien, że zdoła ją nastraszyć, bo udało mu się to rok wcześniej. Proboszcz wspomniał, że Petey był pracownikiem pani Warren i że kobieta tylko raz opuściła niedzielne nabożeństwo: było to dwa lata temu, rok przed porwaniem Kate i Jasona. Musiał zrobić starszej pani coś tak strasznego, że nie była w stanie pójść do kościoła. Pastor zadzwonił do niej, przekonany, że tylko jakaś niezwykła okoliczność mogła ją zatrzymać. Pani Warren twierdziła, że ma grypę. W następną niedzielę znów zjawiała się na nabożeństwie. Powiedziała wtedy, że jej pracownik się wyprowadził. Telefon proboszcza prawdopodobnie uratował pani Warren życie. Petey pomyślał, że pastor coś podejrzewa, więc postanowił zniknąć. Ale dlaczego starsza pani nie powiedziała nikomu, o tym co się stało? Odpowiedź nasuwała się sama. Podobnie jak pani Garner z Loganville, wstydziła się przyznać przed mieszkańcami miasteczka. Poza tym Petey z pewnością nie**

omieszkał zagrozić, że wróci i ją zabije. I ku jej przerażeniu rok później rzeczywiście wrócił. Możliwe, że zdołał zataić przed nią obecność Kate i Jasona. Tak czy inaczej, koszmar zaczął się na nowo. Petey nastraszył panią Warren tak bardzo, że zapisała mu w spadku dom i ziemię. On jest dla mnie jak syn, zwierzyła się notariuszowi z udaną szczerością. Pewnie przedtem musiała ćwiczyć, żeby słowa zabrzmiały przekonująco. Jej prześladowca stał tuż obok i asystował przy podpisywaniu dokumentów. Wcześniej zagroził, że jeśli spróbuje wystąpić przeciwko niemu, zamieni resztę jej życia w piekło. Potem więził ją w domu, rozpuszczając po parafii pogłoski, że starsza pani nie czuje się zbyt dobrze. Dlatego ludzie nie zdziwili się, kiedy umarła. W końcu, jak powiedział pastor, miała już swoje lata. Może zmarła którejś nocy we śnie... Z poduszką na twarzy. Wracając do miasta, zadzwoniłem z komórki do agenta Gadera, ale recepcjonistka oznajmiła, że musiał wyjechać na kilka dni. Zatelefonowałem więc do biura Payne'a. Nagranie na sekretarce informowało, że detektywa nie będzie do końca tygodnia. Miałem przeczucie, że wyniki biopsji nie okazały się pomyślne. Pozostała mi więc miejscowa policja. Kiedy jednak zaparkowałem przed komendą (mieszczącą się w tym samym co kiedyś budynku z cegły), ze zgrozą wyobraziłem sobie funkcjonariuszy pędzących radiowozami do domu pani Warren. Bałem się, że jeśli Petey zauważy ich przedwcześnie, ucieknie tylnym wyjściem.

**Istniała możliwość, że nigdy bym się wtedy nie dowiedział, co zrobił z Kate i Jasonem. A nawet gdyby policja go schwytała, mógłby odmówić odpowiedzi na ich pytania. Twierdzić, że nie wie, gdzie się podziewającego więźniowie. Oni tymczasem umarliby gdzieś z głodu albo się udusili. Przemyśl to, powiedziałem sobie. Potrzebowałem więcej informacji. Nie mogłem nasłać na Peteya policjantów, dopóki nie wiedziałem dokładnie, jak powinni działać.**

**Kobieta pilotująca samolot powiedziała coś, lecz jej słowa zagłuszył warkot silnika awionetki. - Słucham? - Woodford jest tam.**

**Posłusznie podążyłem spojrzeniem za jej palcem. Na dole w stronę autostrady rozciągał się gąszcz niskich zabudowań, nowych i starszych.**

**Szczególny nacisk w głosie kobiety zaskoczył mnie.**

**- Nie rozumiem.**

**- Powiedział pan, że chce zobaczyć, jak rodzinne miasteczko wygląda z lotu ptaka.**

**- Mniej więcej.**

**- Raczej mniej niż więcej. Ledwie pan spojrzał w tamtą stronę. Tak naprawdę interesują pana farmy. Zbliżyliśmy się do osiemdziesięcioarowej połaci lasu i zarośli. Dzień był słoneczny, lecz wiał lekki wiatr. Samolot raz po raz nieznacznie opadał. - Jest pan przedsiębiorcą budowlanym, prawda?**

**- Słucham?**

**- W ciągu ostatnich pięciu lat powstało tu dużo nowych inwestycji. Gdzie nie spojrzeć, buduje się coś nowego.**

**Nie miałem nic przeciwko temu, żeby uważała mnie za poszukiwacza atrakcyjnych gruntów. Lepsze to niż prawda. -Tak, zbyt gwałtowne zmiany mogą być męczące.**

**Spojrzałem na gęsty las i dojazd prowadzący od zwirowej drogi. Na około trzydziestometrowej polanie stał dom z cegły. Dostrzegłem trawnik i ogród. Przed lotem zaopatrzyłem się w kieszonkowy aparat z obiektywem powiększającym. Teraz nadeszła pora, żeby go użyć. Zacząłem robić zdjęcia.**

**W hotelowym pokoju rozłożyłem zdjęcia na stole. Zapłaciłem fotografowi, żeby został po godzinach i je wywołał. Było już po zmroku, ciążyły mi powieki. Żeby nie przysnąć, włączyłem telewizję CNN i przy wtórze głosu spikera, ze szkłem powiększającym w rękę pochylilem się nad fotografiami, lekko zamazanymi z powodu wibracji samolotu. Było na nich jednak to, o co mi chodziło. Jedna rzecz natychmiast rzucała się w oczy. Nikt by tego nie dostrzegł z poziomu gruntu, gdyż nie objąłby jednocześnie wzrokiem całego obszaru wokół domu. Lecz zdjęcia zrobione z lotu ptaka pokazywały wyraźnie, że trawnik i ogród na tyłach budynku są lekko obniżone w stosunku do pozostałej części terenu. Całkiem niedawno ktoś musiał włożyć w to dużo pracy. Ziemia osiadła? Dzieje się tak zawsze w**

przypadku podziemnego wykopu. Spiker informował właśnie, że w Los Angeles uzbrojony w pistolet mężczyzna więzi swoją byłą żonę i córkę. Oddział szturmowy policji otoczył budynek. Przyjrzałem się uważniej zdjęciom i nabrałem pewności, że część trawnika i ogrodu za domem rzeczywiście położona jest niżej. Koło wejścia parkowała niebieska półciężarówka; przez środek lasu wił się strumyk. Moją uwagę szczególnie przyciągał jednak teren na tyłach domostwa. Trawa wydawała się tu zieleńsza, a krzewy bujniejsze, jak gdyby poświęcano im więcej uwagi niż roślinności w innych częściach posesji. Odłożyłem lupę i spróbowałem się uspokoić. Policja powiedziała, że nie ma nic podejrzanego w kształtowaniu otoczenia domu. Ktoś usunął zeschniętą trawę i krzewy i zastąpił je świeżymi roślinami. A jeśli zrobił to, ponieważ w tym miejscu kopał pod ziemią? Spiker oznajmił, że porwanie zakończyło się tragicznie. Gdy policja ruszyła do ataku, mężczyzna zastrzelił córkę i byłą żonę, a później siebie. Spojrzałem na ekran.

Popełniłem błąd, przejeżdżając obok posesji pani Warren samochodem Kate. Petey mógł rozpoznać volvo. Tym razem zostawiłem wóz na parkingu centrum handlowego na przedmieściach, założyłem plecak i dalej ruszyłem pieszo. Układ dróg dzielił ziemię uprawną na charakterystyczne dla środkowego zachodu kwadraty i prostokąty. Aby nie zbliżać się do domu pani Warren od frontu,

wybrałem trasę o kilka mil dłuższą, lecz dzięki temu mogłem wejść do lasu z drugiej strony. W palącym słońcu bydło skubało trawę na pastwiskach. Mijałem pracujących na polach farmerów. Założyłem czapkę baseballową na bakier, a kaburę przesunąłem nieco do tyłu, żeby nie przeszkadzała w marszu. Chciałem wyglądać jak beztroski turysta. W rzeczywistości paliło mnie rozpaczliwe pragnienie, żeby ruszyć pędem przed siebie. Adrenalina zbierająca się w żyłach żądała ostrego wysiłku. Bałem się, że oszaleję, jeśli w jakiś sposób nie dam ujścia rosnącemu napięciu. Z prawej strony, za miedzą, ciemniała ściana lasu. Już blisko do Kate i Jasona. Oni żyją, powtarzałem sobie. Muszą żyć. Nie chciałem, aby ktoś zobaczył, że zmierzam w tamtym kierunku, więc poczekałem, aż przejeżdżający samochód zniknie za zakrętem. Strumień, który widziałem na zdjęciach, wił się wśród pól. Zszedłem nad wodę. Brzegi były na tyle wysokie, że posuwając się z jego biegiem, pozostawałem niewidoczny. Mimo palącego słońca powietrze było tu rześkie. Po pięciu minutach marszu dotarłem na skraj lasu. Prześliznąłem się pod płotem, wspiąłem na wysoki brzeg i znalazłem się między klonami, dębami i wiązami. Trochę mnie niepokoiło, że robię tak dużo hałasu, ale i tak chyba nikt nie mógł mnie usłyszeć. Przecież Petey nie zajmowałby się patrolowaniem ogrodzenia w obawie przed intruzami. Logicznie rzecz biorąc, powinien być w domu. A może popełnia właśnie kolejną zbrodnię gdzieś daleko stąd? W cienistym lesie od

wilgotnej warstwy opadłych liści biła dusząca woń zgnilizny. Otarłem spoconą twarz, zdjąłem plecak i wyciągnąłem przymocowaną do grubego pasa kaburę. Zapasowy magazynek na piętnaście naboji umieściłem razem z dwoma innymi w kieszeni po prawej stronie. Obok spoczywał nóż myśliwski i dziesięciocentymetrowa latarka grubości kciuka, wyjątkowo silna jak na swój rozmiar. Na koniec wydobyłem pistolet i przełożyłem go do kabury. Od razu poczułem ciężar ekwipunku. Niepokój pobudzał pragnienie, więc napiłem się wody z jednej z trzech manierek, które miałem w plecaku. Zjadłem kawałek suszonej wołowiny i kilka garści orzeszków z rodzynkami. Poczulem potrzebę oddania moczu. Potem założyłem plecak i z kieszeni koszuli wyciągnąłem kompas. Rok temu nie zabrałem tego przyrzędu w góry, ale od tego czasu nauczyłem się już nim posługiwać. Mając w pamięci zdjęcia wykonane z samolotu, mogłem wybrać odpowiedni kierunek marszu. Ruszyłem między drzewami na południowy wschód. Bez przerwy nasłuchiwałem, starając się wychwycić wszelkie podejrzone odgłosy. Szelest mógł oznaczać skradającego się Peteya, ale okazało się, że była to tylko wiewiórka, która wspinała się po pniu. Przestraszył mnie chrzęst łamanej gałązki; obejrzawszy się, zobaczyłem uciekającego królika. Ptaki przelatowały z jednego drzewa na drugie. Uważnie przyjrzałem się zaroślom, zerknąłem na kompas i ostrożnie ruszyłem naprzód. Zatrzymawszy się ponownie, żeby

zaspokoić pragnienie, spojrzałem na zegarek i westchnąłem ze zdziwienia. Wydawało mi się, że maszeruję około trzydziestu minut, a w rzeczywistości były to dwie godziny. Miałem wrażenie, że powietrze staje się gęściejsze; przepocona koszula i dżinsy lepiły się do skóry. Zrobiłem jeszcze jeden krok i przykucnąłem gwałtownie, widząc, że las rzednie. Na brzuchu poczołgałem się przez zarośla; duszny zapach ziemi bezlitośnie atakował nozdrza. Brnąłem naprzód powoli, unikając potrącania krzaków, bo zdradziłoby to moje położenie. Często projektowałem domy zamożnych ludzi, dzięki czemu wiedziałem o istnieniu detektorów ruchu. Wypatrywałem czujników na słupach bądź drutów przyczepionych do sensorów drgań. Nie zauważyłem jednak na swej drodze niczego podejrzanego. Przyszło mi do głowy, że w gruncie rzeczy urządzenia takie byłyby bezużyteczne w lesie, gdzie ciągle przemyka tyle zwierząt. Nagle uzmysłowiłem sobie, że od pewnego czasu nie widziałem żadnego żywego stworzenia. Stała mi przed oczami farma Dantów, gdzie towarzyszyło mi to samo poczucie osamotnienia. Węże? Uważnym spojrzeniem obrzuciłem teren przede mną. W trawie nic się nie poruszało. Zaczerpnąwszy głęboko tchu, zacząłem ostrożnie posuwać się w stronę domu. Drzewa rosły tu rzadziej, podobnie jak krzaki. Przez ich zasłonę widziałem polanę, trawnik i ogród kwiatowy. Pośrodku polany stał dom z czerwonej cegły.

Zbliżałem się do niego z prawej strony. Ścianę piętrowego budynku porastał bluszcz. Na trawniku białe drewniane meble ogrodowe. Tuż obok dojrzałem kolorowy miniaturowy wiatrak. Wyjąłem z plecaka lornetkę i upewniłem się, że promienie słońca nie odbijają się od szkieł. Ustawivszy ostrość, skierowałem lornetkę na okna. Za koronkowymi firankami panował martwy spokój. Na fotografii samochód stał po drugiej stronie domu, więc żeby sprawdzić, czy tam jest, musiałbym przeczołgać się za róg. Pełzłem, trzymając się możliwie blisko ziemi. Znajdowałem się teraz na wprost tylnej ściany domu. W oknach nadal nie dostrzegałem żadnego ruchu. Przyjrzałem się otwartej przestrzeni, która z poziomu gruntu wydawała się nachylona w sposób naturalny. Nie było stąd widać minimalnej wklęsłości, tak wyraźnej na zdjęciach lotniczych. Niczego nie podejrzewający przybysz nie zauważyłby tu nic osobliwego poza tym, że trawnik i ogród są wyjątkowo starannie utrzymane. Podejrzywałem, że jeśli istotnie pod ziemią znajdują się jakieś pomieszczenia, Petey często podlewa i nawozi teren nad nimi, aby zrównoważyć niewielkie rozmiary korzeni roślin, które nie mogły się dobrze rozwinąć w płytkiej warstwie gleby. Jeśli faktycznie to robił, to dzisiaj wziął sobie wolne od pracy w ogrodzie, bo nigdzie nie było go widać. Dom i cała posiadłość sprawiały wrażenie opuszczonych. Zacząłem nieśmiało marzyć, że mam szczęście, że naprawdę Peteya nie ma w domu. Lecz gdy

**przeczołgałem się pod osłoną zarośli za narożnik, moje nadzieje rozwiały się boleśnie. Półciężarówka stała zaparkowana dokładnie w tym samym miejscu, co wczoraj po południu. Zły ruszyłem dalej. Widziałem teraz front domu ze zgrabnym ganeczkiem. Bujany fotel i hamak stwarzały wrażenie przytulnej swojskości. Jednak i tam nie było nikogo widać, więc znalazłem sobie kryjówkę, skąd mogłem obserwować część tylnej i bocznej ściany oraz samochód. Zdjąłem ostrożnie plecak, napiłem się wody, zjadłem trochę mięsa i orzeszków z rodzynkami. Czekałem.**

**Kilka godzin później nadal tkwiłem w tym samym miejscu. Słońce skryło się za koronami drzew. Mrok zgęstniał. Moje mięśnie naprężyły się, gdy zobaczyłem, że w oknie na parterze zapala się światło. Potem w sąsiednim pokoju i w jeszcze jednym. Wyteżyłem wzrok, starając się dostrzec ruch za firankami, lecz dom nadal wyglądał na opustoszały. Uznałem, że lampy zapalane są przez włączniki czasowe. Kiedy jednak rozbłysło światło na piętrze i na tle okna przesunęła się ciemna sylwetka, wstrzymałem na chwilę oddech. Cień mężczyzny. Tego byłem pewien. Widziałem go tylko przez moment, lecz szerokie ramiona i kanciaste ruchy świadczyły, że to nie mogła być kobieta. Kilkanaście sekund później ten sam cień pojawił się na dole. Podniosłem lornetkę, skierowałem na okna i nagle ujrzałem mężczyznę z brodą. Zwrócił się**

twarzą w moją stronę tylko na ułamek sekundy i wszedł do kuchni. To jednak wystarczyło. Nosił zarost, ale nie przeszkodziło mi to rozpoznać twarzy. Mocne ramiona i intensywne spojrzenie były widoczne nawet przez lornetkę. Mężczyzną był Petey.

Wracaj do domu, powiedziałem mu wieki temu. Zagiął na całe życie, ale później uczynił właśnie to, co mu kazałem. Wrócił do Woodford. Czy przejeżdżał samochodem koło domu, gdzie kiedyś mieszkaliśmy? Czy poszedł na boisko i rozpamiętywał tamto popołudnie, zastanawiając się, jakie byłoby jego życie, gdybym nie przegonił go za radą kolegów? Przestań myśleć w ten sposób, nakazałem sobie. Weź się w garść! Poczucie winy i żal nie zmieniają przeszłości. One są twoją słabością. Możesz przez nie zginąć. A razem z tobą Kate i Jason. Petey nie był już moim bratem.

Był wrogiem.

W pierwszym odruchu chciałem wyjść z ukrycia, zbliżyć się na wystarczającą odległość, zaczekać, aż stanie na tle okna i go zastrzelić. A jeśli chybię? Ręka drżała mi tak mocno, że nie mogłem tego wykluczyć. Co by się stało, gdyby Petey zauważył mnie, zanim zdążyłbym nacisnąć spust? Mógłby wykorzystać Kate i Jasona jako zakładników. A gdybym go zabił, a moich bliskich nie

byłoby tam, gdzie podejrzewałem? Strzelić tak, żeby go zranić? Skąd miałbym pewność, że rana nie okaże się poważniejsza, niż zamierzałem? Petey mógłby

skonać, zanim zdążyłbym go wypytać. Wówczas straciłbym szansę odnalezienia żony i syna. Zostań, gdzie jesteś, i przemyśl wszystko raz jeszcze. Jeśli wykonasz jeden fałszywy ruch, spłoszysz go tak samo, jak zrobiłaby to policja. A przecież tego właśnie się obawiałeś. Musiałem obserwować dom, musiałem poznać sposób postępowania Peteya. Mogę zadzwonić po policję, ale we właściwym czasie. Kiedy sytuacja rozwinie się dla mnie korzystnie. Jasne, tylko kiedy to, do licha ciężkiego, nastąpi? Wieczorne powietrze ochłodziło się i nasiąkło wilgocią; musiałem wyciągnąć z plecaka wełnianą koszulę. Niewiele pomogła. Obserwując wyraźnie widoczną sylwetkę Peteya przygotowującego w kuchni posiłek, przypomniałem sobie, że też powinienem coś zjeść. Nie miałem jednak apetytu. Czuję tylko nieprzyjemne pieczenie w żołądku. Musisz, powiedziałem sobie w myślach. Wsadziłem do ust kawałek mięsa i zacząłem przeżuwać bez zapału. Drugim daniem była garść orzechów i rodzynków, a na deser zjadłem trochę suszonych jabłek. Zamierzałem zabrać kanapki, ale przyszło mi do głowy, że się zepsują, a nie mogłem sobie pozwolić na zatrucie pokarmowe. Nie wiedziałem przecież, jak długo przyjdzie mi tkwić w lesie i obserwować dom. Właśnie dlatego zabrałem ze sobą trzy manierki wody. Musiałem ją oszczędzać, więc tylko kilkoma łykami popiłem suszone jabłka. Jak długo wytrzymaliby policjanci? Opędzaliby się od komarów. Drżeli z zimna, które coraz mocniej

przenikałoby przez wilgotne, przylepione do ciała spodnie. Marzyliby o gorącej kawie, ciepłym łóżku i dziewczynie, która na nich czeka. Rychło straciliby cierpliwość i przypuścili szturm na dom. Zapiąłem wełnianą koszulę aż po szyję, a i tak było mi chłodno. Podniosłem lornetkę. Przez okno za zasklepieniem w łuk przejściem widziałem kuchnię, gdzie Petey ciągle jeszcze przygotowywał posiłek. Po chwili jego sylwetka znikła. Mięśnie zeszywniały mi od długiego bezruchu, ręce i kark bolały od trzymania przy oczach lornetki. Mijały minuty. Zerknąłem na świecąca tarczę zegarka. Upłynął kwadrans, a potem pół godziny. Po godzinie nie mogłem już dłużej znieść ciśnienia w pęcherzu. Wycofałem się na czworakach, zatrzymałem wśród drzew i oddałem mocz na klęczkach, starając się robić jak najmniej hałasu. Ledwie wróciłem na pozycję obserwacyjną, zgasło światło w kuchni. Znieruchomiałem, patrząc jak cień Peteya przesuwają się z jednego pokoju na parterze do drugiego. Gasły kolejne światła. Po kilkudziesięciu sekundach pociemniało okno jednego z pokoi na piętrze. Przez godzinę wpatrywałem się w ostatni jasny prostokąt na samej górze, a potem i on zniknął. Niebo zaciągnęło się, chmury przesłoniły gwiazdy i księżyc. Dom tonął w mroku. Objąłem się ramionami, starając się zachować jak najwięcej ciepła. Powieki zaczynały mi nieznośnie ciążyć. Nie pozwalałem im opaść, spoglądając to na dom, to na ciemny trawnik, pod którym uwięzieni byli Kate i Jason. Nie miałem co do tego wątpliwości. Tak

**blisko. Muszę się do nich dostać. Muszę... Powieki ważyły już kilogramy. Osunąłem się na ziemię i zasnąłem.**

**Trzasnęły drzwi, wyrywając mnie z koszmaru, w którym ktoś mnie chłostał. Otworzyłem raptownie oczy i uniosłem głowę, by przez gałęzie krzewów zobaczyć, co się dzieje w domu. Chmury znikły, od szyb w oknach odbijały się promienie słońca. Blask poraził mnie, potęgując ból w skroniach. Niebo było czyste, lecz wczorajszy lekki wietrzyk przybrał na sile i poruszał liśćmi krzaków i drzew. To pewnie ich miarowy szum sprowadził na mnie senny koszmar z chłostą. Spojrzałem na tyły domu, skąd dobiegł odgłos zamykanych drzwi. W polu widzenia ukazał się Petey, ubrany w jasnozieloną koszulę kontrastującą z jego ciemną brodą. Znałem tę koszulę. Jeszcze rok temu należała do mnie. Wiatr targał mu gęste ciemne włosy. Petey rozejrzał się, skierował wzrok na las, po czym zdjął wąż z haka na ścianie i ruszył do ogrodu. Podlewał starannie rosnące tam krzewy, co potwierdziło moje podejrzenia, że rośliny mają w tym miejscu krótkie korzenie i wymagają szczególnej opieki. Chwilami podmuchy wiatru ciskały kroplami wody w Peteya. Wyraźnie go to zirytowało. Rzucił wąż, zakręcił zawór i wrócił do domu. Odbijające się od szyb promienie słońca uniemożliwiały mi obserwację tego, co się dzieje w środku. Po pół godzinie miałem tak wysuszone usta, że sięgnąłem po manierkę.**

Znieruchomiałem jednak, usłyszawszy trzaśnięcie drzwi, tym razem od frontu. Petey wyszedł na ganek. Zamienił przemoczoną zieloną koszulę na szarą. Ona też należała kiedyś do mnie. Podniósł głowę, jak gdyby węsząc w powietrzu. Oto, czym stał się mój brat: zwierzęciem, które wszędzie wietrzy niebezpieczeństwo. Przeze mnie. Przestań tak myśleć, powiedziałem sobie po raz kolejny. Zszedł po schodach i okrążył dom. Serce zabiło mi szybciej, gdy wsiadł do półciężarówki i zapiął pas. Samochód stał zwrócony w moją stronę. Zanim ruszył i skręcił, mignęła mi przez szybę broda Peteya i jego czujne oczy. Wzniecając tuman kurzu, niebieska półciężarówka wyjechała na drogę i po chwili znikła wśród smaganych wiatrem drzew. Czyżby umysł płatał mi głupie figle? Czy naprawdę byłem świadkiem tego, co tak bardzo chciałem zobaczyć? Warkot motoru zamierał w oddali. Przez kilka ciągnących się jak wieczność minut nie ruszałem się z miejsca. Może Petey pojechał tylko zajrzeć do skrzynki na listy i za chwilę wróci. A może podejrzewa, że ktoś obserwuje dom i tylko udaje, że się oddalił, aby wywabić intruza z kryjóWKi. Gdy tylko wyjdę na odkryty teren, strzeli do mnie zza jakiegoś drzewa. Słońce wznosiło się wyżej i wyżej, wiatr coraz mocniej targał gałęziami krzaków, w których się ukryłem. Nie czułem jednak, żeby mnie chłodził.

Wprost przeciwnie: poranek wydawał się nadzwyczaj ciepły. Strużki potu zasychały

**natychmiast na moich oblepionych kurzem policzkach. Zerknąłem nerwowo na zegarek; upłynął kwadrans. Jeśli Petey pojechał do skrzynki, powinien do tej pory wrócić. Przyglądałem się bacznie leśnej gęstwinie, osłaniającej przed moim wzrokiem drogę dojazdową. Poruszający liśćmi wiatr nie pozwolił mi wypatrzeć żadnego ruchu, który zdradziłby miejsce, gdzie przyczał się Petey. Spojrzałem na krzewy za domem. Pora wezwać policję, pomyślałem. Jednak sięgając po komórkę, uświadomiłem sobie, że jeśli Petey obserwuje dom z kryjówki w lesie, mógłby mnie usłyszeć, gdyby wiatr, zamiast zagłuszyć moje słowa, poniósł je wprost do niego. A jeśli Petey nie mieszka sam? Jeśli w domu jest ktoś jeszcze, kto zauważy, jak rozmawiam przez telefon? Żeby się przed tym zabezpieczyć, musiałbym wycofać się kilkadziesiąt metrów w głąb lasu, ale wtedy straciłbym z oczu dom i nie wiedział, co się stało pod moją nieobecność. Słońce na tyle przesunęło się po nieboskłonie, że promienie nie odbijały się już od szyb, za którymi panował martwy spokój. Wczoraj wieczorem nie dostrzegłem nikogo oprócz Peteya. Czy mogę bezpiecznie zakładać, że mieszka sam? Policja nie zdąży tu dotrzeć przed jego powrotem. Do licha, to może być moja jedyna szansa. Czołgając się, ruszyłem ku tyłom budynku. Jeśli Petey obserwuje front domu spomiędzy drzew, nie zobaczy mnie. Dotarłem na skraj polany. Jeszcze raz spojrzałem w okna, wypatrując ruchu. Następnie sięgnąłem po pistolet i wybiegłem na otwartą**

przestrzeń. Uderzył mnie podmuch wiatru. Skryłem się za krzakiem bzu, a potem skoczyłem ku altanie pokrytej pnączami winogron. Rozejrzałem się i desperacko rzuciłem naprzód. Po chwili przywarłem plecami do rozgrzanej słońcem ściany. Do tylnych drzwi prowadziły schody. Wspiąłem się po nich szybko i ostrożnie zajrzałem przez okno do środka. Za koronkowymi firankami majaczyły niewyraźne kontury szafek, zlewozmywaka i kuchenki z prawej strony, a z lewej sklepionego w łuk wejścia i lodówki. Przy niewielkim stole stało tylko jedno krzesło, co sugerowało, że Petey mieszka sam. Obawiałem się, że może mieć psa, na przykład pitbulla, wytresowanego tak, by atakował dopiero, gdy intruz przekroczy próg domu. Takie zabezpieczenie byłoby logiczne z punktu widzenia Peteya, lecz im dłużej o tym myślałem, tym bardziej wątpiłem. Obserwowałem dom od ponad dwunastu godzin, a przez ten czas Petey musiałby choć raz wypuścić zwierzę. Mógł je wyprowadzić, kiedy spałem, ale czy wówczas pies nie zwietryłby mnie? I czy -jeśli Petey nie sprzątał pedantycznie - nie zauważyłbym psich odchodów na trawniku? Poza tym pies znacznie ograniczał swobodę ruchów, właściwie uniemożliwiając przebywanie dłużej poza domem. Petey mógł zostawić Kate i Jasona zamkniętych w piwnicy, zaopatrzywszy ich w zapas jedzenia. Trudniej byłoby w ten sam sposób rozwiązać problem karmienia brytana, nie wspominając o bałaganie, jaki zwierzę by zrobiło. Utwierdzałem się w

przekonaniu, że Petey nie ma psa. Gdybym jednak mimo wszystko się mylił, byłem gotów zabić czworonoga. Nacisnąłem klamkę. Jak należało się spodziewać, drzwi były zamknięte na klucz. Zamierzałem wybić szybę i otworzyć zamek, sięgnąwszy ręką do środka. Przesunąłem się nieco, aby rzucić okiem na otoczenie drzwi. Widziałem rygiel. Po stłuczeniu szyby wystarczyło przekręcić go i... Tylko architekt albo ktoś z branży budowlanej zwróciłby na to uwagę. Zamek był bezsprężynowy, taki, jakie polecałem swoim klientom. Z zewnątrz można go było otworzyć tylko za pomocą klucza. Lecz od środka zamek taki otwiera się na dwa sposoby, w zależności od tego, jak został zamontowany. Jeśli nie było niebezpieczeństwa, że ktoś sięgnie doń przez okno, wygodniejszy był rygiel przekręcany. Ale jeśli drzwi miały szybę, zwykle wykorzystywano wariant z rygłem na drugi klucz. Dzięki temu nie można było otworzyć drzwi, wsunąwszy ręką do środka przez okienko. Czy Petey zaopatrzyłby się w doskonały zamek, a później zadowolił gorszym wariantem montażu? Z drugiej strony trudno wykluczyć, że zabezpieczenie drzwi pochodziło jeszcze z czasów pani Warren. Ale czy Petey, który miał wszelkie powody do zachowania najwyższej ostrożności, pozwoliłby sobie na podobne niedopatrzenie? Raczej nie. Zaniepokoiło mnie coś jeszcze. Drzwi zostały ustawione w taki sposób, że otwierały się prosto na szafkę, a nie na otwartą przestrzeń. Było to niewygodne rozwiązanie, które

nie pozwalało na ich pełne odemknięcie, a w przypadku gwałtownego ruchu groziło uszkodzeniem mebli. Kolbą pistoletu ostrożnie wybiłem szybę, a następnie chwyciłem za firankę i zerwałem ją, zyskując widok na kuchnię, a przynajmniej jej część. Teraz potrzebowałem jakiegoś długiego kija. Obłamałem martwą gałąź z krzaka i obdarłem z mniejszych porostów. Potrzebowałem właśnie suchej gałęzi, bo jest sztywniejsza od świeżej. Wspiąwszy się z powrotem na schody, zerknąłem do kuchni przez rozbite okno. Ostrożnie, aby nie wysunąć głowy ani rąk poza framugę, nacisnąłem kijem krawędź gałki rygla. Skobel przesunął się z metalicznym szczęknięciem. Ściskając pistolet w dłoni, przekręciłem klamkę i popchnąłem drzwi. Potworny huk sprawił, że odskoczyłem na pół metra. W płycie drzwi ziała ogromna dziura o poszarpanych krawędziach. W uszach dudniło mi boleśnie, nozdrza wypełniała ostra woń prochu. Odetchnąwszy głęboko, powoli wsunąłem głowę do środka i rozejrzałem się. Z lewej strony znajdowało się otwarte wejście do spiżarni. Do spustu strzelby przytwierdzonej na krawędzi stołu przywiązany był gruby sznur biegnący do bloku z tyłu, potem do drugiego bloku, a stamtąd po suficie do metalowego haka w górnym narożniku drzwi wejściowych. Napięcie linki zostało tak wyliczone, że strzelba wypalała dopiero wówczas, gdy drzwi uchyliły się na pewną szerokość i intruz znalazł się w polu rażenia. Spoglądając na olbrzymią

wyrwę w drewnianej płaszczyźnie, mogłem sobie wyobrazić, co by się stało, gdyby pocisk dosięgnął celu. Nie mogłem jednak zastanawiać się nad tym zbyt długo. Nadal nie miałem pewności, że Petey nie trzyma w domu psa. Wymierzyłem broń w kierunku łukowatego przejścia po lewej stronie. W uszach słyszałem tylko dzwonienie. Ani śladu żadnego żywego stworzenia. Powoli przestąpiłem próg.

Wiatr przybrał tymczasem jeszcze bardziej na sile. Gdy zamknąłem drzwi, podmuch wdarł się przez rozbitą szybę i nieregularną wyrwę w deskach. Zależało mi na pośpiechu, ale nie mogłem posuwać się zbyt szybko. Kiedy mijalem stół, mój instynkt architekta znów dał znać o sobie. Do kuchni można było się dostać tylko przez sklepione wejście. To bez sensu. Powinny być drugie drzwi, prowadzące do schodów na piętro. Przy takim układzie pomieszczeń, aby znaleźć się w kuchni, należało przejść przez hol i pokoje po drugiej stronie domu. Pani Warren, osoba w podeszłym wieku, nie zniosłaby takiej niewygody. Ściana na wprost przejścia budziła moje podejrzenia. Logicznie rzecz biorąc, powinny się tam znajdować drzwi. Dlaczego więc ich nie było? Podeszedłem bliżej. Od razu dostrzegłem ledwie zauważalną różnicę między wykończeniem tej ściany i sąsiedniej. Biała farba była tu odrobinę jaśniejsza. Wydawało się też, że tynk jest nieco gładszy. Czyżby ktoś zamurował drzwi, żeby odciąć wejście do holu? Czy zrobił to

**Petey? I po co? Nawet młodemu mężczyźnie określona droga do kuchni nie ułatwiała życia. Dlaczego świadomie zdecydował się na takie rozwiązanie? Odpowiedź mogła być tylko jedna: żeby skierować ewentualnego włamywacza określoną drogą. Zastawił więcej pułapek. Oczywiście. W kuchni nie było drzwi prowadzących do piwnicy. Musiały się znajdować w holu. Ale żeby do niego dotrzeć, należało przejść przez pozostałe pomieszczenia. Przy wtórze wyjącego wichru zerknąłem do pokoju po lewej stronie. Szczotka, którą znalazłem koło lodówki, posłużyła mi za zabezpieczenie. Wsunąłem ją w przejście i poruszałem w górę, w dół i na boki, aby sprawdzić, czy znowu nie uruchomię jakiejś broni. Nic się jednak nie działo. Kijem szczotki nacisnąłem dywan. Podłoga sprawiała wrażenie solidnej. Wszedłem do jadalni, zlustrowałem wzrokiem długi stół, krzesła i boazerię; nie zauważywszy pułapek, ruszyłem w stronę kolejnych drzwi. Stare wyściełane fotele, sofa. W czasach pani Warren był to zapewne salonik. Pomacałem szczotką następny odcinek dywanu i zrobiłem krok przed siebie. Posadzka ustąpiła pod moim ciężarem. Żołądek podskoczył mi do gardła. Rzuciłem się do przodu, uderzając piersią w krawędź zapadni. Pistolet i szczotka wypadły mi z dłoni, którymi kurczowo chwytalem się drewnianej podłogi. Palce się ześliznęły. Zawisłem z nogami w powietrzu. Przerażony spojrzałem w dół. Pode mną jeżyły się noże, ustawione na sztorc co osiem**

centymetrów, tak że nie było możliwości, spaść i się nie zranić. Dywan został przymocowany za jeden koniec do podłogi, dzięki czemu nie zsunąłby się wraz ze mną na wystające ostrza. Nawet gdybym nie zginął od razu, wykrwawiłbym się na śmierć. Ból przeszył mi ramiona, gdy próbowałem się wydzwignąć. Ale przecież sprawdziłem posadzkę! Jak to możliwe, że dałem się nabrać? Zapadnia musiała być tak skonstruowana, aby uruchomić się dopiero pod odpowiednim naciskiem. Petey omijał ją, przechodząc z jednego pokoju do drugiego. Ogromnym wysiłkiem zdołałem się podciągnąć, oprzeć łokcie na krawędzi zapadni i wygramolić na powierzchnię. Leżałem na plecach, dysząc chrapliwie. Słuchałem wycia wiatru i próbowałem uspokoić nerwy. Przypomniałem sobie, że Petey może wrócić lada chwila.

Sięgnąłem po pistolet i szczotkę, które zgubiłem podczas upadku. Zaraz jednak uświadomiłem sobie, że mogą mi grozić jeszcze inne niebezpieczeństwa. Starając się kontrolować przyspieszony oddech, omiotłem czujnym spojrzeniem podniszczone meble, sufit i kąty pokoju. Nie zauważyłem niczego podejrzanego. Wyjrzałem ostrożnie na drogę prowadzącą w głąb lasu. Niebieskiej półciązarówki nie było widać. Rusz się, popędziłem siebie. Świadomy, że mogą na mnie czyhać kolejne pułapki, szedłem teraz, popychając przed sobą krzesło. Przejście po prawej stronie prowadziło do holu, skąd schody wiodły na górę. Na intruza oczekiwał tam

**kolejny samopał, skierowany lufą w stronę drzwi wejściowych. Gdyby ktoś je otworzył, wielkokalibrowy pocisk rozerwałby go na pół. Petey z łatwością mógł przywiązać linkę do haka przed zamknięciem drzwi, a wracając uchylić je delikatnie, żeby sznurek nie pociągnął za spust. Jednak każdego, kto nie wiedział o pułapce, czekała niechybna śmierć. Czy odkryłem już wszystkie niebezpieczeństwa? Wyteżonym wzrokiem badałem korytarz. Moją uwagę zwróciły drzwi pod schodami. Byłem pewien, że prowadzą do piwnicy. Kate i Jason musieli się znajdować kilkadziesiąt metrów ode mnie. Podłoga wyglądała solidnie i nie było na niej dywanu. Mimo to posuwałem się centymetr po centymetrze tuż przy ścianie. Dotarwszy na miejsce, dotknąłem ostrożnie klamki. Poruszyła się łatwo, ale mogła to być następna pułapka. Wyciągnąłem zza paska latarkę, uchyliłem drzwi i przesunąłem snop światła w górę i w dół w poszukiwaniu sznura. Nie mogłem przebić wzrokiem ciemności. Ostrożnie rozwarłem drzwi szerzej. Poczulem gorzkawy zapach przypominający kamforę. Naftalina. Światło latarki wydobyło z mroku płaszcz i sukienki na wieszakach. Garderoba. Z furją dźgałem kijem szczotki między ubraniami. Ostukałem podłogę i ściany. Bez rezultatu. Gdzie może być wejście do piwnicy? Pospiesz się! Przymyślałem sobie wczorajsze zachowanie Peteya. Gotował coś, a potem zniknął mi z pola widzenia.**

**Uznałem, że jadł w niewidocznej dla mnie części kuchni. A jeśli zaniósł posiłek Kate i Jasonowi? Prosto z kuchni? Ale jak to możliwe? Przecież nie było tam drzwi do piwnicy. Nagle zrozumiałem. Mimo pośpiechu, starając się nie zapominać o ostrożności, ruszyłem z powrotem. Zatrzymałem się tylko na chwilę, aby zerknąć przez okno, czy z lasu nie wyjeżdża półciężarówka Peteya. W drodze do kuchni ominąłem otwartą zapadnię. Spizarnia. Postukałem w ściany, obwieszone półkami z zapasem puszek. Nic podejrzanego. Zerknąłem na podłogę. Już wiedziałem. Chwyciłem blat, do którego przymocowana była strzelba. Odsunąwszy stół, ujrzałem zarys klapy zaopatrzonej w kółko. Pociągnąłem ją z całych sił. W mrok otwartej czeluści zstępowały drewniane schody.**

**- Kate! Jason! Echo powtórzyło imiona. Żadnego odzewu.**

**Ustawiłem blat tak, że gdyby klapa do piwnicy opadła przypadkowo, zablokowałaby się i nie zamknęła. Skierowawszy latarkę w ciemność, ujrzałem włącznik na słupie pięć stopni niżej. Sprawdziłem nogą pierwszy schodek i zszedłem powoli, żeby zapalić światło. Uważaj, powiedziałem sobie. Petey nie zostawiłby piwnicy bez żadnych zabezpieczeń. Udało mi się dotrzeć tak daleko tylko dlatego, że wczułem się w niego, myślałem tak jak on. Co mógł tym razem wykombinować? Nadal trzymałem w dłoni szczotkę. Odwróciłem ją i kijem**

nacisnąłem włącznik... Zachwiałem się. Błysk wyładowania elektrycznego był oślepiający, a jego siła tak ogromna, że osmalony kij wypadł mi z ręki. Czułem bolesne swędzenie w miejscu, gdzie dotarł prąd. Z włącznika-pułapki unosił się dym; woń spalonych przewodów wypełniła ciasny tunel. Zaświeciłem latarką i zszedłem kilka stopni w dół. Ostrożnie badałem każdy schodek, asekurowając się rękami. Im niżej schodziłem, tym słabiej słyszałem szum wiatru. Oświetliłem wnętrze piwnicy. Były tam skrzynki, stół stolarski, zawieszony na ścianie narzędzia, słoje z przetworami, pralka, suszarka, piec olejowy, wanienska do prania i podgrzewacz wody. Okienko nad wanną zostało zabite deskami. Ściany i podłoga były z betonu. Pod sufitem biegły odsłonięte rury, przewody i stalowe belki. Wszystko cuchnęło pleśnią. Skierowałem snop światła niżej i zobaczyłem kolejny włącznik, tym razem u dołu słupa. Podniosłem szczotkę i nacisnąłem. Zapaliły się mdłe, sześćdziesięciowatowe żarówki. Zmrużyłem oczy. - Kate! Jason!

Znów odpowiedziało mi tylko echo.

A potem zapanowała cisza.

Musiałem się zorientować w położeniu piwnicy. Ściana od tyłu domu znajdowała się po mojej lewej ręce. Nie było w niej drzwi, tylko wysoki regał ze słojami zakonserwowanych brzoskwiń i gruszek. Przyjrzałem się półkom pod różnymi kątami w poszukiwaniu kolejnej pułapki. Odsunąłem się w

lewo i popchnąłem regał kijem szczotki. Półki się rozsunęły.

Ostrożnie zerknąłem w otwór. Tunel miał około pięciu metrów długości. Beton był tu gładki i wyglądał na nowy. Petey odtworzył układ piwnicy na farmie Dantów, ale zbudował betonowy sufit zamiast drewnianego. Na końcu znajdowały się okute metalem drzwi. One też zostały zaopatrzone w zamek bezsprężynowy, ale pozbawiony obrotowej gałki, za to z dziurką na klucz. Nie miałem cienia wątpliwości, że są zamknięte. Chciałem się do nich rzucić, ale coś mnie powstrzymało. Dlaczego Petey zadał sobie trud zbudowania tunelu, zamiast umieścić więzienie tuż obok domu? Przecież byłoby to łatwiejsze i szybsze. Czy tylko naśladował Orvala? A może w tunelu kryje się dodatkowa pułapka? Przyjrzałem się gołej posadzce, ścianom i sufitowi, ale nie dostrzegłem żadnego zagrożenia. Już miałem wykrzyknąć imiona Kate i Jasona, kiedy zrozumiałem, czemu miał służyć tunel. Nawet gdyby ktoś przypadkiem wszedł do piwnicy, więźniowie przebywali za daleko, żeby usłyszeć jego wołanie albo żeby skutecznie wzywać pomocy. Jak się zabrać do otwarcia drzwi? Zawiasy przytwierdzone były do ściany tunelu. Narzędzia. Złapałem młot i kilof... I nagle znieruchomiałem.

Wyraźnie słyszałem, jak coś kapie. W martwej ciszy dźwięk wydawał się zwielokrotniony. Skierowałem wzrok na wanienkę, ale kran nie przeciekał. Kap, kap. Odwróciłem się, aby ocenić, z której strony

**dobiega odgłos. Kap, kap. Krople spadały miarowo, nieubłaganie. Moją uwagę zwróciła rura wystająca ze ściany pod schodami. Kap, kap. Nagle poczułem. Benzyna. Spływała z rury i rozlewała się po betonowej posadzce. Pewnie uruchomiłem wyciek, wywołując spięcie na schodach. Ostatnia pułapka Peteya. Jeśli wszystkie inne zawiodą, na podłodze zbierze się odpowiednia ilość paliwa, a zapalnik spowoduje eksplozję. Dom i dowody obciążające Peteya, wszystko zginie w ogniu. Porwawszy młotek i kilof skoczyłem do tunelu. Odgłos moich pospiesznych ruchów odbijał się echem, gdy chwyciłem za klamkę. Drzwi były zamknięte. Przyłożyłem kilof poniżej główki gwoźdźcia trzymającego zawias i uderzyłem młotkiem. Gwóźdź spadł na podłogę. To samo zrobiłem z pozostałymi dwoma. Musiałem szybko otworzyć drzwi. - Kate, jestem tutaj! - wołałem, waląc w metalowe okucie. - Jason, to ja, tata! Zaraz was uwolnię! Ale nikt nie odstukał z drugiej strony. Nie słyszałem też ich krzyków. Drzwi nie puszczały. Spojrzałem na mechanizm zamka z zamiarem rozkręcenia go, ale Petey rozwiercił główki śrub. Młotem i kilofem zacząłem walić w ścianę koło zamka. Pofrunęły kawałki muru. Uderzyłem jeszcze mocniej, aż zaboląły mnie ręce. Coraz większe odłamki spadały na posadzkę. Bałem się, że iskry powstające przy uderzeniach metalu o beton mogą spowodować wybuch oparów benzyny, ale nie miałem wyboru. Musiałem coś zrobić, zanim wszystko wyleci w**

powietrze. Miałem nadzieję, że odsłonię skobel zamka, lecz ukazał się tylko gruby metalowy rękaw chroniący zasuwę. Wiedziałem, że może być zagłębiony w ścianę na metr albo jeszcze więcej. Skucie takiej ilości betonu zabrałoby mi cały dzień. Biegiem zawróciłem do piwnicy i bezskutecznie rozglądałem się za łomem. Pod ścianą stały tylko łopata i motyka. Poszukałem siekiery, którą, mógłbym przerąbać metalowe okucie drzwi. Ale siekiery też nie było.

Smród benzyny stawał się coraz mocniejszy. Zauważyłem metrowy odcinek rury na podłodze, prawdopodobnie pozostałość pułapki. W pierwszej chwili nie zwróciłem na niego uwagi. Spojrzałem jeszcze raz na narzędzia, a później znów na rurę. Złapałem ją i dusząc się wycziewami paliwa, skoczyłem w głąb tunelu. Młotem i przecinakem zacząłem kuć obok środkowego zawiasu. Znów posypały się okruchy betonu. Bolały mnie ręce, ale nie zwracałem na to uwagi. Z jeszcze większą siłą uderzyłem w głowicę przecinaka. Chybiłem. Czoło młotka spadło na moją pięść. Przeraźliwie krzyknąłem. Z kostki dłoni połała się krew. Uderzyłem mocniej. Kiedy w betonie zarysowała się dziura, rzuciłem młot i przecinak, wbiłem rurę w środek i napałem całym ciężarem ciała. Pot lał się ze mnie strumieniem. Nagle drzwi zaczęły ustępować. Potknąłem się i omal nie upadłem. Szpara powoli powiększała się. Po chwili była już wystarczająco szeroka, żeby się przez nią prześliznąć.

**Boże, spraw, aby jeszcze żyli.**

**Znalazłem się w pomieszczeniu wielkości garażu. Na mój widok kobieta i chłopiec cofnęli się przerażeni. Ich nadgarstki skute były kajdankami, od których biegły półtorametrowe łańcuchy prowadzące do przytwierdzonych do ściany metalowych pierścieni. - Kate! Jason!**

**Mieli nienaturalnie rozszerzone źrenice. Powód mógł być tylko jeden. Gader twierdził, że wśród licznych przestępstw na koncie Lestera Danta figurował też handel narkotykami. Spojrzałem na wiaderko, które przewróciło się na podłogę, kiedy otwierałem drzwi. Wysypały się z niego zużyte strzykawki i puste fiolki. Coś ty im zrobił, ty sukinsynu!**

**Kate i Jason przyciskali się trwożnie do ściany. Byli ubrani w niedzielne stroje typowe dla mieszkańców małego miasteczka. Kate miała na sobie ciemne buty, skromną, sięgającą do kolan niebieską sukienkę, a we włosach wstążkę tego samego koloru. Jason nosił lakierki, czarne spodnie i białą koszulę z muszką. Włosy więźniów były starannie ułożone i wyglądały trochę nienaturalnie, jak gdyby czesał je ktoś obcy. Oboje mieli blade twarze i podkrążone oczy.**

**Szminka na ustach Kate rozmazała się. Jedynym sprzętem w piwnicy było łóżko. Leżeli na nim, dopóki nie wdarłem się z hałasem, który ich przestraszył. -Kate, to ja, Brad!**

**Wzdrygnęli się oboje, jeszcze mocniej przyciskając do ściany. -Jason, to ja, twój tata!**

**Chłopiec odsunął się z jękiem. Powstrzymała go niewielka długość łańcucha. Nigdy nie widzieli mnie z brodą. Narkotyk tak zaćmił ich umysły, że nie mogli rozpoznać mojej twarzy. Włamałem się siłą do piwnicy, więc kojarzyli mnie z zagrożeniem. - Jesteście bezpieczni!**

**Wybiegłem do tunelu po narzędzia. Kiedy się zbliżyłem, zasłonili głowy rękami. -Nie musicie się już bać!**

**Ich jęki zagłuszył metaliczny szczęk młota uderzającego w przecinak. Poleciały odłamki betonu. Opary benzyny nie dotarły jeszcze do podziemnego więzienia. Na razie nie musiałem się obawiać, że iskry lecące spod żelaznego ostrza spowodują zapłon. Uderzyłem mocniej. Kate i Jason już nie jęczeli. Strach odebrał im całkowicie mowę. Nagle ogniwo, do którego przykuty był Jason, spadło na materac. Skierowałem przecinak na drugi pierścień. Kate drżała, gdy uderzyłem w beton nad jej głową. Przypominała maltretowanego psa, który kuli się na widok pana. Nagle uświadomiłem sobie, że tak właśnie mnie postrzegają. Pewnie, otumanieni narkotykiem, widzą mnie jak przez mgłę. Najbardziej rzucającym się w oczy elementem mojej twarzy była broda, która przypominała im Peteya. Wielki Boże, przecież oni uważają mnie za niego. Dopiero teraz dotarła do mnie prawda. Petey zmuszał Kate, żeby nazywała go swoim mężem, a Jasonowi kazał mówić do siebie "tato". Zrobił wszystko, żeby w to uwierzyli. Faszerał ich**

narkotykami, aż w końcu już nie wiedzieli, kim są. Powtarzał te same czynności każdego dnia, uporczywie dążąc do złamania ich woli i oporu, do przekształcenia w posłuszną, pełną uwielbienia rodzinę ze swoich marzeń. Nie chciał mieć żony i syna o sprawnych umysłach. Potrzebował kukielek, które odgrywałyby jego szalone fantazje. -To ja! To naprawdę ja, Brad! - wołałem, waląc młotkiem w nasadę przecinaka.

Oczy obojga jeszcze bardziej rozszerzyły się z przerażenia. -Jason, nie jestem tym, za kogo mnie uważasz! To naprawdę ja, twój ojciec.

Nie miałem czasu na wyjaśnienia. Musiałem ich stąd wydostać, zanim opary się rozprzestrzenia i dom wyleci w powietrze. Ostatnim wściekłym uderzeniem wybiłem ze ściany pierścień, do którego Petey przykuł Kate. Byli zbyt odrętwiali ze strachu, żeby się ruszyć.

Złapałem łańcuchy i pociągnąłem oboje do wyjścia.

Wcisnąłem się pierwszy w szczelinę drzwi i pojedynczo wyprowadziłem ich na korytarz. W tej samej chwili zakręciło mi się w głowie od przerażającego smrodu. Wlokąc Kate i Jasona za łańcuchy, przypominałem właściciela psów, ciągnącego za sobą nieposłuszne zwierzęta.

Dotarliśmy do piwnicy. Z fałszywego włącznika, który omal nie zabił mnie prądem, wydobywał się dym. Detonator. Kiedy się zapali, wszystko wyleci w powietrze. Przez otwór w podłodze spiżarni dochodziło światło dnia.

**- Kate, zaraz będziesz wolna! Syneczku, za chwilę się stąd wydostaniemy! Staliśmy już przy schodach. Nagle Jason otworzył usta i cofnął się z głośnym krzykiem. Nad wyjściem ukazał się cień. Potem zapadła ciemność. Petey zatrzasnął klapę.**

**Z włącznika dymiło coraz mocniej. Zakaszlałem, ale nie mogłem złapać powietrza. Głośne szuranie na górze oznaczało, że Petey zastawia klapę ciężkim stołem. Wyciągnąłem broń i wypaliłem w stronę skąd dobiegał hałas. W klapie ziały teraz cztery dziury. Nagle uświadomiłem sobie, że płomień z lufy pistoletu może spowodować zapłon oparów benzyny. Od huku wystrzałów zadudniło mi w uszach. Benzyna zdążyła już zalać większość podłogi. Rozpaczliwie rozejrzałem się za drogą ucieczki. Mój wzrok padł na zabite na głucho okienko nad zlewozmywakiem. Skoczyłem po młotek i zacząłem podwazywać deski. Ramę okienną trzeba było podnieść i unieruchomić, przyczepiając do haka w suficie. Kiedy już tego dokonałem, usłyszałem wiatr, który hulał teraz z jeszcze większą siłą. Podniosłem Jasona i wypchnąłem na zewnątrz. To samo zrobiłem z Kate. Wydawała się niesamowicie lekka. Widok otwartej przestrzeni tchnął w nią odrobinę życia. Sama przecisnęła się przez okienko, jakby chcąc uciec przede mną. Wiedziałem, że w każdej chwili potężny wybuch może rozerwać mnie na strzępy. Wspiąłem się na zlewozmywak. Właśnie kiedy sięgałem przez otwór okna, zlew zawalił się pod**

moim ciężarem. Zawisłem, uczepiony gałęzi krzewu, której zdążyłem się chwycić. Gałąź wygięła się i zacząłem się zsuwać. Wbiłem palce w ziemię, ale nadal zjeżdżałem do piwnicy. W ostatniej chwili zaparłem się łokciami o framugę. Rozdzierałem dżinsy, próbując wspinać się kolanami po ścianie. Wiatr smagał mi twarz, a mimo to czułem ostrą woń benzyny.

Złapałem się drugiej gałęzi i powoli zacząłem podciągać się w górę. Nagle poczułem, że klamra paska zaczepiła o krawędź parapetu. Uniosłem biodra, żeby się uwolnić. Słyszałem, jak metal drapie o beton. Wciągnąłem brzuch, podniosłem biodra jeszcze wyżej. Udało się; centymetr po centymetrze wysunąłem się na zewnątrz. Jeszcze biodra, uda, kolana. Ledwie stanąłem na nogi, rzuciłem się do ucieczki. Pędziłem ile sił, czując przyływ adrenaliny we krwi. Przed domem natknąłem się na niebieską półciązarówkę. Nie usłyszałem, że się zbliża, z powodu desek zasłaniających piwniczne okienko. Nigdzie nie widziałem Kate i Jasona, lecz byłem pewien, że nawet pod wpływem narkotyku będą mieli tyle instynktu samozachowawczego, żeby uciekać od półciązarówki. Wiedziałem, że muszę przeciąć polanę i skryć się wśród drzew... I nagle zobaczyłem Peteya. Stał trzy metry ode mnie i mierzył mi w pierś ze strzelby. Aż trząsnął się z wściekłości.

Nie miałem szans wyciągnąć pistoletu i strzelić, zanim on pociągnie za spust. A nawet gdybym trafił,

**pocisk kalibru dziewięć milimetrów mógłby go nie zabić, a tylko razić. Natomiast kula wystrzelona ze sztucera z tej odległości niewątpliwie rozerwałaby mi pierś. -Petey, nie strzelaj! - Nie byłem pewien, czy rozpoznaje mnie z brodą. - To ja, Brad!**

**Oczy mu się zwężyły. Wyglądał na zaskoczonego. Wichura wyla tak głośno, że ledwo dosłyszałem jego głos. - Brad.**

**- Słuchaj! Czy oni ci powiedzieli, kim był Lester? - spytałem. Musiałem jakoś zyskać na czasie. - Wiesz, dlaczego cię porwali? - Lester - mruknął Petey.**

**- Czy Orval i Eunice powiedzieli ci, że Lester był ich jedynym dzieckiem? On umarł! Z okna piwnicy buchały kłęby dymu.**

**Zacząłem się lekko przesuwając, nie przestając zagadywać Peteya. -Mówili ci, że rozpacz pogrążyła ich w szaleństwie?**

**Dom mógł eksplodować w każdej chwili.**

**- Wcześniej troje dzieci urodziło im się martwych!**

**- krzychałem, powoli zbliżając się do linii drzew. -**

**Pozostali Dantowie nie żyli, a Eunice nie mogła więcej zająć w ciąży! Lester był ich ostatnią nadzieją, ostatnim potomkiem! Petey patrzył na mnie przez muszkę strzelby.**

**- Lester.**

**Dym stawał się coraz gęściejszy, ale ja byłem już niedaleko zbawczej gęstwiny.**

**- Rozpaczliwie chcieli go kimś zastąpić, jednak nie mogli tego zrobić w Brockton! Zbyt blisko domu ktoś mógłby ich rozpoznać!**

Petey przesuwał się powoli w tę samą stronę co ja.  
- Wyruszyli więc na poszukiwania. Jeździli od miasta do miasta! Czekali, aż Bóg da im znak, wskaże chłopca w tym samym wieku co ich zmarły syn! W końcu znaleźli się w Ohio! Minęli Columbus i dotarli do Woodford! Nigdy się nie dowiemy, dlaczego zboczyli z trasy i skręcili do miasteczka. Pewnie im się zdawało, że dostali jakiś znak od Boga. Jeździli to tu, to tam. Nagle zobaczyli ciebie na rowerze, zupełnie samego.

- Którędy do autostrady? - Petey powtórzył z goryczą pytanie, które przed laty zadała mu nieznajoma. - Czy wierzysz w Boga? Czy wierzysz w koniec świata?

Dym gęstniał. Czuję w ustach jego smak.

Mój brat przesuwał się równo ze mną. Zdawało mi się, że jego palec mocniej dotyka spustu strzelby. -

Porwali cię i uwięzili w podziemnej komorze.

Powiedzieli, że masz na imię Lester i karali, jeśli nie zachowywałeś się jak ich syn! - Lester.

Zdawało mi się, że w okienku piwnicy dostrzegam płomienie. "Ten syn mój był umarły, a znów ożył;

zaginął, a odnalazł się\*". Ewangelia świętego

Łukasza, rozdział piętnasty, ustęp dwudziesty

czwarty - wyrecytował Petey. -Kiedy mi

powiedziałeś, że cię napastowali, myślałem, że chodzi o molestowanie seksualne. Zrobiłem kolejny krok w stronę drzew.

Petey także.

Wiatr uderzył mocniej.

**- Ale ty miałeś na myśli coś innego! Oni dręczyli twój umysł i duszę! Tak bardzo chcieli uczynić z ciebie Lestera, że bili cię i głodzili, traktowali jak zwierzę, aż w końcu nie wiedziałeś już, kim jesteś. To było tak potworne, że wreszcie byłeś gotów stać się kimkolwiek, jeśli w zamian za to przestaną cię krzywdzić, będą wyciągać nieczystości i dawać jedzenie. - Nauczyli mnie Świętej Księgi - powiedział Petey. - "Prawda was wyzwoli". Jan, rozdział ósmy, ustęp trzydziesty drugi.**

**- Prawda jest taka, że to już się skończyło! Mogę ci pomóc, Petey! Jeszcze nie jest za późno. Kiedy policja dowie się, dlaczego zrobiłeś to, co zrobiłeś, też będzie chciała ci pomóc! Życie może być lepsze, uwierz mi! Nie pozwól, żeby Orval i Eunice zniszczyli cię po raz drugi! Przestań być tym, kim cię uczynili, Petey!**

**\* Cytaty z Pisma Świętego według Biblii "tysiąclecia, Pallotinum, Poznań-Warszawa 1980.**

**- Nie nazywaj mnie Petey!**

**Głos mi się załamał.**

**- Nie umiem wyrazić, jak bardzo mi przykro! Wiem, że twoje życie zmieniło się przeze mnie, że wszystko potoczyłoby się inaczej, gdybym nie kazał ci wtedy jechać do domu! Ale przecież byliśmy dziećmi, do cholery! Skąd miałem wiedzieć, że Dantowie cię porwą? Nie miałem pojęcia o ich istnieniu! A ty byłeś tylko moim braciszkiem, który plątał mi się pod**

**nogami! Nie chciałem, żeby to się stało, Petey. - Łzy płynęły mi po twarzy. - Od tamtej chwili, gdy zniknąłeś, każdej nocy modliłem się do Boga, żebyś bezpiecznie wrócił do domu i żebym ja dostał drugą szansę! Pozwól, że ci to wynagrodzę, Petey! Pozwól mi zwrócić ci życie, które odebrali Orval i Eunice! - Przestań nazywać mnie Petey!**

**- Masz rację. Kiedy zjawileś się u nas, poprosiłeś, żeby zwracać się do ciebie Peter, aleja nie posłuchałem. Nie jesteśmy już dziećmi. Masz na imię Peter.**

**- Nie! Tak też mnie nie nazywaj!**

**Spoglądając w otwór lufy, podniosłem dłonie w pojednawczym geście. - Jak sobie życzysz, Lester.**

**- Nie jestem Lester!**

**- Teraz już nie rozumiem. Kim więc jesteś?**

**- Mam na imię Brad! '**

**Intensywność spojrzenia jego ciemnych oczu dobitnie świadczyła, że mówi serio. Zrujnowałem jego życie, a teraz on ukradł moje. Porywając moją żonę i syna, uwierzył, że odebrał mi także tożsamość. Zdawało mu się, że jest mną. Nogi się pode mną ugięły, gdy dotarło do mnie, jak bardzo jest szalony.**

**- Tak mi przykro. Niech Bóg ma cię w swojej opiece - powiedziałem cicho.**

**- Nie - odrzekł Petey głosem nie pozostawiającym wątpliwości, że za raz naciśnie spust. - To ciebie niech Bóg ma w opiece.**

**O ziemię cisnęła mną nie salwa ze strzelby Peteya, lecz wybuch w piwnicy domu. Fala gorącego powietrza uniosła mnie i rzuciła między drzewa. Kawalki cegieł i drewna fruwały wokół, kosząc gałęzie i liście. Jakby z oddali docierał zapach dymu i huk płomieni. Usiadłem powoli, z bólem. Kręciło mi się w głowie. Czulem mdłości. Dzwonienie w uszach stawało się nie do zniesienia.**

**Eksplodzja rzuciła mnie w zagłębienie gruntu, tylko dlatego uniknąłem śmierci od gradu płonących odłamków. Ogień dosięgnął pobliskich krzaków, a wiatr przenosił płomienie z drzewa na drzewo.**

**Krztusząc się od dymu, stanąłem na nogi.**

**Rozejrzałem się dookoła w poszukiwaniu Peteya. W miejscu domu ział ognisty krater. Petey zniknął.**

**Pewnie podmuch odrzucił go gdzieś dalej. Płomienie otaczały mnie już ze wszystkich stron. Muszę znaleźć Kate i Jasona. Brnąc niepewnie przez las, modliłem się, żeby się nie zatrzymywali, żeby nie dogonił ich ogień. Ani Petey. Bo on nie cofnąłby się przed niczym, aby odzyskać zbiegów. Jeśli żyje. A może zabił go wybuch?**

**W takim razie gdzie jest ciało? Po eksplozji teren był widoczny jak na dłoni, więc powinienem dostrzec zwłoki. Gdzie on się podział? Wiatr dmuchnął na mnie kłębem dymu; zakrztusiłem się. Kiedy leżałem bez czucia, pożar zdążył się znacznie rozprzestrzenić. Krzaki stały w płomieniach. Szedłem zygzakiem między palącymi się drzewami. Nagle stanąłem. Las po mojej lewej stronie też już się palił. Chciałem**

wołać Kate i Jasona, lecz przypomniawszy sobie ich reakcję na mój widok w piwnicy, zważyłem, czy mi odpowiedzą. Mógłbym ich tylko jeszcze bardziej przestraszyć. A nawet gdyby zareagowali, Petey usłyszałby ich krzyki i ruszył w tamtą stronę. Usłyszałby też mnie i zorientował się, gdzie jestem. Ogień szalał z rykiem; wiatr porywał gęste kłęby dymu. Z trudem łapiąc powietrze w płuca, wydostałem się na polanę. I znów płomienie mnie wyprzedziły, dotarły do drzew po drugiej stronie przecinki. Jak daleko zdołali uciec Kate i Jason? Przypomniałem sobie strumień, wzdłuż którego zakradłem się w pobliże domu pani Warren. Jeśli do niego dotrę, jeśli dotrą tam Kate i Jason, będziemy mieli szansę. Ale jak tam trafić? Ucieczka przed ogniem tak bardzo mnie zaabsorbowała, że straciłem orientację. To samo mogło się przytrafić Kate i Jasonowi. Oni też mogą błąkać się w kółko po lesie. Sięgnąłem po kompas, ukryty w kieszeni koszuli. Mrużąc oczy od dymu, ustawiłem się w kierunku przeciwnym do tego, z którego przyszedłem wczoraj. W ostatniej chwili uchyliłem się przed płonąca gałęzią i ruszyłem biegiem w stronę drzew na północnym zachodzie, gdzie pożar jeszcze nie dotarł. Zewsząd dochodziły trzaski ognia. Suche pnie pękały od gorąca. Nagle wielki kawał kory oderwał się od drzewa po prawej stronie. Rzuciłem się na ziemię, uświadomiwszy sobie, że to Petey wypalił do mnie ze sztucera. Wyciągnąłem broń i zdumiałem się, widząc, jak bardzo trzęsie mi się ręka. Instruktor

w Denver ostrzegła, że bez względu na to, jak dobry jesteś na strzelnicy, nic nie może przygotować cię do sytuacji, w której stajesz oko w oko z wrogiem i twoje życie zależy od opanowania. Kiedy owdłanie tobą strach, diabli biorą umiejętności. Ogień się zbliżał; nie mogłem dłużej pozostać w tym miejscu. Ale jeśli się ruszę, Petey znów strzeli. Wyobraziłem sobie wszystkie cierpienia Kate i Jasona, przypomniałem sobie, co przeszedłem, starając się ich odnaleźć i jak Petey zostawił mnie w górach, żebym skonał. Gniew zmobilizował mnie do walki. Ręka przestała drżeć. Skoczyłem w stronę następnego drzewa. Pocisk oderwał kawał pnia, a ja w tej samej chwili zrobiłem to, czego Petey spodziewał się najmniej: rzuciłem się z powrotem w stronę płomieni. Wiedziałem już, że strzelał z kępy krzaków, więc posłałem tam trzy kule. Wstrzymawszy oddech, zanurzyłem się w kłębach dymu; korzystając z jego osłony, wypaliłem w tym samym kierunku jeszcze trzy razy. Jednak kiedy dopadłem kryjówki wroga, nie znalazłem ciała Peteya, tylko pustą łuskę od naboju. Przykucnąłem, dysząc chrapliwie, i rozejrzałem się. Chciałem wyśledzić jakiś ruch tuż nad ziemią. Lecz żar płomieni i porywy wiatru sprawiały, że wszystko zdawało się poruszać. Jedna łuska. Ile razy Petey do mnie strzelał? Na pewno co najmniej dwa. Ile naboji mieści się w magazynku strzelby? Wiedziałem, że broń tego rodzaju ma cztery naboje w magazynku i jeden w komorze. Nie zauważyłem wybrzuszenia na

kieszonce koszuli Peteya, które świadczyłyby, że schował tam zapasowe ładunki. Mogłem więc zakładać, że zostały mu jeszcze co najmniej trzy naboje. Plecy tak bardzo mnie piekły od żaru płomieni, że zdecydowałem się opuścić kryjówkę. Przygarbiony, pod osłoną dymu podbiegłem do następnej kępy krzaków, a stamtąd skoczyłem do pnia złamanego drzewa. Trach! Nagle wierzchołek pnia rozleciał się na kawałki, a moje lewe ramię przeszył straszliwy ból jak po ukąszeniu szerszenia. Wystrzeliłem, padając plecami na ziemię. Przez chwilę łudziłem się, że dostałem odłamkiem drewna, lecz krew na ramieniu nie pozostawiała wątpliwości, co się stało. Ręka nie zamieniła się w krwawą miazgę tylko dlatego, że Petey strzelał ze znacznej odległości. Nie mógł dobrze wymierzyć, bo zasłaniała mnie firanka ognia i dymu. W ramieniu pulsował ból; trudno było nim poruszać. Reszta ciała pozostała jednak sprawna. Strach nie pozwolił mi zostać w miejscu, gdzie upadłem. Potoczyłem się w stronę zwalonego pnia. Żar znów przypiekał mi plecy. Wiatr otoczył mnie chmurą dymu. Ale dzięki temu Petey też nic nie widział. Zerknąłem na kompas. Siłą woli powstrzymując kaszel, żeby nie zdradzić Peteyowi, gdzie jestem, szybko ruszyłem na północny zachód. Widoczność nie przekraczała pięciu metrów. Gotów w każdej chwili wypalić z pistoletu, posuwałem się przez las, co jakiś czas zerkając na tarczę kompasu.

**Z mojego lewego ramienia kapala krew, kręciło mi się w głowie. Pożar już mnie wyprzedzał, a gorące powietrze zmuszało do pośpiechu. Intensywnie wypatrując Peteya wśród dymu, nie zwracałem uwagi na grunt pod nogami. Brzeg strumienia miał około stu osiemdziesięciu centymetrów wysokości. Runąłbym do wody, gdyby z prawej strony nie wyskoczył nagle umykający przed pożarem jelen. Przemknął tuż przede mną i po chwili był już po drugiej stronie. Zsunąłem się na dół. Od płytkiego nurtu dochodził chłodny powiew. Szedłem, nie dbając o to, że moczę buty i skarpetki. Myślałem tylko, jak dopaść Peteya. Po mojej prawej ręce poruszył się niewyraźny cień. Wypaliłem, lecz w tej samej chwili uzmysłowiłem sobie, że mógł to być zarówno Petey, jak i Kate. Nadal mierzyłem z pistoletu. Szczypiący dym sprawił, że oczy mi łzawiły. Patrzyłem jednak uważnie, licząc, że uda mi się rozpoznać tajemniczą sylwetkę. Pojawiła się na mgnienie oka i znikła po przeciwnej stronie strumienia. Wdrapałem się na drugi brzeg. Brnąc przez trawę i krzaki, patrzyłem cały czas w tamtym kierunku. Przyszło mi do głowy, że gdyby to była Kate, powinienem obok niej zobaczyć mniejszą postać Jasona. Chyba że szedł tuż obok matki i ona go zasłaniała.**

**Musiałem mieć pewność, zanim nacisnę spust. Sunąc wśród drzew, mrugałem gwałtownie, żeby łzy nie mąciły wzroku. Coś poruszyło się w lesie po prawej stronie. Przez mgnienie oka zobaczyłem**

brodę Peteya. Podniósł strzelbę. Wypaliłem. Nagły podmuch wiatru podsycił płomienie, prawie mnie oślepiając. Z drzew i krzaków przede mną buchnął ogień. Fala gorąca sięgnęła moich włosów. Zachwiałem się i ziemia uciekła mi spod stóp. Stoczyłem się po brzegu strumienia, upadając boleśnie w wodę na zranione ramię. Zdusiłem krzyk. Zebrałem wszystkie siły i stanąłem na nogi. Kompas wypadł mi z kieszeni, nie mogłem go znaleźć. Zresztą i tak nie na wiele by się przydał. Z przodu i z tyłu szalał ogień, Petey był prawdopodobnie z prawej strony, więc pozostało mi tylko iść z biegiem strumienia w lewo. Nie wiedziałem, czy go trafiłem. Ale musiałem się liczyć z ewentualnością, że schronił się w korycie strumienia i skradał w moim kierunku. Powinienem więc znaleźć jakiś zakręt, ukryć się tam i zastawić na niego pułapkę. Nie pamiętałem, ile pocisków zużyłem. Magazynek pistoletu mógł być już pusty. Powstrzymując drżenie rąk, zmieniłem go na nowy. Broń była gotowa do strzału. Widziałem coraz mniej. Dym gęstniał, ledwo łapałem powietrze. Ogień pochłaniał tlen. Płomienie się zbliżały. Bałem się, że zemdleję. Posuwałem się tuż przy brzegu, żeby robić jak najmniej hałasu. Dawała już o sobie znać utrata krwi. Kuśtykałem niezdarnie. Moje buty to z pluskiem lądowały w wodzie, to ślizgały się po błocie. Gorące powietrze paliło mnie w nozdrza. Dotarłem do zakola strumienia; wysoki brzeg osłaniał mnie przed płomieniami z prawej strony. Prześliznąłem się koło następnego zakrętu i chłodne powietrze

wionęło mi w twarz. Tutaj ogień nie opanował jeszcze lasu. Ten chłód był największym luksusem, jakiego kiedykolwiek doświadczyłem. Wciągnąłem go chciwie w płuca, żeby odświeżyć umysł i pozbyć się ciemnych plam wirujących przed oczyma. Nagle stanąłem. W błocie widniały odciski stóp. Dorosłej osoby i dziecka. A więc idą korytem strumienia tak jak ja. Kate i Jason.

Obróciłem się raptownie, słysząc plusk i kroki pospiesznie zbliżające się do mnie od tyłu. Ale nie był to Petey. Mierzyłem do przestraszonego psa, który przemknął na drugą stronę i zniknął wśród drzew. Powietrze znów robiło się gorące. Ogień był coraz bliżej. Pobieglem po śladach stóp. Zwalony pień drzewa niczym most łączył brzegi strumienia.

Przesunąłem się pod nim i wyprostowałem po drugiej stronie. Nagle coś ciężkiego uderzyło mnie w czoło. Jęknąłem. Cios odrzucił mnie w tył; oparłem się plecami o pień. Po twarzy ściekała mi krew. Zmrużyłem oczy, żeby lepiej widzieć. Nade mną stała Kate, unosząc suchy konar jak maczugę. Oczy nadal miała nieprzytomne. Jason przyciskał się do pleców matki. - Nie, Kate. - Mój głos dochodził jakby z oddali. - Nie, to ja. - Ty draniu!

Prawym ramieniem zdołałem zasłonić głowę. Gałąź zsunęła się po łokciu, lecz ból był okropny.

Przeraziłem się, że Kate złamała mi rękę. Pistolet spadł na brzeg. - Nie, Kate! To naprawdę ja, Brad! - Brad! - wrzasnęła Kate, zadając kolejny cios.

**Uchyliłem się w prawo. Nie trafiła. Znow uniosła ramię. Obsunąłem się do wody. Nagle zastygła z otwartymi ustami i wpatrzyła się w drugi brzeg. Odwróciłem głowę.**

**Za drzewem leżącym w poprzek strumienia ukazała się twarz Peteya. Czoło miał umazane sadzą, włosy i brodę osmalone. Koszula poczerniała od dymu. Z lewego ramienia, gdzie go postrzeliłem, płynęła krew. Strzelba spoczywała na pniu, z lufą skierowaną w naszą stronę. Jason cofnął się.**

**- Jeśli wiesz, co dla ciebie dobre, synu, nie waż się robić następnego kroku - ostrzegł Petey.**

**Leżałem plecami w wodzie. Nie mogłem ruszać prawą ręką, którą Kate prawdopodobnie mi złamała. Lewe ramię, nafaszerowane śrutem, było równie bezużyteczne, ale przynajmniej nie całkowicie bezwładne. Pocąc się z wysiłku, sięgnąłem dłonią po nóż przy pasku. Jason cofał się dalej.**

**- Bądź posłuszny ojcu - nakazał Petey. - Nie ruszaj się.**

**Chłopiec otworzył usta jakby w bezgłośnym płaczu. Przetoczyłem się pod pniem i wbiłem nóż wysoko w udo Peteya, który wściekle zawył z bólu. Ostrze ześliznęło się po kości. Petey rzucił się do tyłu, naciskając spust. Kawałki śrutu świsnęły mi nad głową. Nie, tylko nie to! Przerażony, że mógł trafić Kate lub Jasona, zadałem drugi cios. Trysnęła na mnie krew mojego brata. Podniosłem rękę, tym razem mierząc w bok. Jednak Petey zdążył zamachnąć się strzelbą i uderzyć mnie w zranione**

ramię. Bliski omdlenia, rzuciłem mu się całym ciężarem ciała na nogi i obaliłem go w wodę. Wczołgałem się na niego, celując nożem w twarz, lecz Petey odepchnął mnie i zacisnął ręce na szyi z taką siłą, że o mało nie pękła mi krtań. Otoczyły nas kłęby dymu. Trzaski ognia zbliżały się. Zatopiłem ostrze w jego zakrwawionym ramieniu. Upadł na plecy koło strzelby. Złapał ją, jednym ruchem wyrzucił łuskę i nacisnął spust. Rzuciłem się w bok. Strzał z takiej odległości rozerwałby mi klatkę piersiową na strzępy, lecz iglica trafiła w próżnię. Komora była pusta. Petey zamierzył się na mnie kolbą z okrzykiem wściekłości, ale wpływ krwi osłabił go. Cios ześliznął się po mojej nodze. Rzuciłem się na niego z nożem w lewej ręce, słabszej i głębiej zranionej. Chybiłem. Rozległ się huk wystrzału. Pocisk trafił w ziemię. Odwróciliśmy się jak na komendę. To była Kate. W dłoni trzymała pistolet, który upuściłem na brzegu strumienia. Siłą woli starała się opanować drżenie ręki. Można było odnieść wrażenie, że przez ponad rok niehumanitarnej męczarni jakimś ostatkiem świadomości marzyła o tym, aby odplacić za krzywdę. Strzelanie z pistoletu z niewielkiej odległości w normalnych warunkach nie jest trudne. Wystarczy dobrze wymierzyć i nacisnąć spust. Ale Kate była pod wpływem narkotyku i raz już chybiła. Teraz usiłowała się skoncentrować za wszelką cenę. Dostrzegalem to w jej oczach. Oblędny widok - dwóch Peteyów, a może dwóch Bradów -

groził, że resztką przytomności, która się w niej tliła, pęknie jak bańka mydlana. -Pomóż mi - odezwał się Petey. - Przyszedłem wam na ratunek. Zabij go.

Zawahała się i wymierzyła do mnie.

- Nie rób tego, Kate, proszę cię - powiedziałem, obserwując jej palec na spuście.

- Zabij go - powtórzył Petey.

- Kocham cię, Kate.

- Jestem twoim mężem. Rób, co ci każę.

Kate wymierzyła i strzeliła mu prosto w twarz.

Zbliżyła się o krok, nacisnęła spust i tym razem chybiła. Podeszła jeszcze bliżej i wypaliła mu w pierś. Następna kula rozerwała gardło. Kate nie

celowała, ale stała za blisko, żeby nie trafić. Strzelała raz po raz: w ramię, w kolano, krocze. Kolejne pociski wstrząsały ciałem martwego Peteya.

Wreszcie skończyły się naboje w magazynku. Suwak nie wrócił na miejsce. Po twarzy Kate płynęły łzy.

Udało mi się wstać.

Lecz gdy się zbliżyłem, żeby ją objąć, cofnęła się z przerażeniem. Podniosła broń i dalej naciskała na spust. Gdyby w komorze był choćby jeden nabój, zastrzeliłaby mnie. Wykonałem uspokajający gest.

- Już dobrze, jesteś bezpieczna. Nie chcę cię skrzywdzić. Jej nieprzytomne spojrzenie mówiło, że mi nie wierzy.

- Nie dotknę cię - obiecałem - ale pozwól sobie pomóc. Proszę. - Czułem już żar za plecami i słyszałem trzask płomieni. - Musimy się stąd wydostać. Zbliżyłem się o krok. Kate cofnęła się w

stronę drzewa nad strumieniem. -Gdzie Jason? -  
Spytałem. - Na miłość boską, chyba nie jest ranny?  
Zajrzałem pod pień, pod którym go ostatnio  
widziałem. Kate wykorzystwała moment mojej  
nieuwagi, żeby się również tam wśliznąć. Skoczyłem  
za nią i wyprostowałem się po drugiej stronie. Bałem  
się, że zobaczę dziecięce ciało rozplątane ostatnią  
salwą Peteya. Odetchnąłem z ulgą. Jason stał po  
drugiej stronie strumienia. Cisnął we mnie  
kamieniem.

Trafił mnie w pierś, ale już dawno nie czułem bólu.  
Myślałem tylko o tym, żeby go stąd zabrać. -W  
porządku, Jason. Nie masz się już czego bać.  
Zrobiłem jeszcze jeden krok. Cały we krwi,  
osmalony, musiałem wyglądać tak samo jak Petey.  
Jason wdrapał się na brzeg i skoczył w stronę lasu.  
Potykając się, ruszyłem za nim. Brnąłem przez  
zarośla, zmagając się z żarem i kłębam dymu. Przez  
szarą zasłonę przezierały już płomienie, robiło się  
coraz goręcej. Jakieś drzewo pękło, macki ognia  
docierały do krzaków. -Jason! - Zawołałem,  
krztusząc się. Z trudem trzymałem się na nogach, ale  
biegłem dalej.

Wiatr rozpędził na chwilę dym. Chłopiec stał  
wpatrzony w zbliżający się ogień. Odwrócił się, żeby  
uciekać, ale zastygł jak wryty na mój widok.  
Przerażałem go bardziej niż pożar. Zrobił unik w  
lewo i popędził w stronę luki w ścianie płomieni.  
Wtedy właśnie wiatr zmienił kierunek. Przewróciłem  
Jasona w momencie, gdy ogniste podmuchy zaczęły

przelatywać nad naszymi rozplaszczonymi ciałami. Objąłem go w pół zranionym ramieniem i powlokłem resztką sił. Kopał i walił pięściami. Kate ruszyła synowi na ratunek. -Puść go! - Krzyczała. Stoczyliśmy się razem z brzegu i wylądowaliśmy w wodzie. Oboje nie przestawali okładać mnie kulakami i kopać, ale nie broniłem się. W końcu razy ustały. Przewrócili się i ciężko dyszeli. Ich zapadnięte piersi unosiły się i opadały. -Kocham was. Patrzyli na mnie szeroko rozwartymi oczyma. Coś się powoli zmieniało w spojrzeniach Kate i Jasona, jak gdyby do ich świadomości, powróciło niewyraźne wspomnienie czasów, gdy dobrze znali te słowa. -Nie ruszajcie się. Muszę coś zrobić - powiedziałem.

Ogień zbliżał się już do brzegu strumienia. Spryskałem się wodą, a potem wsunąłem się pod spoczywający w poprzek pień. Podszedłem do miejsca, gdzie leżał trup Peteya. Był cały czerwony od krwi. Nie wystarczało mi to. Petey raz już wrócił. Musiałem mieć absolutną pewność, że nie pojawi się znowu, nawet w koszmarnym śnie. Złapałem go za stopy, lecz moje ranne ramiona zeszywniały i za bardzo bolały, abym zdołał wciągnąć zwłoki na brzeg. Starąłem się ze wszystkich sił. Bez skutku. Już miałem zrezygnować, gdy zobaczyłem ręce Kate. Spojrzałem na nią, zaskoczony. Nie mówiąc ani słowa, pomogła mi wywlec martwe ciało z koryta strumienia. Rzuciliśmy je w ogień. Natychmiast stanęło w płomieniach. Dopiero wtedy odwróciliśmy

**się i zeszliśmy do wody. Kate się przewróciła, ale nie pozwoliła mi sobie pomóc. Pobiegli oboje z Jasonem, trzymając się w pewnej odległości ode mnie.**

**\* \* \***

## **Epilog**

**Cała nasza trójka spędziła jakiś czas w szpitalu. Policja i prokurator przesłuchiwali mnie, domagając się odpowiedzi, dlaczego nie pozwoliłem władzom zająć się ściganiem Peteya. Staralem się jak najlepiej przedstawić im przebieg wypadków. Ale jak miałem wytłumaczyć swój strach, że policja doprowadzi do śmierci Kate i Jasona, zamiast ich ocalić? Wbrew moim wielokrotnym zapewnieniom, uznano, że powodowała mną nienawiść, że za wszelką cenę chciałem wyrównać z Peteyem rachunki. Musiałem więc stanąć przed wielką ławą przysięgłych i -jak uświadomił mi mój adwokat - mogłem zostać oskarżony o to, że samodzielnie dochodziłem sprawiedliwości. Wątpię, czy wśród przysięgłych znalazła się choćby jedna osoba, która widząc moją złamaną rękę na temblaku wątpiła, że dość już przeszedłem. A Kate i Jason z pewnością przeżyli jeszcze więcej. W ich oczach czaił się strach wojennych uchodźców. Wypuszczono nas dopiero po trzech tygodniach. Zapłaciłem wynajętemu kierowcy za dostarczenie volvo do Denver, a nasza trójka wróciła do domu samolotem z Columbus. Przyjaciele witali nas serdecznie, dzwonili, odwiedzali. Wydali nawet przyjęcie na naszą cześć. Podziękowaliśmy im, ale byliśmy w zbyt głębokim szoku, aby móc się cieszyć towarzystwem innych ludzi. Trudno było silić się na uśmiechy i pogawędki o niczym, a na poważne rozmowy o tym, co się stało, nie byliśmy jeszcze**

gotowi. Po jakimś czasie przestaliśmy stanowić atrakcję. Telefony, wizyty i zaproszenia stawały się coraz rzadsze. Wreszcie zostawiono nas samym sobie. Jason zrobił się tak milczący, że rodzice jego kolegów woleli nie zostawiać z nim swoich dzieci. Kate zamieniała się w kłębek nerwów, ilekroć musiała wyjść z domu. W końcu się poddała. Na szczęście, kiedy zgolilem brodę i gdy działanie narkotyków minęło, Kate i Jason przestali mnie mylić z Peteyem. Nie uważają mnie już za zagrożenie, a jednak zawsze staram się uprzedzać, że zamierzam któreś z nich dotknąć. Próbuje być ze sobą szczery. Zrobiłem wszystko, aby zrozumieć, co się stało. Staralem się przystosować. Czasem się jednak zastanawiam, czy to w ogóle możliwe, przystosować się do tego, co Petey - a może Lester - nam zrobił. Tak usilnie nie chciałem dopuścić do siebie myśli, że Petey to Lester, a teraz wiem, że ci dwaj byli jedną osobą. Mój brat umarł dawno temu. Przeze mnie. Czasami, gdy Kate i Jason nie widzą, obserwuję ich i zastanawiam się, czy ich stan się poprawia. Ukradkiem zaglądam im w oczy i próbuję odgadnąć, co się w nich kryje. Spoglądam w lustro i staram się przeniknąć zasłonę własnego spojrzenia. Czy nosimy w sobie ciemność? Payne zajrzał do nas kilka dni temu. To była miła wizyta. Zapytałem o żonę.

- Jest zdrowa? Jaki był wynik biopsji?

- Dzięki Bogu, guz na piersi okazał się cystą.

Dopiero wtedy zauważyłem, że wstrzymuję oddech.

- Miło słyszeć, że zdarzają się takie dobre rzeczy - powiedziałem. W ogrodzie Payne usadowił swój niemały ciężar na szezlongu, na którym pewnej nocy ponad rok temu siedział Petey i zerkał przez okno do naszej sypialni. Kate podała nam mrożoną herbatę. Udawaliśmy, że nie dostrzegamy drżenia jej rąk, gdy niosła szklanki. -Dziękuję.

Dotknąłem jej ramienia. Uśmiechnęła się. Payne odprowadził ją wzrokiem. - Czy pańska żona chodzi do kogoś?

- Do psychiatry? Tak. Wszyscy chodzimy.

- Pomaga?

- Psychoterapeuta każe mi prowadzić dziennik, opisywać w nim wydarzenia i moje odczucia. Raz w tygodniu spotykamy się i rozmawiamy o tym. Czy pomaga? - Wzruszyłem ramionami. - On twierdzi, że tak, tylko ja nie jestem dość obiektywny, żeby to od razu zauważyć. Mówi też, że ponieważ nasze dramatyczne przeżycia trwały tak długo, nie należy się spodziewać, że ich skutki miną z dnia na dzień.

- Brzmi to rozsądnie.

- Kate poszła dzisiaj sama do supermarketu. Payne nie zrozumiał, co chcę przez to powiedzieć.

- To duży postęp - wyjaśniłem. - Przebywanie wśród ludzi i kontakty z nieznanymi sprawiają jej trudność.

- A pan? Czy zamierza pan wrócić do pracy?

- Niebawem będę musiał - odparłem. - Nasze ubezpieczenia nie pokrywają wszystkich kosztów opieki medycznej. Nie mówiąc o poradach

prawnych. - Chodziło mi o to, jak się pan czuje? Czy jest pan gotów, aby znów pracować?

W milczeniu napiłem się herbaty.

- Kiedy pracowałem w FBI, musiałem do kogoś strzelić - powiedział Payne.

- Zabił go pan?

Detektyw zapatrzył się w szklankę.

- Sam też dostałem. Wysłali mnie na trzymiesięczny urlop zdrowotny, później często widywałem się z psychologiem. Chyba wspominałem panu, że właśnie wtedy przytyłem i odszedłem z firmy. Długo trwało, zanim po czułem się znów normalnie.

- Normalność to mylące słowo. Wątpię, czy jeszcze kiedyś poczuję się normalnie. Mam wrażenie, że w dawnym życiu błądziłem po świecie pełnym bólu i byłem za głupi, aby cokolwiek zauważać. - A teraz?

- Wydaje mi się, że Kate ma rację, tak bardzo uważając na to, co się wokół niej dzieje. Bo wszystko może się zdarzyć. W jednej chwili stałem na krawędzi kanionu, podziwiając urodę krajobrazu, a w następnej leciałem w przepaść, zepchnięty przez brata.

- Przezorność to wielka cnota.

- Tego właśnie się nauczyłem. Pytał pan, czy zamierzam wrócić do pracy. Ja cały czas pracuję. -

Tak? - Payne przyjrzał mi się uważnie.

- Moja praca polega na tym, że opiekuję się rodziną. Kocham Kate i Jasona ze wszystkich sił, dziękuję Bogu za każdą chwilę, którą dane jest mi z nimi

**spędzić, obejmuję ich i robię wszystko, co w ludzkiej mocy, aby czuli się bezpieczni.**

**Payne milczał w zamyśleniu.**

**- Wie pan co, panie Denning? - odezwał się po chwili.**

**- Proszę mi mówić po imieniu.**

**- Im lepiej pana poznaję, tym bardziej pana lubię.**

**\* \* \***

**KONIEC**

**\* \* \***

**Dawid Morrell**

**NIEDOŚCIGNIONY MISTRZ**

**"NAŁADOWANYCH AKCJĄ LITERACKICH  
THRILLERÓW PSYCHOLOGICZNYCH,  
PORÓWNYWANY ZE STEPHENEM KINGIEM**

**David Morrell - doktor literatury amerykańskiej,  
były profesor i wykładowca Uniwersytetu Stanu  
Iowa -jest autorem 23 powieści wydanych w  
nakładzie ponad 30 000 000 egzemplarzy i  
przetłumaczonych na 22 języki. Za swoje książki,  
które królują na listach największych światowych  
bestsellerów, otrzymuje milionowe zaliczki.**

**Wydawnictwo AMBER wydało wielkie  
superbestsellery Davida Morrella: Desperackie  
kroki, Falszywa tożsamość, Ostatnia szarża, Ostre  
cięcie, Piąta profesja, Podwójny wizerunek,  
Przymierze ognia, Przysięga zemsty, Droga do Sieny,**

**zbiór opowiadań Czarny wieczór oraz Rambo.  
Pierwsza krew.**

**AUTOR EKSPANIZOWANYCH  
SUPERBESTSELLERÓW. Nakręcone na podstawie  
bestsellerów Morrella filmy przyniosły łączny  
dochód 5000000 dolarów. Nieprawdopodobną  
popularność zdobyła seria filmów o Rambo z  
Sylwestrem Stallone, a nazwisko głównego bohatera  
na stałe weszło do języka potocznego. Pierce Brosnan  
realizuje film na podstawie Drogi do Sieny. Prawa  
do ekranizacji Ostrego cięcia kupił Michael Douglas.  
i Morrell bije na głowę wszystkich autorów powieści  
sensacyjnych. (tm)**

**"National Review\* ,--:'j**

**RAMBO. PIERWSZA KREW**

**"Najlepsza w literaturze światowej książka o  
polowaniu na człowieka" "Daily Express"**

**Powieść Rambo. Pierwsza krew, wybitne osiągnięcie  
literackie porównywane z Paragrafem 22, ukazała  
się w 1972 roku i przyniosła Morrellowi światową  
sławę. Pisarz powołał w niej do życia postać  
komandosa, żołnierza zielonych беретów Johna  
Rambo. Książka, nagrodzona prestiżową nagrodą  
literacką Friends of American Writers Distinguished  
Recognition, stała się podstawą scenariusza głośnego  
filmu z Sylwestrem Stallone, który wkrótce doczekał  
się kontynuacji w Rambo II i Rambo III. W chwili  
gdy eks-komandos pojawia się w spokojnym**

miasteczku. w Kentucky, czytelnika porywa potężny wir przemocy, napięcia i suspense. ; "Chicago Sun-Times"

**DAVID MORRELL - PISARZ WALCZĄCY ZE STEREOTYPEM TWÓRCĄ POSTACI-STEREOTYPU.** Paradoksem wydaje się fakt, że taką postać i tak brawurową powieść akcji, dziś już kanon gatunku, stworzył spokojny wykładowca akademicki. "Rzeczywiście istnieje ogromny kontrast pomiędzy mną a tym, o czym piszę" - mówi Morrell, nazywany "łagodnym profesorem o mrocznych wizjach". Jest przekonany, że postać Rambo nie została do końca zrozumiana. "Rambo - skomplikowany, miotany sprzecznościami, prześladowany - nie jest facetem, który szuka kłopotów, bo lubi rozróbę. Rozpaczliwie pragnie spokoju. Ale zostaje zmuszony do walki. Za wszelką cenę chce jej uniknąć, podejmuje ją dopiero wtedy, gdy nie ma innego wyjścia. Teraz postrzega się Rambo jako maszynę do zabijania. Ale dla mnie był młodym człowiekiem, który tak wiele poświęcił dla swojego kraju, a po powrocie został odrzucony." Wbrew intencjom autora postać Rambo - głównie za sprawą filmu, który był wielkim uproszczeniem pomysłu pisarza - stała się jednak synonimem brutalności i przemocy. Stereotypem, choć Morrell jako pisarz zażarcie przeciwstawia się stereotypom. Jest jedynym w swoim rodzaju mistrzem powieści sensacyjnych, który kreuje postacie tak

**niejednoznaczne, złożone. W jego powieściach nie ma podziału na dobrych i złych. Bohaterowie Morrella nie są czarni ani biali. Są prawdziwi... W Pierwszej krwi Morrell uczynił z szeryfa Teasle'a postać równie godną współczucia jak Rambo, bo "w sporze, który podzielił Amerykę, każda ze stron była głęboko przekonana o słuszności swoich racji." Nie jest więc jasne, kto jest tu bohaterem, a kto złoczyńcą. Może obaj są złoczyńcami? A może obaj są bohaterami? I nie ma tu ani zwycięzców, ani zwyciężonych... Morrell nie przypisuje winy Sylwestrowi Stallone. "Sylvester jest inteligentnym aktorem. Przez cały czas pamiętał o emocjonalnej wymowie powieści. To kwestia powszechnego nieporozumienia. Wydawcy i księgarze postrzegali mnie jako pisarza popierającego przemoc i zniszczenie, a przecież zawsze byłem od tego jak najdalszy. Uważam się za ojca Rambo i czuję się za niego odpowiedzialny. Ale straciłem nad nim kontrolę." Jednak sukces powieści okazał się bezprecedensowy. Stała się klasyką, na której wzorowali się inni twórcy powieści akcji. Nie doceniono antywojennej, pacyfistycznej wymowy książki, która jako pierwsza w literaturze amerykańskiej poruszała problem weteranów z Wietnamu. Znaczący literatury - przyznając książce prestiżową nagrodę literacką - docenili jej literackie walory, oryginalną konstrukcję następujących po sobie na przemian fragmentów opowiadanych z punktu widzenia każdego z bohaterów, która**

**sprawia, że czytelnik identyfikuje się i zjedną, i z drugą postacią, a jednocześnie zachowuje wobec nich niejednoznaczne uczucia i oceny. Ale książka przyniosła światową sławę nieznanemu profesorowi uniwersytetu. Rambo stał się bohaterem narodowym i wszedł na stałe do kultury masowej, choć jego postać uniezależniła się od swego twórcy. Podobnej alienacji ulegli jednak również inni najślynniejsi bohaterowie literaccy XX wieku - Sherlock Holmes, Tarzan, James Bond. "Czasami porównuję książki i filmy o Rambo z pociągami, które, choć niby takie same, mkną w przeciwnych kierunkach. Czasami widzę nazwisko Rambo w gazecie lub słyszę je w radio lub telewizji -w odniesieniu do polityków, finansistów, sportowców czy kogokolwiek, użyte jako rzeczownik, przymiotnik, przysłówek i czasownik - i dopiero po dłuższej chwili przypominam sobie, że gdyby (...) nie moje silne postanowienie, by zostać pisarzem (...) nie podawano by mojej książki w oksfordzkim słowniku jako źródła świeżo powstałego słowa."**

**Morrell zaczął pisać Pierwszą krew jeszcze na Uniwersytecie Stanu Pensylwania ale zajęcia naukowe, wykłady i dysertacja o utworach Johna Bartha opóźniły pracę nad książką Jeszcze wolniej Morrell pisał, gdy przeprowadził się do Iowa City, gdzie został wykładowcą literatury amerykańskiej na Uniwersytecie Stanu Iowa. Większość czasu zajmowały mu wykłady, konferencje, spotkania naukowe i inne obowiązki ad-(tm)n(tm) fa,100°**

dolarów miesięcznie. Wytwórnia Columbia Pictures zapłaciła 90 000 dolarów za prawa do ekranizacji powieści, które potem odsprzedała Wreszcie w 1979 kupił je Orion. Dwa pierwsze filmy o Rambo zarobiły 390 000 000 dolarów. Morrell otrzymywał 25% zysku - Wkrótce napisał nowelizacje drugiego i trzeciego odcinka i zarobił 1 000 000 dolarów. Ma również stałe dochody ze sprzedaży filmowych gadżetów (takich jak lalki Rambo). W brawurowych, elektryzujących thrillerach Morrella napięcie sięga zenitu.

**Stephen King**

**WYTRAWNY ZNAWCA REALIÓW, O KTÓRYCH PISZE** Odnalazłszy się w powieści akcji, Morrell uznał, że aby tworzyć prawdopodobne sytuacje i wiarygodnych bohaterów, musi znać realia. "Kiedy piszę o broni, muszę wiedzieć, jak się jej używa. Mam przyjaciela, który szkoli agentów CIA. Szkolił również mnie. Przeszedłem też przeszkolenie posługiwania się bronią, ale wyłącznie w celach literackich." Latem 1973 roku Morrell zapisał się na obóz szkoły przetrwania w górach Wind River w Wyoming. W 1986 Morrell odbył kurs dla agentów wywiadu. Jest dożywotnim członkiem Stowarzyszenia Uczestników Operacji Specjalnych i Stowarzyszenia Byłych Agentów Wywiadu. Przeszedł również szkolenia w negocjacjach policyjnych, przyjmowaniu fałszywych tożsamości, ochronie osobistej, walce z terrorystami oraz wielu

**nietypowych umiejętnościach, które opisuje w swoich książkach Te doświadczenia wykorzystuje w swoich największych przebojach. Dlatego Ostre Cięcie, Bractwo Róży, Bractwo Kamienia, Bractwo Nocy i Mgły, Piąta profesja czy Droga do Sieny są tak wiarygodne. Falszywa tożsamość zaskakuje znajomością świata wywiadu. Wydaje się wręcz, że Morrell antycypuje stosowanie technik wykorzystujących i rozwijających predyspozycje psychiczne w szkoleniu i działalności tajnych agentów.**

**DAVID MORRELL**

**PEŁNOETATOWY PISARZ**

**W 1986 roku Morrell zrezygnował z pracy na uczelni, choć jego kariera naukowa rozwijała się świetnie. Zdobył tytuł profesora. Całym sercem poświęcał się pracy naukowej, godząc zajęcia na uczelni z twórczością literacką. Pracował po siedem dni w tygodniu. Często wstawał przed świtem i kładł się spać w środku nocy. Nie pozwalał sobie na wolny dzień czy weekend. "Nauczanie było moją miłością, pisanie - pasją, ale gdy w końcu zmogło mnie zmęczenie, nikt nie mógł mieć wątpliwości, co wybierze łagodny profesor o mrocznych wizjach."**

**DAVID MORRELL**

**PRAWDZIWIY PISARZ UJĘTY W KARBY  
ŻELAZNEJ DYSCYPLINY**

**"Nie rozumiem pisarzy, którzy mówią: dziś nie jestem w nastroju do pisania. Jeśli jesteś prawdziwym zawodowcem, a nie amatorem, to po prostu wykonujesz swoją pracę. Twoje samopoczucie nie ma tu nic do rzeczy." Morrell jest przykładem żelaznej dyscypliny. Wstaje o szóstej rano, pisze od ósmej do południa, je lunch i idzie na spacer. Po południu poprawia to, co napisał rano. I pisze dalej. Kończy pracę między siedemnastą a dziewiętnastą, w zależności od tego, czy napisał pięć stron, których od siebie codziennie wymaga. "Prawdziwemu pisarzowi pisanie jest niezbędne do życia. Jeśli chcesz pisać, musisz czuć potrzebę pisania codziennie."**

**David Morrell jest słusznie uznawany za mistrza napięcia i nieoczekiwanych rozwiązań. "New York Times"**

## **DAVID MORRELL SKROMNY MILIONER**

**Milionowe zaliczki i honoraria za powieści, procenty od zysków z filmów o Rambo i filmowych gadżetów zapewniają mu niezależność i umożliwiają... dalsze pisanie. Jest bogaty, ale żyje skromnie wraz ze swoją żoną, Polką z pochodzenia, była nauczycielką historii. "Wolę żyć tak jak wtedy, gdy wykładałem na uniwersytecie. Wielu ludzi wariuje i kupuje domy dziesięć razy większe albo ugania się dookoła świata. To nie dla mnie." Najważniejsza jest dla pisarza rodzina.**

**W thrillerach Morrella jest spisak na miarę powieści Ludluma. "Publishers Weekly"**

**DAVID MORRELL  
EKSPERT OD STRACHU**

**"Wciąż mam potrzebę snucia opowieści, a to znaczy, że są jeszcze lęki, którym muszę dać wyraz..." - mówi Morrell. Mistrzostwo, z jakim odmalowuje owe lęki, decyduje o sukcesie jedynych w swoim rodzaju powieści, które trudno przypisać do jednego gatunku. Książki Morrella łączą wysokie walory literackie, intrygę psychologicznego thrillera, horror (są również laureatkami nagród przyznawanych przez Stowarzyszenie Twórców Literatury Grozy) z napięciem na miarę Stephena Kinga (notabene przyjaciela Morrella), niesamowitym suspensem i brawurową akcją, która opiera się na najbardziej sensacyjnych wątkach. W powieściach Morrella jest światowy spisak, pościg, szpiegowska gra, polowanie na samotnego bohatera. I jest strach. Thrillery Morrella to prawdziwa uczta dla miłośników Kinga. "New York Times"**

**DAVID MORRELL  
TWÓRCA SKOMPLIKOWANYCH,  
WIELOZNACZNYCH BOHATERÓW Jego  
bohaterowie nie są nigdy bezpieczni aż do ostatniej  
strony. Bomby, garoty, pistolety to nie wszystko. U**

**Morrella są jeszcze dręczące bohaterów ich własne demony, koszmary przeszłości, dylematy moralne. Uwikłani w niebezpieczne i dramatyczne konflikty toczą wewnętrzne walki i zmagania, borykają się ze stratą, zdradą, żądzą zemsty. "Większość thrillerów zasada się na dramatycznej sytuacji - mówi Morrell. - Ja wychodzę zawsze od postaci bohatera, którego problemy są mi bliskie." Postaci Morrella - w przeciwieństwie do "pustogłowych" bohaterów powieści akcji - to skomplikowane, wrażliwe osobowości, a równocześnie twardzi zawodowcy - komandosi, agenci, ochroniarze, policjanci, żołnierze. Morrell jest wręcz zafascynowany profesjonalizmem, zwłaszcza w dziedzinach, w których nie można popełnić błędu. Jeśli jego bohaterowie popełniają błąd, płacą wysoką cenę. Nie tylko wystawiają się na zewnętrzne niebezpieczeństwo, lecz także przeżywają kryzys wewnętrzny - osobowości, utraty kontroli nad własnym życiem.**

**David MORRELL**

**ZNAWCA HISTORII**

**Żaden inny twórca thrillerów nie szuka inspiracji w historii. W książkach Morrella natomiast ożywa herezja albi-gensów, przeszłość Kościoła katolickiego, II wojna światowa, walki amerykańsko-meksykańskie, dzieje Japonii.**

**David MORRELL**

**MISTRZ NAPIĘCIA i NIEOCZEKIWANYCH ROZWIĄZAŃ** Morrell zongluje gatunkami z niepowtarzalnym talentem. Nikt inny nie potrafi tak jak on mieszać konwencji thrillera z elementami horroru, powieści historycznej i szpiegowskiej. Napięcie, sensacyjna intryga, pogłębione psychologicznie i emocjonalnie postaci bohaterów, utożsamianie się z opisywaną postacią, dogłębna wiedza o ludzkiej duszy i niezaprzeczalny talent literacki składają się na niepowtarzalne powieści Davida Morrella. Każdy bestseller tego wyjątkowego pisarza to majstersztyk - przykład znakomitej literackiej prozy i literatury popularnej w najlepszym wydaniu. "Fikcja to cudowna alternatywa rzeczywistości", mówi pisarz. Każdy, kto czytał jego powieści, musi się podpisać obiema rękami pod tym stwierdzeniem.

\* \* \*

**Bestsellery DAVIDA MORRELLA w Wydawnictwie AMBER**

**CZARNY WIECZÓR**

Uhonorowane prestiżowymi nagrodami mroczne opowiadania sensacyjno-psychologiczne **Mężczyzna**, którego dom okazuje się miejscem krwawej zbrodni, profesor prześladowany przez tajemniczą studentkę, pisarz, którego maszyna do pisania ulega przerażającej metamorfozie, policjant, który staje twarzą w twarz z widmami przeszłości... Życiem tych

**ludzi rządzi jedno - wszechobecny strach.**

## **DESPERACKIE KROKI**

**Matt Pittman, znany niegdyś dziennikarz, otrzymuje niezwykłą propozycję - ma redagować dział nekrologów pewnej upadającej gazety. Nową pracę zaczyna od niesamowitego odkrycia - jeden z nekrologów, jaki ma napisać, przeznaczony jest dla kogoś, kto wcale nie umarł...**

## **DROGA DO SIENY**

**MGM i wytwórnia Pierce'a Brosnana kupiły prawa do ekranizacji Chase Malone, komandos i pilot helikoptera, porzuca wojsko po nieudanej, tragicznej w skutkach akcji. Ma dość śmierci i przemocy. Osiedla się na cichej meksykańskiej wyspie, by poświęcić się malarstwu. Jego spokój burzy oferta tajemniczego zleceniodawcy, który chce, by Chase namalował portret jego żony. Malone nie podejrzewa, że niewinna z pozoru propozycja wstrząśnie jego życiem i zmusi do dramatycznej walki - najokrutniejszej, jaką kiedykolwiek stoczył.**

## **FAŁSZYWA TOŻSAMOŚĆ**

**Fałszywe nazwiska. Różne tożsamości. Brendan Buchanan, agent tajnego wydziału operacji specjalnych CIA, od lat wciela się w coraz to nowe postaci. Lecz pewnego dnia musi porzucić grane role. I przekonuje się, że nie wie, kim jest naprawdę. Jedyną szansą odnalezienia siebie staje się śmiertelnie niebezpieczna akcja...**

## **OSTATNIA SZARŻA**

**Rok 1916. Południowa granica Stanów Zjednoczonych. Oddziały Pancho Yilli atakują pociągi i rancza, mordują znienawidzonych gringos. Z amerykańskim korpusem ekspedycyjnym wyruszają do Meksyku młody rekrut oraz weteran wojny domowej, legendarny zwiadowca i awanturnik. W czasie krwawych walk między mężczyznami rodzi się przyjaźń silniejsza niż strach przed śmiercią...**

## **OSTRE CIĘCIE**

**Michael Douglas kupił prawa do ekranizacji Zamach bombowy w Rzymie. Ginie kilkudziesięciu Amerykanów. Steve Decker, agent antyterrorystycznego wydziału CIA, zostaje niesłusznie obwiniony o ich śmierć. Rezygnuje z pracy w wywiadzie, przenosi się do innego miasta, poznaje kobietę, rozpoczyna nowe życie. Ale szczęście nie trwa długo; Steve znów staje twarzą w twarz z brutalną przemocą i śmiercionośną tajemnicą. I znów musi walczyć z bronią w ręku - o prawdę i o życie. Swoje i ukochanej kobiety...**

## **PIĄTA PROFESJA**

**Dwaj zawodowi ochroniarze przyjmują pozornie proste zlecenie. Mają zapewnić bezpieczeństwo pięknej żonie greckiego milionera. Ale sieć zagadkowych intryg zmusza ich do walki o własne**

**życie. Stają się pionkami w bezwzględnej rozgrywce wywiadów, nie wiedząc nic o prawdziwym celu swej misji...**

### **PODWÓJNY WIZERUNEK**

**Amerykański fotoreporter Mitchell Coltrane robi w Bośni zdjęcia dokumentujące uczestnictwo popularnego polityka Dragana Ilkovića w zbrodniach przeciwko ludzkości. Opublikowane fotografie stają się sensacją. Wkrótce do Stanów przybywa ścigany przez prawo Ilković. Chce zemścić się na człowieku, który go zniszczył. Uciekając przed prześladowcą, Coltrane odkrywa, że ma jeszcze jednego śmiertelnego wroga...**

### **PRZYMIERZE OGNI**

**W zagadkowych okolicznościach znika przyjaciel znanej dziennikarki. Młoda kobieta rozpoczyna prywatne śledztwo i wpada na trop potężnej tajemniczej organizacji. Jej członkowie, opętani ideą uratowania świata przed katastrofą ekologiczną, nie cofną się nawet przed popełnieniem zbrodni...**

### **PRZYSIĘGA ZEMSTY**

**Amerykański pisarz Peter Houston próbuje po trzydziestu latach odnaleźć grób ojca poległego w 1944 roku we Francji. Pozornie proste zadanie okazuje się niebezpieczne. Przeszłość kryje groźną tajemnicę. Usiłując dociec prawdy, Peter rozpoczyna**

**bezwzględną walkę z nieznanym przeciwnikiem, o wiele potężniejszym niż mógłby się spodziewać.**

## **RAMBO. PIERWSZA KREW**

**Prestżowa nagroda literacka Friends of American Writers Distinguished Recognition Kultowa ekranizacja z Sylwestrem Stallone**

**Obaj byli kiedyś żołnierzami. Rambo, młody długowłosy chłopak w obszarpanych dzinsach, i Teasle, komendant policji w średnim wieku. Obaj nauczyli się zabijać - Rambo w Wietnamie, Teasle w Korei. Teraz niespodziewanie stają naprzeciwko siebie w śmiertelnym pojedynku, siejąc dookoła śmierć i spustoszenie...**

**\* \* \***

**KONIEC→**